

De. III. 1.  
TOM CCXLVII

SERYA 9

ROK 62

ZESZYT 740

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

S I E R P I E Ń .

1902.

---

TOM III.—ZESZYT 2.

---

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja: Krakowskie Przedmieście 5.

1902.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. NIEZNANE FRAGMENTY I WARYANTY BENIOWSKIEGO, — przez Józefa Tretiaka . . . . .	209
2. SZACUNEK DLA DZIECKA, — przez Kazimierza Kaszewskiego . . . . .	241
3. MEFISTO. Powieść, — przez Aleksandrę Suszczyńską . . . . .	265
4. PAMIĘTNIK GENERAŁA JANA WEYSSENHOFFA (dalszy ciąg), — podał Józef Weyszenhoff . . . . .	306
5. TWÓRCZOŚĆ POETYCKA MARYI KONOPNICKIEJ W CIĄGU DWUDZIESTU PIĘCIU LAT (dokończenie), — przez Henryka Gallego . . . . .	336
6. POGADANKA ARTYSTYCZNA. Przegląd artystyczny półroczny pierwszego w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. — Wystawy specjalne: Jan Matejko, Józef Pankiewicz, Michał Wywiórski, Stanisław Masłowski, Józef Rapaeki i Stefan Popowski, — przez Kazimierza Broniewskiego . . . . .	366
7. ROZMAITOŚCI: Międzynarodowe muzeum wojny i pokoju, — przez B. W. . . . .	381
8. PISMIENNICTWO: <i>Prof. Piekosiński</i> : „Rycerstwo polskie wieków średnich“. Tom trzeci, Rycerstwo małopolskie w dobie piastowskiej. Kraków, 1901, — przez A. R. . . . .	388
<i>Adam Szelągowski</i> : „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII-ym wieku w Polsce“. (Lwów, nakład Towarzystwa Wydawniczego, 1902, stron 317), — przez St. A. Kempnera . . . . .	392
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Rocznica. — Reforma podatków gminnych i decentralizacja miast. — Delegacja wyrobów krajowych. — Przemysł drobny, — Pielgrzymki częstochowskie. — Opieka nad kościołami. — Encyklopedia rolnicza. — Rękopisy i odezwa Krakowskiej Akademii Umiejętności. — Ś. p. Feliks Rycerski. — Ś. p. Kardynał Mieczysław Jan Halka-Ledóchowski . . . . .	396
10. BIBLIOGRAFIA . . . . .	414



De. II. 1.

## Nieznane fragmenta i warianty Beniowskiego.

Profesorowi Małeckiemu zawdzięczamy nietylko najznakomitszą z tych, jakie posiadamy, monografię o Słowackim, ale i wydobyć na światło dzienne niezmiernie bogatej spuścizny po tym poecie. Do najcenniejszych rzeczy w tej spuściznie należy niewątpliwie dalszy ciąg „Beniowskiego“; jest on też jednym z tych pośmiertnie wydanych utworów poety, które najwięcej trudu kosztowały wydawcę. Można o tem powziąć dobre wyobrażenie z jego własnych słów, zamieszczonych w monografii <sup>1)</sup>: „Po śmierci Słowackiego — czytamy tam — znaleziono kilkanaście arkuszy, zapisanych nabitą i drobnym pismem, zawierających dalszy ciąg poematu (Beniowskiego). Był to dopiero pierwszy rzut, często przemazywany, z różnemi dopiskami po bokach karty, słowem brulion. Tworzy obecnie ten autograf dwa zeszyty, zapewne dopiero po śmierci autora spojone, i pewną ilość kart luźnych, które są oczywiście już tylko szczątkami znaczniejszej liczby arkuszy, stanowiących niegdyś jeden ciąg nieprzerwany, a w późniejszej poniewierze poniszczonych do tego stopnia, że to, co z nich zostało, już się nie daje spoić w wątek ciągły i jednolity. Z takich to arkuszy i kartek luźnych, częstokroć nawet podartych <sup>2)</sup>, złożyłem na domysł pieśń VI, XI, XIII i XIV, nadstawiając próżnie, tekstem niezapełnione, krótkiem streszczeniem prawdopodobnej osnowy, danem na wstępie każdej z tych pieśni. Za porządek i kolej tych urywków ręczyć atoli nie mogę, gdyż wskazówek do zestawienia ich należytego zupełnie braknie w rękopisie“.

<sup>1)</sup> Tom drugi, strona 272 — 273, wydanie trzecie.

<sup>2)</sup> Obecny stan autografów tak się przedstawia: jest kart białego, cienkiego papieru, w większym formacie, ujętych w dwa zeszyty a zresztą luźnych — 40; kart szarawego, grubszego papieru w mniejszym formacie — 9. Razem wszystkich kart jest tedy 49. Na kilku stronach są rzeczy, nie należące do „Beniowskiego“.

Ten wstęp pokazuje nam nietylko, z jakimi trudnościami walczył wydawca, ale i jak rozumiał swoje zadanie. Chodziło nie o to jedynie, ażeby z chaotycznego brulionu wydobyć to, co on w sobie zawiera, ale żeby doprowadzić to wszystko do pewnego porządku, ułożyć w pewną całość, rozjaśnić ten chaos dla czytelnika, który, bez porządkującej myśli wydawcy, zgubił-by się w tym bujnym, wspinałym, ale bezdrożnym lesie poetyckim. O wydaniu takim, które-by nie uroniło ani jednej strofy, ani jednego przemazanego wiersza, jeszcze wtedy myśleć nie można było. Stąd poszło, że niektóre luźne strofy, albo i niestroficzne ustępy, które zanadto wybiegały poza główny tok powieści, których związku z całością niepodobna było wyjaśnić, zostały w wydaniu Pism pośmiertnych Słowackiego pominięte.

Niedawno, dzięki łaskawości znakomitego wydawcy, otrzymałem bruliony, o których mowa, do przejrzienia, i przekonałem się, że przy obecnym stanie studyów nad Słowackim, można z nich wydobyć pewne, dość ważne wskazówki, objaśniające, jak się rozwijał i przeobrażał plan poematu, pisanego w ciągu lat kilku. Przekonałem się także, że zawierają one w sobie jeszcze sporo nieznanych, a cennych okruchów poezji Słowackiego, większych i mniejszych urywków, często niewykończonych, czasem gorączkowych i mętnych, ale przeważnie bardzo pięknych, zresztą godnych ogłoszenia już choćby dla tego, że wyszły z pod pióra takiego poety, jak Słowacki.

Wydając obecnie te urywki, chciał-bym je uszykować w pewne grupy, odpowiadające okresom, w których były pisane, a to kierując się po części wewnątrzniemi, z treści wysnutemi wskazówkami, po części zewnątrzniemi. Grup takich wyróżniłem cztery: do pierwszej należą fragmenta, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pisane były przed wiosną 1841 roku, to jest, zanim Słowacki wydał pierwszych pięć pieśni „Beniowskiego“; do drugiej — te, które były pisane pomiędzy wiosną 1841 roku a lipcem 1842 roku, to jest chwilą, w której poeta przejął się towianizmem; do trzeciej te, które pochodzą prawdopodobnie z pierwszych lat towianizmu Słowackiego do roku 1844; do ostatniej — te, które były pisane między 1844 a 1846 rokiem.

Wreszcie winienem dodać, że obecne wydanie nieznanych fragmentów i wariantów „Beniowskiego“ nie wyczerpuje całego plonu, jaki-by można z autografów Słowackiego wyciągnąć, i pomija drobniejsze, mniejszego znaczenia odmianki, zostawiając ich uwzględnienie przyszłemu krytycznemu wydaniu pism Słowackiego.

## I.

Za najstarszą część brulionu uważam kartę luźną, przy której pozostał wązki pasek z drugiej karty, co, razem z ocalałą, stanowiła arkusz dużego, cienkiego, listowego papieru; na takim Słowacki zwyczajnie pisał w owych czasach, mniej więcej do roku 1845. Na początku tej karty znajdujemy taką strofę przekreśloną i początek drugiej przemazany:

Pamiętna jeszcze w Litwie wieść o godach chodzi,  
 Chłopki mówią, że czarty fajerwerk sprawili,  
 Aniołowie słońcami zamek oświecili.  
 Ja pomnę, że jak słońce, co nad borem wschodzi  
 I oczom nagle światło patrzącym odbierze,  
 Ujrzałem gmach z płomieni i z płomieni wieże,  
 Miasto całe szałasów, bud, kramek, namiotów  
 Ciągnęło się daleko...

Widzimy, że to nie jest strofa, którą pisany „Beniowski“. Wszakże z wycinku, który pozostał z drugiej karty, a na którym zachowały się początki wierszy, ułożonych w takież sześciowierszowe strofy, przekonywamy się, że to ustęp z tego samego poematu, ponieważ między początkowymi słowami odciętych wierszy znajdujemy imię Sawy. Stąd wniosek, że poeta wahał się jakiś czas, którą z dwóch swoich kochanek (Oktawa pieśni, kocha mię sekstyna) obrać za formę do swego poematu, i jakiś czas oddawał pierwszeństwo sekstynie, zanim się całkiem nie oddał oktawie, chociaż i potem niekiedy sprzeniewierzał się tej kochance. Zresztą było-by tu jeszcze inne przypuszczenie możliwem: Sawa, „ogromny skarb dla pisoryma“, jak go określał Słowacki, Sawa, który tyle miejsca potem zajął w „Śnie srebrnym Salomei“, może miał być bohaterem osobnego poematu, pisanego sekstyną, później zaniechanego.

Zaraz pod przytoczoną strofą położył Słowacki napis: „Pieśń V“, a pod tym napisem zaczyna się to, co weszło do pośmiertnych pism poety, jako drugi fragment pieśni VI <sup>1)</sup>, zaczynający się od wiersza: „Przybył więc Sawie gdzieś z ponad Limanów...“. Ten napis służy

<sup>1)</sup> Tom drugi, str. 5.

nam za dowód, że to, co jest przed nim, i to, co po nim, napisane było jeszcze przed wydaniem pierwszych pięciu pieśni.

Na tej samej karcie z boku znajduje się naszkicowany przez poetę plan układu dalszych pieśni, prawdopodobnie współczesny pisaniu piątej pieśni w pierwotnej redakcyi:

#### Pieśń VI.

Awantury P. Sawy.—Wernyhory historia. — Widzenie. —  
P. Gruszczyński.

#### Pieśń VII.

Dalsze dzieje P. Beniowskiego.—W Krymie lekarstwo na  
reumatyzmy etc... Szyftuje pułk...

#### Pieśń VIII.

Panna Aniela o Słowiańszczyźnie rozmawia — dziwny wy-  
padek nieprzewidziany — Pana Beniowskiego dzieła...

#### Pieśń IX.

Bar — uczta — wzięcie Baru.

#### Pieśń X.

Tabór P. Beniowskiego. — Panna Aniela — cofanie się na  
Dniestr... Walka.

#### Pieśń XI.

Walka trzydniowa.—Wzięcie P. Beniowskiego. — Powrót  
Wernyhory i zniknięcie proroka.

#### Pieśń XII.

Uwolnienie p. Beniowskiego — przez Swentynę.

Pod planem, także na boku a w dalszym ciągu na drugiej stronie tej karty, jest pięć strof luźnych, które, jak się zdaje, poeta chciał wprowadzić, jako wirtuozowski popis w tem miejscu, gdzie się zaczyna w ówczesnej pieśni V-ej, a dzisiaj VI-ej strofa: „Wszystko ponure, choć blizka wyprawa...“. Oto są owe nieznane strofy: Naprzód trzy wiersze, jako odrzucona próba pierwszej strofy:

Wszystko ponure, jakby duch stepowy,  
Co drzewom daje szmer... nie szelest drzewa,  
Lecz gwar, co śpiewa, jakby dumek słowy.

Potem następuje pięć strof wykończonych, które-by można nazwać poezją szmeru i szelestu:

Wszystko ponure, jakby duch stepowy  
Rozłął się... ów duch, co, jak wszyscy wiecie,  
Smutniejszy, niżli księży śpiew grobowy,  
Niż księżyc, kiedy w wiosce kury trzecie  
Pieją... a on się na brzóz kładzie głowy  
I między liśmi się, jak srebrne kwiecie,  
Przełyska... mdlejąc i czerwieniąc zletka,  
Jak spazmująca od nudów kokietka.

Na stepach więc jest, wierście mi, w południe,  
Coś smutniejszego jeszcze, niż o kurach  
Trzecich... gdy księżyc, bóg pyzaty schudnie,  
Albo połowę tarczy schowa w chmurach.  
Na stepach zda się... że jakiś odludnie  
Żyjący gęslarz... w przezręczystych lazurach  
Niebieskich... w bladej powietrznej otchłani  
Harfę niebieską trzyma i gra na niej.

Otóż gęslarza tego głos... co zda się  
Z grobowców wszystkich woła: w niebie wdycha,  
W kłosach szepleni... jak w nowym atlasie  
Dziewczyna... której pierś gorset odpycha  
Z szelestem, co jak fala... w równym czasie  
Szumi i w różnych przestankach ucicha.  
Otóż ten ciągly szmer... z jarów się grzbietu  
Dobycwał... jak szmer serca i gorsetu.

To porównanie tylko z opowiadań  
Biorę... z Homera może, lub z Petrarcki,  
Bo sam nie tworzę nic... i z moich badań  
Serca ludzkiego jeszcze mi do miarki  
Nierozwiązanych braknie kilku zadań...  
Naprzykład: czemu żadne mię gusłarki  
Tak nie wywiodą ze świata i czasu,  
Jak szelest igły — szycia — i atlasu.

Gdy jestem cichy sam... a niedaleko  
Ten ciągly szelest rączek koło lica  
I serca,... które jest pod róż opieką,  
I gdy przymknięta na pół okienica

Złotego światła mię przedziela rzeką  
 Od niej... a oka światło <sup>1)</sup> zda się świeca,  
 Dla czego wtenczas serce me nie szuka  
 Rymów...: o Muzo, powiedz, ale puka?

Można się nawet domyślać, co wywołało w Słowackim te dodatkowe strofy, ten zwrot jego Muzy do szmerów serca i gorsetu; oto zapewne scena, na tej samej karcie nakreślona, a przedstawiająca Swentynę z koniem Sawy, scena, gdzie jest mowa „o tajemniczych błyskach, szmerach krwi, nieznanach szelestach — w głębi dziewiczych ciał“.

Przejdziemy teraz do drugiej karty luźnej, równie jak poprzednia, więcej od innych żółkłej. Mamy na niej fragment poematu, w dwie kolumny pisany, a podany przez Małeckiego w wydaniu pośmiertnym <sup>2)</sup>, jako jeden z „Dodatkowych luźnych urywków, niewiadomo do której pieśni należnych“. Jest to ustęp, w którym występuje Beniowski i Swentyna nad Bohem. Małecki, drukując ten fragment, stosownie do swego zadania, opuścił niektóre strofy przekreślone, nie pełne, lub z innych względów odrzucone przez poetę. Mianowicie opuścił wiersze, które w autografie następują po wierszu: „I na ramię odkrytych usiadły...“. Oto są one:

Tak gołębiami swymi ustrojona  
 Ze skał spojrziała na rycerza w dole.  
 Bądź zdrów... krzyknęła... Druga rzeki strona  
 Odjękła... bądź zdrów... i za Bohem pole  
 Jęczało, jako nimfa rozżalona,  
 Tym samym głosem i znów na skał czole...

Niepełna ta strofa, kilkakrotnie przemazana, potem tak samo przemazany początek nowej strofy:

I tak daleka... ze skał żółtych czola  
 Rycerzowi się uśmiechnęła... w złotem  
 Powietrzu... smutnie... i dziko wesola...  
 I jeszcze raz się zaśmiała i po tem...

1) W autografie jest „w światło“; może poeta chciał napisać: „w oku światło“.

2) Tom drugi. st. 156 — 159.



Potem dwie strofy (druga niepełna), raz tylko przekreślone:

O! teraz... ptaki broniona białemi  
 Leć w stepy moja dziewczyno skrzydlata.  
 Ja z rycerzami zostanę na ziemi  
 I zaprobuję rycerskiego świata...  
 W takt mi mieczami bijcie czerwonemi,  
 Kraju obrońce... niech późne się lata  
 Przejrzą w Hektora tarczy... w szóstej pieśni  
 Zaczyna się mój poemat — nie wcześniej...

Te strofy... bramą są — albo przysionkiem,  
 Satyrą czasem... najczęściej marzeniem..  
 Są palmy nagim pnem, kwiatu korzonkiem,  
 Aleją,... w której światło igra z cieniem,  
 A na końcu ma oświecony słońkiem  
 Gmach — stary kościół z empirejskim pnem.

Dwa ostatnie wiersze zamienione zostały dwoma innymi:

A rosa igra na liściach ze słońkiem,  
 Dalej będzie pieśń napełniona brzmieniem...

W przytoczonych tu wierszach autografu szczególnie godną uwagi jest wzmianka o szóstej pieśni, od której właściwy poemat miał się zaczynać. Z tej wzmianki możemy wnosić, że cały ten fragment, jeden z najpiękniejszych w „Beniowskim”, pisany był jeszcze wtedy, kiedy szósta była dopiero w perspektywie; podany zaś pod fragmentem (na drugiej stronie karty) napis: „Pieśń VI”, świadczy, że tym fragmentem miała się kończyć w pierwotnej redakcyi pieśń piąta. Można-by nawet z pewnem prawdopodobieństwem oznaczyć bliżej czas pisania tego fragmentu. Sześć ostatnich strof jego stanowi pełen niezmiernie głębokiego liryzmu zwrot do matki, gdzie poeta powiada, że myśl o matce towarzyszyła mu we wszystkich po świecie wędrownkach. Jakby echem tego hymnu na cześć matki jest list poety, pisany do niej 16 lutego 1841 roku z Paryża, gdzie jest taki ustęp: „A teraz bez egzaltacyi i prosto ci powiem, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazał-bym spalić i odnieść ci serce swoje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało, owonione zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy;

to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi“<sup>1)</sup>). Kogo rozumiał Słowacki przez najpiękniejszą z córek swoich, o to tu nie chodzi, tylko o to, że najwymowniejszym „dźwiękiem, głosem, echem“ tego miłosnego smutku, wiążącego matkę z synem, jest owych ostatnich sześć strof fragmentu, o którym mowa, skąd domysł, że cały fragment jest współczesny cytowanemu listowi.

Muszę tu jeszcze zwrócić uwagę na dopisek na autografie obok tych sześciu strof, ołówkiem zrobiony przez Teofila Januszewskiego, wuja poety: „Te strofy przerobione z matki do kochanki są drukowane na końcu IV pieśni“. Dopisek ten złośliwie wygląda, choć wątpię, żeby wuj mógł to pisać ze złą intencją względem dawno zmarłego siostrzeńca. Zresztą, porównawszy dwa wskazane ustępy, niepodobna powiedzieć, aby jeden był prostem przerobieniem drugiego; wszakże, że analogia jest wielka, na to trzeba się zgodzić, a także i na to, że wuj musiał mieć dobre informacje i że nie pisał na wiatr o przerabianiu, to znaczy, musiał wiedzieć, że pieśń piąta w pierwotnej redakcyi musiała być pisana jeszcze przedtem, zanim nastąpił układ pieśni czwartej takiej, jaka się pojawiła w druku.

Wreszcie karta autografu, o której mówimy, przynosi jeszcze jedną ciekawą i niespodziewaną wiadomość. Początek pieśni, oznaczonej jako szósta (VI), który się na niej znajduje, jest nie czem innem, jak owym wspaniałym wierszem, który, pod tytułem: „Wschód słońca nad Salaminą“, przyłączony został do wydanej w pierwszym tomie pośmiertnego wydania „Podróży do ziemi świętej z Neapolu“, czyli, krócej mówiąc, „Podróży wschodniej“. Że on doskonale swoją treścią przystaje do niej, to rzecz pewna; ale że miał wejść w pierwotnym pomysłe do „Beniowskiego“, to o tem autograf poucza nas najwyraźniej.

---

<sup>1)</sup> „Listy Juliusza Słowackiego“, wydał L. Meyer, tom drugi, str. 128.

## II.

Pierwotny układ pierwszych pieśni, w szczególności czwartej i piątej, doznał radykalnej zmiany w marcu 1841 roku, to jest po ukazaniu się przy końcu lutego w „Tygodniku literackim” poznańskim artykułu p. t.: *Improwizatorowie*, gdzie opisana była sławna uczta na cześć Mickiewicza, na której Słowacki i Mickiewicz stoczyli z sobą bój — na improwizacye. Artykuł, odmawiający Słowackiemu, i to jakoby na podstawie słów Mickiewicza, miana poety, do najwyższego stopnia rozdrażnił Słowackiego i pobudził go do jak najprędzszego wydania pierwszych pięciu pieśni „Beniowskiego”, które doznały teraz różnych przeobrażeń. To przynajmniej rzecz pewna, że wtedy dopiero ostatecznie ułożoną została pieśń piąta z owem ostrzem, wymierzonym przeciw Mickiewiczowi.

Po wydaniu pierwszych pięciu pieśni, poeta nie przestał pisać „Beniowskiego”, zwłaszcza, że ogłoszony początek jego zyskał mu większą sławę, niż jakikolwiek inny przedtem poemat. Teraz już chodziło tylko o powieść, nie o walkę z krytykami, lub poetami, i poeta starał się dawniej nakreślony plan wypełnić, ale powieść rozrastała się i przewracała dawniej projektowany układ pieśni. Z tych czasów przechował się drugi plan, nakreślony przez poetę w zeszycie, w którym opiewał podróż Beniowskiego do Krymu:

Pieśń X. Walka Regimentarza polskiego z Rezuniami — wzięcie w niewolę wielu panów polskich — przybycie na step umarłych Beniowskiego.

Pieśń XI. Kaplica i mord pod Humanem i odbicie jeńców polskich na słodkim morzu...

Pieśń XII. Widzenie się z Anielą.

Pieśń XIII. Wzięcie Baru.

Pieśń XIV. Tabor ku Turcyi.

Pieśń XV. Beniowski z Wernyhora — z Sawą do pana Puławskiego jada.

Porównanie tego drugiego planu z pierwszym łatwo okazuje rozrost powieści, który i potem nie ustawał. Otóż do drugiego okresu (1841 — 1842) odnoszę następujące nieznane fragmenta. Zaliczam tu naprzód ustęp, wprawdzie niewiadomo do jakich osób i scen odnoszą-

cy się, ale pisany na półarkuszu (bardzo cienkiego papieru), gdzie są także fragmenta, wprowadzone przez Małeckiego do pieśni VI-ej. Nie wiąże się on z temi fragmentami i przekreślony przez poetę:

Kto potępiony, niechaj się nie chwytą  
 Tęcz zawieszonych dla czystych aniołów,  
 Lecz niech usiądzie w ciemności i zgrzyta,  
 I niech mu serce tak cięży, jak ołów.  
 Zapytaj serca,... czemu nie rozkwita,  
 Widząc tę jasność... którą wzrok twój świeci?  
 Czemu nie westchnie. czemu nie podleci,  
 Ale za tęczy tej najdalszym brzegiem  
 Stoi w ciemności?.. Boś zdracją i zbiegiem.

Boś zwołał duchy... boleścią i łzami  
 I był... przez cały nasz chór wysłuchany,  
 A gdyśmy przyszły... nie idziesz z duchami,  
 Ales już innych Aniołów poddany...  
 Dla tego próżno twój wzrok błyska skrami  
 I w oczach chodzą błyskawice różne,  
 Bo serce twoje potępione. próżne,  
 Straszne, jak księżyc pod myślową chmurą,  
 Ale bez związku z ludźmi i z naturą.

Wyrwij je z łona i wyrzuć je z siebie,  
 Dopóki nosisz tę rzecz martwą w sobie.  
 Smutek jest w tobie... i trwoga na niebie,  
 Bo my nie wiemy, co w tym martwym grobie  
 Śni się?.. Co będzie zrobione przez ciebie.

Trzecia strofa niedokończona. Strofy dziewięciowerszowe, więc odmienne od zwyczajnych strof „Beniowskiego“. W każdym razie to pewna, że ustęp ten pisany był wcześniej, aniżeli umieszczone pod nim, lub obok niego, fragmenta, opiewające walkę z Żeleźniakiem a wprowadzone przez Małeckiego do pieśni VI-ej. I w tych fragmentach opuszczone są dwie strofy, jedna, jako niedająca się w jeden pomysł ułożyć z innymi fragmentami, druga może dla tego, że przez poetę przekreślona. Mianowicie przed strofą: „Działko rychtuje chłop...“ <sup>1)</sup>, znajdujemy w autobiografii:

Zostawmy teraz tę sądną dolinę,  
 Niech duch od tego krwawego jeziora  
 Odleci jako Anioł we mgły sine,  
 Ciągąc za sobą kurz krwi... strach upiora ..

<sup>1)</sup> Tom drugi, str. 18.

Wróćmy, gdzie stoją szyki Waszeczine,  
 Oblane światłem skrwawionym wieczora,  
 Na pokrwawionej harcujące runi...  
 Kapliczka w ręku Gruszczyńskich rzezuni.

Potem jest strofa drukowana, a po niej niedrukowane dwa wiersze:

Potocki spinką z jasnego brylanta  
 Przeciwno słońcu czerwonemu błyska.

Co się tyczy drugiej, opuszczonej w druku strofy, to żeby ją uczynić zrozumiałą, muszę przytoczyć naprzód drukowaną strofę, która ją poprzedza <sup>1)</sup>. Mowa o koniu Wernyhory, który się ukazał nad związanym Sawą:

Czems przestraszony był — może czuł Sawę,  
 . . . . .  
 Cofał się, wspiął i taką postawę  
 Miał, jak posążny kamień tryumfatora,  
 Co, zda się, leci i w lot z oczu zginie,  
 A nigdy ruin stojących nie minie...

Otóż po tej znanej strofie występuje nieznaną taką:

Duch ludzki często jest takim rumakiem  
 Jeśli w ruinach starych się zakocha —  
 Co będzie z moim związanym kozakiem;  
 Bo naśladując metrycznego Włocha,  
 Gdzieindziej lecę... gdzie mnie z widm orszakiem  
 Fantazyi czeka Muza — świeża, płocha,  
 Młodości mojej czarowna pochodnia,  
 Błyszcząca, razem smętna — muza Wschodnia.

Dalej należy tu wariant do podróży Krymskiej Beniowskiego <sup>2)</sup>; są to dwie oktawy przekreślone:

Za Beniowskim więc trzy chude hestery  
 Ciągnęły czarny rycerski karaban,  
 W nim pan Borejsza, człowiek jasnej cery,  
 W zbroi... sławny gracz... pierwszy krzyczał *va banque*

<sup>1)</sup> Tom drugi, strona 11.

<sup>2)</sup> Pieśń VII, strona 28.

Sławny był także wśród pijackiej sfery  
 Jak słońce... albo w trzodzie pierwszy czaban...  
 Posłem obrany od litewskiej Troi,  
 W nadziei, że zgra kana, albo spoi.

Przy nim był także Tatarzyn z pod Waki,  
 Pan Abdulewicz, przydan na tłómacza,  
 Człek żółty, jak liść tureckiej tabaki,  
 Albo sam środek rozcięty kołacza  
 Z szafranem... człowiek, co miał jeszcze znaki,  
 Że koniec rodu się jego zaznacza  
 W szczerej tatarskiej krwi... bo z Bożej łaski  
 Zachował krzywe oczy i nos płaski.

W końcu do tej drugiej grupy fragmentów i wariantów zaliczyć trzeba ustęp na karcie luźnej, który niewiadomo napewno dokąd przypiąć, który jednak zostaje w pewnym związku z podwójnem pojawieniem się Matki Boskiej w pieśni IX-ej. Żartobliwy ton ustępu, traktującego rzeczy nadzmysłowe, aż nadto świadczy, że strofy te pisane były jeszcze przed przeobrażeniem, które nastąpiło w duszy Słowackiego w połowie 1842 roku.

Pod nim na tej samej karcie zaczyna się ustęp, drukowany w pośmiertnem wydaniu pism Słowackiego <sup>1)</sup>, którego pierwszy wiersz brzmi: „Cieszymy się w Bogu i niech ta pociecha...”.

### III.

Przejąwszy się na swój sposób towianizmem, Słowacki nie zaniedbał „Beniowskiego“, tylko zaczął postaciom i scenom poematu nadawać głębsze, mistyczne znaczenie, i wogóle inaczej, niż dotychczas, pojmować rolę swoją, jako poety. Szczególnego znaczenia nabrały dlań wówczas dwie postaci poematu, już w tradycyi mistycznym urokiem owiane: ksiądz Marek—cudotwórca i Wernyhora—prorok. Ale w „Beniowskim“ stały te postacie dotychczas na drugim planie; ażeby je na pierwszy plan wyprowadzić i w całym blasku mistycznym pokazać, Słowacki, który wówczas zostawał pod urokiem poezyi Calderona, zwrócił się do formy jego dramatu i napisał dwa poematy dramatyczne: „Ksiądz Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. By-

<sup>1)</sup> Pieśń VII-ma.

Iy to jakby dwa mistyczne dzbanki, w które ulął wezbranej i zmaco-nej nowemi wyobrażeniami treści dawnego poematu. W „Księdzu Marku“ znalazła się konfederacya barska i górujący nad nią ksiądz Marek; w „Śnie srebrnym“ walka szlachty z chłopstwem i górująca nad nią postać Wernyhory.

W nieznanach fragmentach, które zaliczyłem do trzeciego okresu, są ślady żywego zajęcia się temi dwiema postaciami. Więc na-przód przed wstępem, wydrukowanym w wydaniu Małeckiego, jako fragment drugi pieśni XI-ej <sup>1)</sup>, są w autografie (luźny arkusz listowy) trzy strofy, nie wciągnięte przez wydawcę zapewne dla tego, że zawierają pewną sprzeczność z następującemi. Mianowicie, opowiada w nich *ktoś* o Wernyhorze, a w następnych ten *ktoś* już sam występuje widocznie, jako Wernyhora.. Są one jednak bardzo godne uwagi z tego powodu, że powtarzają motyw wydobycia liry z ziemi przez Wernyhore, motyw, który poeta szczególnie umiłował, bo opracował go w dwu innych wariantach <sup>2)</sup>, a potem wprowadził do „Snu srebrnego Salomei“.

Starzec odgonił konia upiornika  
W mgłę i klnąc chodził, deptąc białe grzbiety  
Mogil... Ja cały drżał, na kształt czyżyka  
W liściach... i w ziemię rad-by wszedł jak krety...  
A starzec chodził pośród mogilnika  
I pytał.. Córko! liry moja, hde ty?  
A wtedy serce grać zaczęło u mnie  
Strachem... bo liry ta zagrała w trumnie.

Na jakąś dziwną nutę niesłyszaną  
Odezwała się w grobie, jak anioły.  
Starzec... zasłuchał się... padł na kolana...  
I z płotu stare wylamawszy koły  
Grób rozkopywał — i tę rozplakaną,  
Brzęczącą jemu w rękach, na kształt pszczoły, .  
Lirę ja widział... z mogił zmartwychwstałą...  
I dotąd nie wiem, Lachu, co w niej grało.

Duch jakiś starej matki Ukrainy,  
Co jeszcze nie chciał spać pod mogilami,  
Hetmańska dusza... i hetmańskie czyny,  
Groby, kraczące we mgle sokołami,  
Dawność stepowa... pomrok mgłami siny...  
Rozebrzmiał <sup>3)</sup> w strunach i szedł klawiszami,

1) „Wy teraz tego nie pojmiecie, Lachy...“, tom drugi, strona 97.

2) Podane w wydaniu Małeckiego z roku 1885, na str. 94 — 95 i 105  
tomu drugiego

3) W autografie jest inny wyraz, ale nieczytelny.

Jakby dziecinna rączka nieuważna,  
A czasem starca dłoń ciężka i ważna.

W jednym z fragmentów jest dłuższy ustęp niedrukowany, który się nie wiąże ani z tem, co jest przed nim ani z tem, co po nim następuje; cały też przez samego poetę przekreślony:

A wtenczas Bóg rzekł memu Aniołowi  
Bezcielesnemu — przybliź się do ziemi,  
Podobny tęczy i słowa dźwiękowi,  
Który jękami się girlandowemi  
Toczy po grzmocie, gdy skała odpowie,  
A druga weźmie spad i rozgłośnemi  
Echy... po dziesięć razy odpowiada,  
Jak głos co skacze, grzmi, huczy i spada.

To rzekł: a ja Duch w tych umiłowanych  
Polach... w pasiece leśnej... kędy ona  
Często w mgłach zorzą płomienną różanych  
Nad stawem... z dźwiękiem każdym oswojona  
Woła bywało łabędzi kochanych,  
I na skrzydła im i srebrne ramiona  
Żer sypie... z wielką patrząca rokoszą,  
Jak się od deszczu złocistego płoszą.

Do dziś dnia śniący o niej — wtenczas blizki  
Stanąłem... słowa szepczący tajemne,  
A wnet oczy tej wschodniej odaliski  
Błysnęły... chociaż były bardzo ciemne  
Smętkiem... poczęły się w niej jakieś błyski  
Myśli, podrzuty rozpaczne — daremne,  
Wyłamywania się z pod losu ciśnień.  
To mocą... w duszy podobną do błysnień...

Stanął jej w oczach stary dziad — o miłą  
Żyjący w małym miasteczku — bezludnie,  
Na świecie jeszcze, a już jak w mogile;  
I wymalował się jej w oczach cudnie  
Ów starzec, który miał coś w kości sile,  
W tej skórze, która mu na kościach chudnie,  
Tak poważnego — że ta ziemia chmurna  
Krwawo — dawała mu postać Saturna.

Hiszpanią zwiedził za młodu i z Sasem  
Drugim, który był na Polaków tronie  
Byki zabijał... złotym polskim pasem,  
Jak tęczą, naprzód im rogate skronie  
Nakrywszy... a gdy ogromnym łałasem  
Grzmiały klaszczące wkoło dziewic dłonie,  
I twarz nie jedna stawiała się bladą,  
Szablą im ścinał polską łby, nie szpada.



Sen o Hiszpanii mu został na spodzie  
 Wspomnień, i z wspomnień czarem się dobywał,  
 Jak sen o złotym hesperyd ogrodzie,  
 Gdzie niegdyś szlachcic jabłonie obrywał.  
 Teraz już nie był między ludźmi w modzie,  
 I rzadko bardzo między ludźmi bywał,  
 Lecz żył samotnie... o jednym folwarku,  
 W miasteczku małym nad Ladawą — w Barku.

Często bywało ja, duch smętny, chodzę  
 Po jego szarym domu, gdy śpi stary,  
 I sny mu złote za rękę przywodzę,  
 I słucham... co on, widzący te mary  
 Dawne znajome swoje, króle, wodze,  
 Biskupy... Turki czarne i Tatarzy,<sup>1)</sup>  
 Zagada... zwykle milczy w obecności  
 Zmarłych... a . . . . .<sup>1)</sup> śmierci drży do kości.

Czoło mu całe potnieje — pierś dysze  
 I wyprzeża się... jak mogiła wzdycha.  
 Wtenczas bywało ja po bokach słyszę  
 Duchy stojące z gwiazdami — oczyma,  
 Słowa, których tu w pieśni nie napiszę,  
 Bo gdybym pisał, to mię strach zatrzyma  
 Za rękę i tchem zagasi pochodnie:  
 Były to wszystkie jego rodu zbrodnie,  
 Cicho liczone w nocy przez te duchy,  
 Podobne kropłom deszczu, które z rynny  
 Spadają, ciągłym tonem smętnej pluchy,  
 Gdy w domu leży trup przy światłach siny,  
 A dom jest w sobie i smętny, i głuchy,  
 A ów tylko deszcz, jak strumień doliny  
 Jozafatowej, za oknami płacze,  
 A czasem warknie pies, albo puhacze.

Bywało starzec, gdy się taki zbliża  
 Sen, to go przeczuł przed nocą i klęczy,  
 Do czerwonego modlący się krzyża  
 Boleśnie...

W dalszym ciągu po małym odstępnie zaczyna się ustęp, także przekreślony, a pisany nie stroficznie. Pierwszych pięć wierszy tego ustępu wciągnął profesor Małecki do swego wydania, mianowicie te wiersze <sup>2)</sup>).

1) Tu następuje jakiś dwuzgłoskowy wyraz nieczytelny.

2) Tom drugi, strona 128.

Kiedy panna Aniela wbiegła do Anielinek  
 Wszystkie kwiatki ją młode owionęły zapachem,  
 Pszczółki zaczęły brzęczeć — źródła ją na spoczynek  
 Zapraszały i brzozy — a gołębie pod dachem  
 Turkać głośniej zaczęły — z jej przylotu <sup>1)</sup> radosne.

Dalszych kilkanaście wierszy tego ustępu wydawca dla braku wykończenia, czy też z innych powodów, opuścił, oznaczając to szeregiem kropek. Owe opuszczone w druku wiersze są następujące:

Źródła w szmaragdach głośne,  
 Brzozy cicho szepczące,  
 I gołębie miłosne,  
 I Anielinek okna, jak złote miesiące  
 Błyszczące się w zieleni.

Wbiegła do Anielinek i znalazła, że w sieni  
 Dziad jakiś siedział stary... i gawędził z jej niańką  
 Diwą... która na szyi jakby miała z płomieni  
 Słońce... złote... ogniste...

Panienska to Ladawska jeżdżąc raz na Przczystę  
 Do Poczajowa, medal ten przywiozła święcony  
 I zawiesiła Diwie na sznureczku korali  
 Medal ten Matki Boskiej... co jak miesiąc czerwony,

Gdy smętnie się zapali,  
 Wschodząc nad step...  
 Często, kiedy w pasiece  
 Staruszka niańka stoi,  
 Zda się, że czarownica w czarnych duchów opiece  
 W gwiazdzianej zbroi.

Można się domyślać, że stary dziad, którego panna Aniela znalazła rozmawiającego z niańką, jest owym starym dziadem, który „Hiszpanię zwiedził za młodu“ i miał sny straszne, ale darmo silić się na odgadywanie, jaką mu rolę poeta chciał wyznaczyć w poemacie. Trudno też zrozumieć, dlaczego poeta przed tą sceną w Anielinkach, która w wydaniu Małeckiego występuje jako pieśń XIII, położył napis: „Pieśń VII“. Czy pod wpływem nowych wyobrażeń, nowego poglądu na świat i swoje powołanie, zmieniał radykalnie plan poematu i chciał odrzucić wiele pieśni, przedtem napisanych? Nic tu pewnego powiedzieć nie można. Natomiast można dosyć dokładnie określić czas, kiedy pisane były te ostatnie wiersze i poprzednio po-

1) W wydaniu A. Małeckiego zamiast „przylotu“, czytamy „przybycia“.

dane strofy. Oto w jednej ze śtrof poprzedzających, a bardzo blizkich <sup>1)</sup>, czytamy takie rzeczy:

Nad morza teraz uciekam — i blade  
 Tęczą nadmorskich kwiatów wietrzne <sup>2)</sup> pola  
 Depczę, a wielkich duchów o poradę  
 Pytam; i często piorunowa wola  
 Ściąga mi taką moc, że ręce kładę  
 Na wiatrach, jako na harfy Eola  
 Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniej,  
 A ja posyłam na północ te pieśni.

Jeżeli tę strofę zestawimy z ustępem pewnego listu Słowackiego do matki, to znajdziemy rażącą zgodność w wyrażeniach. Pod datą 12 sierpnia 1844 roku, wkrótce po powrocie do Paryża z pobytu nad morzem, tak pisał Słowacki do matki: „Nad oceanem odebrałem twój list, najukochańszy, najmilszy z listów, bo pełny wesela, z rozradowanej duszy cały wyjęty, otwartymi ustami śpiewany Bogu, prawdziwie taki hymn, jaki się od duchów-aniołów Bogu należy. Odebrałem go w pierwszych dniach pobytu mojego nad morzem, i z tym listem poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą białych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione“ i t. p. Niewątpliwie przytoczona strofa drukowana musiała być pisaną mniej więcej współcześnie z wrazeniami, w liście opisanymi, a zapewne niedługo potem pisał Słowacki i te fragmenta, dotychczas niedrukowane, które w autografie następują po owej strofie drukowanej i w blizkiem z nią zostają sąsiedztwie.

#### IV.

Fragmenta, zaliczone przeze mnie do grupy czwartej, mają jedną zewnętrzną spójnię bardzo wyraźną, mianowicie pisane są na jednakowym papierze, grubym, prążkowanym, z wodnemi znakami, bardzo różnym od tego, którego przedtem używał Słowacki na bruliony. Wewnętrzną cechą, spajającą te fragmenta w jedną grupę, jest mis-

1) Wydrukowana w wydaniu Małeckiego w tomie drugim, str. 126.

2) W wydaniu Małeckiego wydrukowano przez omyłkę: „wieczne“.

tyczny ich charakter, daleko wybijając się, niż we fragmentach grupy trzeciej, i zbliżający grupę czwartą do „Króla-Ducha“, do którego ona staje się w ten sposób przejściem. Jeden tylko mniejszy fragment o Kazimierzu Puławskim nie ma wyraźnej cechy wspólnej wewnętrznej i zaliczony został do grupy czwartej tylko dla swojej zewnętrznej wspólności z innymi fragmentami.

Zajmuje on całą stronę karty, której druga strona zawiera inny fragment, żadnej z tamtym nie mający łączności, prawdziwie dantejski obraz. I tu, jak się zdaje, występuje panna Aniela, ale w jakże odmiennej roli. Żeby objaśnić tę rolę, potrzeba przedtem zaznajomić czytelnika z innym fragmentem, nieznanym, największym i zapewne najgodniejszym uwagi ze wszystkich, tu podanych, a jeszcze przedtem kilka słów powiedzieć o genezie tej postaci w „Beuiowskim“.

Bohaterka tego poematu została nazwana Anielą, na cześć panny Anieli Moszczeńskiej, młodej, bardzo bogatej Ukrainki, którą Słowacki poznał w roku 1838 we Florencyi i w której domu był częstym gościem. W jednym z późniejszych listów do matki scharakteryzował ją, jako „pannę nie ładną, ale dość kształtną i uczoną, i bardzo popsutą; była albowiem panią w domu i wola jej panowała nad ojcem i matką“. Słowackiemu zdawało się, że go ciągną do panny; ojciec mawiał do niego: „popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię“, i Słowacki, chociaż serce jego, jak sam powiedział: „było zupełnie zimne i wszystkie wady widziało“, gotów był się z nią ożenić, a to dla tego, „żeby nie mieć kiedyś na sumieniu swoim, że się po szczęście, w ludzkim rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy mu leżało na drodze“. Ale stosunek ten prędko rozchwiał się i poecie została po nim tylko „gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano z niego“. Wtedy-to za doznany zawód odpłacił się dwoma sonetami do Anieli M. W jednym gniewał się na tę, „która go chciała zdeptać“ i chelpić się wbrew prawdzie, że była kochaną przez niego; w drugim wołał:

Ol pierwej piekło, niżby czoło dumne  
 Na twojem zimnem sercu kiedy spało!  
 A niż całować twe usta rozumne  
 I twoje białe, marmurowe ciało  
 Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,  
 Jaką ty jesteś, zimna — lepiej w trumnę!

Ale stało się, że panna wkrótce potem umarła, podobno wskutek nieszczęśliwego przypadku w kąpieli morskiej, i śmierć ta otworzyła przed poetą szerokie pole dla przypuszczeń i rojeń, dogadujących ich i miłości własnej, i marzycielskiej jego naturze. „Choćby to było

w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu... Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni, i spuszczaając oczy przede mną, pyta się: dlaczegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiękniała w oczach moich". Tak pisał do matki z Paryża w listopadzie 1839 roku <sup>1)</sup>.

Tak upięknioną przez śmierć, wprowadził w rok potem do swego poematu, i wyznaczył jej rolę głównej bohaterki, a osadzając ją na tle podolskich, dobrze znanych sobie z dzieciństwa, krajobrazów, owiał ją urokiem żywych, dzieciennych i młodzieńczych wspomnień. I nie poprzestał na tem: w drugiej pieśni „Beniowskiego“ poświęcił jej osobno parę strof prześlicznych, gdzie przedstawił, jak jej dusza po śmierci płynie w nieskończoność:

Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić,  
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,  
Ze słońce na wielkie słońca i nad słońca.

Po ogłoszeniu drukiem pierwszych pięciu pieśni „Beniowskiego“, panna Aniela była tą postacią, która się wszystkim najwięcej podobiała, co jej zapewne w oczach poety tem większego dodało uroku. A kiedy w roku 1842 nastąpiło w poecie wielkie duchowe przeobrażenie, kiedy na siebie, na całą przeszłość swego życia i swojej poezyi innemi zaczął spoglądać oczyma, wtedy i bohaterka jego poematu innego, wyższego zaczęła nabierać znaczenia. Widać to szczególnie ze strof, wprowadzonych w pośmiertnem wydaniu do pieśni XII <sup>2)</sup>, gdzie o piękności kobiety powiedziano, że może „w duchu będąc, robić cuda“.

Lub sama przez się robić, lub się w drugą  
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,  
Zwyczajną bronią w rękę i kolczugą  
Sercu, i słońcem, które świeci nocą,  
I panią razem, i razem być sługą,  
I nawet w świecie aniołów pomocą;

. . . . .

Widzimy, że w tych strofach, pisanych w roku 1844, Aniela ze stanowiska pięknej, czulej i hartownej kochanki bohatera rycerskie-

<sup>1)</sup> Listy do matki, tom drugi, str. 124.

<sup>2)</sup> Tom drugi, str. 125.

go romansu wznosiła się wysoko, stawała się jakby natchnieniem, duchową przewodniczką Beniowskiego. Tym sposobem, przez nią właśnie, chciał poeta swój poemat, rozpoczęty w celach, które mu się wydawały teraz niskimi, w celu walki o sławę, dostroić do swego duchowego przeobrażenia, do swoich nowych mistycznych na świat i życie poglądów. Ale takie dostrojenie było rzeczą niezmiernie trudną, nie tylko dla tego, że początkowe pieśni poematu w zupełnie innym, donżuanowsko-aryostycznym były pisane tonie, ale i dla tego, że poecie chodziło teraz przede wszystkim o wyrażenie w poemacie mocnej wiary, którą był wówczas przejęty, w metempsychozę i w swoje własne powołanie. Że już wówczas, w roku 1844, pisząc cytowane wyżej strofy o Anieli, nosił w sobie Słowacki związek „Króla-Ducha“, świadczą o tem wymownie dalsze strofy, bezpośrednio po tamtych następujące, w których mówił o swojej cudownej mocy oddziaływania na naturę i ludzi. Zresztą i barwne tło konfederacyi barskiej, oblane pełnem światłem pamiętników historycznych, które go przedtem tak nęciło, nie odpowiadało już później jego nastrojowi, bladło przy marach i gorących wizjach, które go często wtedy nawiądywały.

Nadeszła wreszcie chwila, w której poeta przekonał się, że żyjące w nim idee, które się domagały poetyckiego wcielenia, w żaden sposób nie dadzą się pogodzić z treścią dawnego poematu, i postanowił rozstać się z nim i dla nowych idei wziąć nową osnowę. Z jedną rzeczą tylko rozstać się nie chciał: z postacią Anieli, która coraz wyższego i bardziej mistycznego nabierała dlań znaczenia, i pragnął wprowadzić ją z niedokończzonej, skazanej na ruinę budowy, ażeby wprowadzić do nowego poematu, jako swoją muzę, swego opiekuńczego anioła, wcielenie swoich natchnień.

Świadectwem takiej chwili jest nieznaną fragment, który chce teraz podać, bardzo piękny i najobszerniejszy ze wszystkich, które z autografów wydobyłem. Aniela przedstawiona tu jest na tle przyrody podolskiej, jak w pieśni XII-ej, i staje się poniekąd jakby wcieleniem jej piękności. Początek pierwszej oktawy jest dalszym ciągiem zdania, którem się kończyła strofa poprzedzająca, w autografach niezaleziona, a w którym była mowa o kosarzach:

I zaczną ostrzyć kosi... a dzwon głuchy  
Pójdzie na pole od tych dźwięków stalnych.  
Aniela kiedy biegła, wszystkie duchy  
Piękności, nakształt harmonii chorałych,  
Grały w błękitach — Tu topól łańcuchy  
Wiatrem powiane, pełne niewidzialnych  
Aniołków... srebrnym brzękiem i szelestem  
Mówiły każda, zda się, duszy: jestem...

Tam harfa złota pszczoł — ulatująca  
 Ponad kwiatami... smolnemi słodyczą,  
 Z całym ciężarem letniego gorąca  
 Myśl utłaczała. Tam świerszczyki krzyczą  
 I motyl, Psyche natury błyszcząca,  
 Na skabiozach siada... Trzody ryczą  
 Zdaleka... cała natura oddycha  
 I gra, jak harfa — choć, zdaje się, cicha.

Aniela — tego poematu pani,  
 Królowa... znała wszystkie dźwięki, głosy.  
 Świat ten widzialny był stworzony dla niej,  
 Dla tego smętne jej malując losy,  
 Wyciągnąć muszę aż z duchów otchłani,  
 Ażebym zaplótł do dziewiczej kosa,  
 Nie róże, ani kamelii bukiety,  
 Lecz całe złote gwiazdy i planety.

Zwłaszcza czerwone te gwiazdy, fixaty  
 Niebios... które wzrok mają w ziemię wryty,  
 Jak wzrok upiora, zimny, lodowaty,  
 Przenikający nawskroś przez błękity.  
 Przez nią i dla niej więc otworzę światy,  
 O których ledwie dziś polskie kobiety  
 Wspomną... choć pewnie przez wiek do nas cały  
 Z tych ojczyzn, jako anioły, leciały.

Lecz któż pamiętał, czem był?.. Anhelica  
 W Anielę ziemską nagle przemieniona,  
 Gdy szatan spadał tak, jak błyskawica,  
 I kłębem dymnym czarnego ogona  
 Trzecią część srebrnych gwiazd i ówierć księżycą  
 Zrzucił, — w tym deszczu ognistym zrzuciona,  
 Z duszą, jak Psyche wszędy latającą,  
 Stała się — muszę rzec — jasnowidzącą.

Następuje kilkanaście wierszy, odrzuconych przez poetę, między  
 którymi są bardzo pomazane i nieczytelne. Po nich znowu strofa nie-  
 przekreślona:

Wielka <sup>1)</sup> choroba duszy — ale wdzięczna  
 I tajemnicza... przyszłych rzeczy wróżka,  
 Ta czyni, że myśl, jak tarcza miesięczna  
 W różnych kolorach chodzi, duchom družka,  
 Jak Irys, albo Afrodyta, zręczna  
 Latać powietrzem... Chociażby z kopciuszka  
 Zrobiona panią, królową miesiąca,  
 Z oczarowanej różą — czarująca.

1) Wyraz nieczytelny, zdaje się, że „wielka“.

Następuje kilka wierszy przekreślonych, próba nowej strofy, poczem znowu idą strofy nieprzekreślone:

W Anieli ten czar wstawał, lecz stopniami,  
Powoli... Były w Anielinkach brzozy  
I smętarz biednych chłopków pod brzozami  
Bez żadnych pochlebstw i apoteozy  
W napisach, szelestu drzew lekkimi snami  
Zaludnił miejsce to... Kawek obozy  
Na dwóch wysokich klonach w zawierusze  
Unosiły się czarne — jak złe dusze.

Niżej kwiateczki polne a w brylanty  
Ubrane, z trawą białą, jak osoka,  
Na brzozach różne ptaszki muzykanty,  
Zdaleka kaskad szum, jak głos proroka  
Groźny i smutny; opodal bażanty,  
Albo też pawia tęcza złotooka,  
Z pod brzozowych się paliła warkoczy,  
Jak duchów z nieba powróconych oczy.

Wokoło bowiem były bażantarnie  
Anieli <sup>1)</sup> . . . . .  
A dalej bardzo pitoresque ceglarnie,  
Wapienne piece... które z blizkiej góry,  
Jak Polifemów olbrzymie latarnie  
Tryskały piekiel dech przez wszystkie dziury,  
A w dzień włóczyły dym po złocie łąnów,  
Podobny do chmur, albo do szatanów.

Następuje kilka wierszy odrzuconych, z których trzy pierwsze, jako godniejsze uwagi, przytaczam:

Pitoresque miejsca, ten element nowy  
Poezyi, dawniej ciemny, dziś odkryty  
Wprowadzający ducha w kraj duchowy...

Potem znowu strofy nieprzekreślone:

Tamto — na dymy patrząc, jak majaczą  
Po czystych niebios szklanych oddaleniach,  
Jak groby leżą, młode brzożki płaczą,  
Trawy się srebrzą przy maku płomieniach,  
Aniela, z dziwną kochanki rozpaczą,  
Doszła... do czego świat po objawieniach  
Dojdzie — że świat ten jest duchów robotą,  
Prac naszych wiecznych księgą — z klamrą złotą,

<sup>1)</sup> Dalsze słowa tego wiersza są nieczytelne.





Dziwne uczucie to, kiedy jak Irys  
 Słoneczna dusza na tęczach, w otchłani  
 Stoi i cała drży, ubrana w kirys  
 Archaniolowych tęcz, a w nią szatani  
 Wężem piorunów biją. -- Jak Oziris  
 Lub Izys, moja latająca pani,  
 Nie wiedząc, kto w niej nowe myśli budzi,  
 Miała już w sobie wiarę przyszłych ludzi.

O! męczennico piękna! w tym ogrodzie,  
 Gdzieś żyła, byłem dzieckiem... przy miesiąca  
 Blasku, na stawów tych błękitnej wodzie,  
 W gajach, gdzie dusza twoja śni szepcząca,  
 Często, gdy stanął zamysłony w chłodzie,  
 Myślałem, że mię ktoś za ramię trąca,  
 Woła, ucieka, kryje się za drzewa,  
 Za kaskadami chowa się i śpiewa:

Com wycierpiała w ogniu, który czyści  
 Ludzkie miłości, a w powietrzu gore.  
 Tego nie cierpią duchowie ogniści,  
 Ani zamknięte dusze w drzewną korę.  
 Reszta jej skargi w szelestach się liści  
 Wpół wyjawiała, a ja piękną zmorę  
 Nieraz widziałem przed oczyma duszy  
 I drżałem, że nią Bóg, jak słońcem, ruszy.

Otóż tej duszy piękność i przecucie  
 Było w tej wojnie Olimpem, gromadą  
 Bogów...

Od niej to powieść mam wielce płaczącą,  
 Która nam z oczu posepnych odbierze  
 Gromadę moich ludzi latającą  
 I moje widy, i moje rycerze,  
 A duch, pozbyty płci, z duszą gorącą,  
 Weźmie wyższy ton i kolory świeże,  
 I tak w powagę ojców się odzieje,  
 Jak lirnik, który śpiewa dawne dzieje.

A czy to cudzą powieść, czyli własną  
 Śpiewam, niechaj nikt o to się nie pyta.  
 Gdy dawne gwiazdy zachodzą i gasną,  
 Nowa, jak słońce różane, rozkwita,  
 Od której duchom starym będzie jasną  
 Praca i boleść dawno już przebyta,  
 A dziś ze smętkiem ludu i miesiąca  
 Na długi, przyszły czas zmartwychwstająca <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Strofa ta w drugim wydaniu (1885) Pośmiertnych pism Słowackiego drukowana jest na samym końcu „Dodatkowych luźnych urywków“ Beniowskiego (tom drugi, strona 161).

Ale nie sama — był tam jeden nowy  
 Duch, już rosnący na poetę ludu,  
 Ubogi — był to syn czynszowej wdowy,  
 Syn, jak mówiono, nieszczęścia i cudu...

Tak więc poeta miał zamiar rozpocząć nową powieść, wielce mistyczną, której bohaterem miał być sam on, a raczej duch jego, a w której Aniela miała wystąpić jako wcielenie idei narodowej, jako jakaś nadziejska, kierująca wypadkami, istota. Z tego zamiaru potem wyłonił się „Król-Duch“, ale nim do tego przyszło, poeta próbował innych dróg, innych tematów. Domyślał się tego z kilku innych fragmentów, zaliczonych przeze mnie do czwartej grupy. Podaję je teraz, zaczynając od tego, o którym już wspomniałem, że ma prawdziwie dantejski charakter. Zdaje się, że tu Aniela (nie nazwana zresztą po imieniu) występuje jako jakiś duch przewodniczy, dający pociechę we śnie nauki i objaśnienia, dotyczące różnego rodzaju duchów. I tu początek jest dalszym ciągiem myśli, gdzieindziej zaczętej:

Tam, gdy je spotkasz — w noc i błyskawicę  
 I w burzę — staną za wierną kotwicę.

Chrystus nie może światły niebieskiemi  
 Przebieć na wylot... te grobowe męty  
 Ciągłe latają, jak mgły, blisko ziemi  
 I sobą tworzą kształt nikły, nie święty...  
 Biada ci, jeśli nie aniołowemi  
 Duchami będziesz jak harfa natchnięty,  
 Żywota twego cele będą marne,  
 Gwiazdy przy zgonie smętne — niebo czarne.

A wtenczas ona z gwiazd sobie na głowie  
 Zrobiwszy kwiaty, a liście z promieni  
 Miesięcznych, rzekła: oto są duchowie  
 Z tobą na dalszą walkę przeznaczeni.  
 Te w mgłach skry... których takie widzisz mrowie  
 Jako na próchnie z płótna... tych się cieni  
 Bój... to są duchy niepełne, kobiece,  
 Bez świętej treści, zowią się Ognice.

Dawno od ducha sprawy odwrócone  
 W przeciwną drogę... przez ciała i trumny  
 Lecz, jako émy z płomienia czerwone,  
 I tak się znowu zbijają w kolumny.  
 Te często ludziom, choć tylko przyśnione,  
 Duch biorą... i sen śnity, bezrozumny —  
 Białością srebrnej piersi i uśmiechem  
 Ust koralowych — czynią smętnym grzechem

Te, które widzisz wyżej, mniej są winne,  
 Wietrznice — dawniej zwane Oready,

Bardziej różane i srebrniej niewinne,  
 Świat gołębiami nalatują stady,  
 Te, patrz, zielone, jakimi je gminne  
 Zowią piosenki — wodnej są gromady.

Na tem się fragment kończy. Zboku tylko jeszcze dopisał poeta:

Rzekła, a jam się pytał we śnie znowu  
 O inne światła...

Inne drobne fragmenta, które do tej czwartej grupy należą, są także wysoce mistyczne i może trudniejsze jeszcze do objaśnienia. Jaki ich jest wzajemny stosunek, jaki pomysł ogólny je wiąże, daremnie silić się na dociekanie. Oto naprzód jeden, pisany na obu strokach luźnej karty:

Lękaj się jego, ja znam, co on znaczy,  
 Jest to najstarszy między Słowianami,  
 Który miał niegdyś złoty kij zebraczy,  
 A ten go wiatrem niósł i pędził mgłami,  
 Jak piorun... aż Bóg, który sny tłómaczy,  
 Papież naówczas nad światem i nami,  
 Kiedy się z Athen rozchodziła wiara,  
 Zesłał na wiatrach naszego Awara.

Skąd wiem, nie pytaj... a są większe rzeczy  
 Które my znamy, ludzie teraz prości,  
 A które potem nauka skaleczy,  
 I z nową wiarą poda za nowości,  
 Ten sam duch, wielki jak Bóg a człowieczy,  
 Zrobił paladyum z Pelopida kości,  
 I ten relikwiarz nakrywszy kościołem,  
 Miast całych bronił trupem — jak aniołem.

A i toż nowi podadzą za nowe,  
 Bo mi mówiono... w nocy — jacy będą  
 Ci, którzy wezmą krzyże Chrystusowe  
 I za tysiąc lat... cały świat zdobędą.  
 Tu, gdzie my nogi — tam postawią głowę,  
 I ducha kształty te same oprzędą,  
 A teraz mają swą latania chwilę,  
 Tem piękui, że są świezi, jak motyle.

Niechże więc nowość u ciebie popłaca,  
 A nas odegnaj, rzuć... jak zbite dzbanki,  
 Niech więcej nie ma ciężka ludu praca  
 Tych świąt z ogniami, z kwiatowemi wianki,  
 Niech się las nigdy ogniem nie wyłaca,  
 I kołędami nie brzęczy multanki,  
 Znieś wszystko... wszystko, duchu obłąkany,  
 Zostaną jednak wiecznie te kurhany.

Co znaczy ten ustęp? Co najwyżej można się domyślać, że to jest głos dawnej, pogańskiej, słowiańskiej przeszłości, zwrócony do poety. Drugi fragment, zajmujący jedną stronicę luźnej ćwiartki, zwraca na siebie szczególnie uwagę tem, że ma na czele napis: „pieśń XXIV“, i że jest wspomniana w nim „panna Starościanka“, co wyraźnie wskazuje, że poemat, który powstawał na gruzach dawnego „Beniowskiego“, liczył cały szereg pieśni, dzisiaj nam wcale nieznanych. Oto jest ów fragment:

## Pieśń XXIV.

Zakończył śpiewak — a jego sielanka  
 Królewska... dziwnie pomiędzy gwiazdami  
 Dzwoniła... niby aż z Pelejad wianka  
 Mająca lutnię. Tęczowemi snami  
 Zda się... widziała panna Starościanka  
 Pomalowane kłęby mgieł nad mgłami,  
 Gotowa duchom przypisywać dźwięki  
 Zwyczajne, polne, przed zejściem jutrzeńki.

Czas był wojenny... więc już rzenie koni  
 I głos lozaków słyhać było zdala;  
 Już cerkwie wioski <sup>1)</sup> na srebrzystej skroni  
 Miały róż ranny... już burzanów fala  
 Pod wiatrem sucho szeleści i dzwoni  
 I grzmi... i coraz głośniej się przewala,  
 Kładąca bałwan suchy na bałwanie,  
 Grzmot na grzmot. Taki głos na Oceanie,  
 Gdy wschodzi słońce, a nie mniejszy prawie  
 Głos ma stepowa, bujna Ukraina,  
 Więc już i kawki, więc już i zórawie  
 Leciały... więc już na skrzydłach (?) zaczyna  
 Anioł dnia skrzydła swe złote i pawie  
 Roztaczający... a pod nim dolina,  
 Niby przez wichrów kołysana pieśnię,  
 Jeszcze — z wioskami cała — w mgłach i we śnie.

Na drugiej stronie karty, na której jest ów fragment, znajdujemy drobne urywki, widocznie nie wiążące się z sobą:

Oto jeden:

Skoro dreszcz wielki ustał — a źrenice  
 Otwarte stały się na ducha światy,  
 Na wszystkie gwiazdy i na błyskawice,  
 I na słoneczne Boże majestaty,  
 Pierwszy duch, który trącił mię skrzydlaty  
 I twarz pokazał... był duch Zoryana,

1) W autografie: „z wioski“.

I pierwsza w niebie harmonia słyszana  
Była szelestem jego cichej szaty.

Te ostatnie urywki bardzo przypominają „Króla - Ducha“, i bodaj czy nie wchodzą już w sferę jego okrucichów. Nie zastanawiając się nad tem dłużej, chcę na zakończenie pokazać jeszcze jeden szczególny węzeł, który łączy ten poemat z „Beniowskim“, i jest jedną więcej wskazówką, że pewne elementa „Króla-Ducha“ tkwiły już w „Beniowskim“. Tym węzłem, który staje się widocznym szczególnie dzięki jednemu z nieznanych ułamków poezyi Słowackiego, przede mnie tu podanych, jest—panna Aniela. Wiemy, jak z zimnej, marmurowej skały, zamieniła się naprzód w czulą kochankę, potem w natchnioną przewodniczkę bohatera, potem w „królowę poematu“, anioła w ziemskiej postaci, opiekuńczego ducha poety, wreszcie we wcielenie idei narodu i piękności przyrody ojczystej. Dodajmy do tego, że jest ona wcieleniem nietylko wewnętrznej piękności ducha narodu, ale i zewnętrznej piękności ojczyzny, jej przyrody, a zarazem muzą i mistrzynią poety, to jest ma taki charakter, w jakim się nam ukazała już panna Aniela w „Beniowskim“, z tą różnicą, że w nowym poemacie postać ta boskim już prawie otoczona blaskiem. W rapsodzie drugim <sup>1)</sup> nazywa się już ona „piękna Przenajświętsza“, a także „jutrzienka Słowa“ i „Pani Słowa“, i tam-to przez duchy swoje roztacza nad „Królem-Duchem“ opiekę. W następnych rapsodach nowa ukazuje się ewolucya, albo, lepiej mówiąc, substytucya, Pani Słowa zamienia się już całkowicie na Najświętszą Pannę, która odtąd staje się muzą, opiekuńczym duchem poety. W rapsodzie trzecim poeta wzywa ją, „aby oświecała nędzną rytmiarza robotę“, w rapsodzie piątym śpiewa o niej i o sobie:

Nad księżycowym świecąca się nowiem  
Panna mię trzyma na anielskiej straży  
I świecącemi otoczywszy koły,  
Naucza we śnie przez swoje anioły.

Panna Aniela naturalnie rozplywa się już zupełnie w tym obrazie, wziętym z narodowej tradycyi religijnej, ale dopóki występuje w „Królu-Duchu“, jako Pani Słowa, świadczy wyraźnie o swoim pochodzeniu z „Beniowskiego“. A nawet i potem, kiedy już poeta obrał sobie stanowczo Najświętszą Pannę za muzę, przypomina mu się jeszcze <sup>2)</sup> dawna jego Umiłowana:

<sup>1)</sup> Tom drugi, str. 213 — 217.

<sup>2)</sup> Tom drugi, str. 319.

...ta dawniej na wiatrach grająca,  
 Której na głowie gdzieś gwiazdy prześliczne,  
 Tak jako krążek srebrnego miesiąca,  
 I skry i głosów narzędzia muzyczne  
 Ducha wabiły...

A jeżeli sobie uprzytomnimy, jaka to postać służyła poecie za model dla bohaterki „Beniowskiego” i jak gwałtowne tony oburzenia i wzgardy ta postać naprzód wywołała w jego poezyi, to przeobrażenia, którym ulegała pod wpływem różnych usposobień poety, a które ją w końcu wyniosły do sfer niebieskich, do stopnia jakiejś boskości, najlepiej nam okażą tę niesłychaną giętkość wyobraźni Słowackiego, która była jedną z najwybitniejszych cech jego, jako poety.

JÓZEF TRETIAK.

---

## OD REDAKCYI.

---

W papierach generała Wincentego Krasińskiego przechował się ciekawy list, który dziś podajemy do druku. Że do dziś przeleżał w pluce innych i do rąk naszych doszedł, to dzięki temu, iż generał Krasiński miał zwyczaj, i więcej niż zwyczaj może — przywiązanie, które w każdym świadectwie o przeszłości, niemal w każdym liście i notatce mieścił — przywiązanie, nakazujące wszelkie, choćby najbliższe, wspomnienie ludzi i rzeczy zachowywać, nie niszczyć.

A list ten warto było ocalić od niepamięci. Niech czytelnik osądzi—i wyczyta w tej prośbie starego emigranta—dziwne koleje życia, dziwny daleki świat — niech mu przed oczy stanie legendowy prawie rycerz Barski—żołnierz tułacz i jak Sindbad-marynarz awanturniczy, niesłychany. To jest, zaprawdę, ciekawego autoramentu dokument.

## List Józefa Sędzimira do generała Wincentego Krasieńskiego.

Jaśnie Wielmożny Panie Dobrodzieju.

Nie śmiem i nie mogę to sobie upewniać, abym łaskawe JWPana mógł znaleźć na mnie serce; jednak głęboko mam wyrytą na sercu mojem pamięć świętej pamięci ojca JWPana, natenczas starosty Opinogórskiego, któremum służył lat cztery. To jedynie ściele mnie drogę do złożenia niniejszej supliki mojej przed powagą JWPana.

W cztery lata po wstąpieniu na tron polski Stanisława Augusta Poniatowskiego, zaczęła się konfederacja Barska. Biskup Krakowski, Biskup Kijowski, Hetman Polny Koronny Rzewuski z synem swoim byli wszyscy wzięci w niewolę rosyjską.

Po tym rozruchu wszyscy panowie zaczęli się rozjeżdżać z Warszawy, jedni na dobra swoje, drudzy zaś w cudze kraje. J. W. Biskup Kamieniecki uczynił dyspozycyę takową, pannę Podkomorzankę, dzisiaj Starościnię Łukowską ulokowawszy w klasztorze, dawszy księdza Pecza za Gubernora i mnie za służącego; ksiądz Pecz pijał kawę bez mleka i bez cukru; panu Staroście Opinogórskiemu rozkaz był, żeby pan Starosta jechał prosto do Wiednia. I przyjechawszy do Wiednia, pan Starosta był prezentowany Maryi Teresie Imperatorowej i Józefowi drugiemu; z Wiednia potem wróciliśmy do Teszyna, do Szląska, tamżeśmy zastali J. W. Księdza Biskupa Kamienieckiego, pana Wesła, Podskarbiego Wielkiego Koronnego, Pana Wielopolskiego, Hrabie Pińczowskiego i innych bardzo wielu Panów polskich.

Wtenczas w Teszynie J. W. Ksiądz Biskup Kamieniecki odebrał list od swojej synowej, Podkomorzanki, którą był ulokował w klasztorze; ta donosi wielkie pochwały o Panu Dłuskim, Staroście Łukowskim, i kończy w liście swoim, że już jest z nim ożeniona, i że im nic więcej nie brakuje, jak błogosławieństwa Nupcyalnego od J. W. Biskupa Kamienieckiego, jako stryja.

J. W. Ksiądz Biskup tak był zmartwiony na tę nowinę, że nawet nie chciał na ten list odpisać. Ponieważ miał inszą partyę dla panny Podkomorzanki, z daleko większym inwentarzem, jednakowoż przez perswazyę Pana Wesła, Podskarbiego koronnego i inszych Pannów, J. W. Ksiądz Biskup Kamieniecki udobruchał się i kazał Pań-



stwu Starostwu przyjechać do Teszyna i naznaczy im pensye, ponieważ byli wcale ubodzy, a przydawszy im księdza Pecza za marszałka.

Potem Pan Starosta Opinogórski pojechał do Preszowa, do Węgier, i ja z nim, gdzie się trzymała Rada nieustająca Konfederacyi. Świętej pamięci ojciec J. W. Pana, może przez wspaniałość i dobroć duszy swojej, albo przez względy, zem mu wiernie i z przywiązaniem służył lat cztery, otrzymał dla mnie od Pana Puławskiego marszałka rangę oficerską. A rozstawszy się z wielkim żalem w Preszowie ze świętej pamięci ojcem J. W. Pana, pojechałem do wojska do dywizyi Pana Puławskiego; w rok potem w Batalii pod Wysowom konia podemną zabito, i dostałem się w niewolę rossyjską. Potem nas prowadzono do Kaługi, z Kaługi do Kazania, z Kazania do Astrachanu nad morzem Kaspijskiem, tam potem przyszło więcej niewolnika; stamtąd nas prowadzono do Tobolska, gdzieśmy się znaleźli cztery tysiące Polaków; z Tobolska nas prowadzono do Irkucka pod granicę Chińską; w Irkucku nas podzielono na kompanie, po sto dwadzieścia żołnierza w kompanii, i tameśmy ciągnęli losy, gdzie której kompanii wypadnie maszerować. Los naszej kompanii wypadł maszerować do Kamczatki, gdzie było więcej jak tysiąc mil z Irkucka, do kreposti Czarakaskaja, gdzie nasz los wypadł; tameśmy byli lat cztery w garnizonie. A potem, uczyniwszy rewolucyę, wyciąwszy w pień garnizon, gubernator z swoim sztabem w tej okazji zginął. A obrawszy sobie za komendanta naszego, Węgrzyna rodem, nazywającego się Bienowski, i będąc trzy miesiące panami w tej fortecy. A bojąc się, żeby wojsko z Irkucka na nas nie przyszło, chociaż było więcej jak tysiąc mil z Irkucka do kreposti Czaraskaskaja, i przybudowawszy na trzy galery, co byli dla łowienia wieloryba, to wszystko, co mogło być potrzebnem do żeglugi, puściliśmy się na morze lodowate, to jest tylko kanał lodowaty, który dzieli Azyę północną od Ameryki północnej, który nie ma więcej szerokości nad siedem mil. Ponieważ góry amerykańskie widać dobrze z tej strony i które są nakryte śniegami. Długości zaś ma przeszło sto mil.

Kanał ten jest bardzo niebezpieczny dla żeglugi. Ponieważ zawieruchy się czynią na nim, wiatry wyrzucają skały lodowate. co czynią góry z hałasem tak wielkim, jak gdyby największe były grzmoty; na tym kanale byliśmy dwanaście dni i dwanaście nocy. Szcęściem dla nas było, że w nocy na tym kanale tak jest widno, jak u nas po zachodzie słońca. Potem, dostawszy się na morze Czyste, płynęliśmy około królestwa Japońskiego i około całych Chinów; te dwa państwa nigdzie nie chcieli nas przyjąć w ich portowe miasta. Potem, dostawszy się na Wyspy Filipińskie, gdzie się zaczynają In-

dye wschodnie. Potem dostaliśmy się do Pontyszery, stamtąd na wyspę Madagaskaru, gdzieśmy byli sześć lat. Ce la que je quité mes Compatriotes et mes frères d'arms de tan dengés; j'ai parti pour l'Amérique, ou j'ai restois quatorz ans a St. Domengue, assé bien établie pres Cap français. Mais la Revolution m'en a fait perte tout: arivé en France au milieu la Revolution avencé deja en age: mon intention unique est, de me retourner dans mon Pays natal. Ainsi Monseigneur je Vous Supplie d'etre toucher d'une Noble Compasion de me rendre autent Service que je puisse me rendre de Paris a Strasbourg.

Monseigneur il me restra douce Souvenir pour le reste de ma vie de Votre Bonté <sup>1)</sup>.

Józef Sędzimir.

---

<sup>1)</sup> *P. R.* W liście powyższym pozostawiliśmy bez zmiany zwroty stylowo, interpunkcję oraz ortografię francuską.

# SZACUNEK DLA DZIECKA.

„Ponieważ dobre wychowanie dzieci jest jedną z rzeczy, do których najusilniej zmusza rodziców powinność i interes, a od niego również zależy szczęście i pomyślność narodu bezwarunkowo, pragnął-bym, ażeby każdy sprawę tę głęboko wziął do serca“.

*John Locke, w liście do Edwarda Clarke*

## I.

„Maxima debetur puero reverentia!“. Zdanie to zawiera wielką i płodną w rozbiorze swym prawdę. Szacunek dla dziecka... od kogo, i gdzie? Ano, od wszystkich członków społeczeństwa, w temże społeczeństwie. Powiadamy wyraźnie: w społeczeństwie; wszystko bowiem, co tu mówimy i mówić będziemy, ma na względzie nie kupę ludności bezmyślną i bezładną, nie hordę nawet byle jak sklejoną, ale gminę (civitas) racjonalnie ustrojoną, jednożenną, rozwijającą się prawidłowo i rządzoną normalnie, to jest z pewnym udziałem ogółu w sprawach, dotyczących ogółu.

A więc, szacunku dla dziecka! bo dziecko, to przyszłość; cóż warte było-by społeczeństwo, o przyszłość swą niedbałe? Przeciwnie, dba ono o nią więcej nawet, niż o swą terażniejszość, bo ta trwa chwilę przemijającą, ubiegającą co sekunda — „le moment où je pense est déjà loin de moi“ — przyszłość zaś trwa czas nieograniczony, tem dłuższy, im usilniej i tężej dla niej terażniejszość pracuje. W tej powodzi czasu, którego każda chwila dodaje coś do ogromnej przeszłości i ogromną a ciemną ma przed sobą przyszłość, terażniejszość stanowi tylko przejście w potoku czasu, jak krople bieżącej fali w potoku wody: ludzie obecni, to te krople, szybko przepływające, po których coraz ukazują się inne.

Spółczeństwo, jest to zbiorowa dynastia: każda zaś dynastia, jeśli ma wolę utrzymać się na tronie, nie żyje z dnia na dzień, lecz,

wsparta na swej tradycji, obmyśla plany przyszłości; względnie też do tej tradycji i do tych planów przysposabia się, wychowuje dynastę, aby był gotowym przyjąć ster, wypadający z rąk poprzednika. Takim dynastą jest dziecko, dziecko zbiorowe w dynastyi zbiorowej, czyli w społeczeństwie. Jeśli społeczeństwo pragnie byt swój utrwalić, przedłużyć w najdalsze czasy, a utrzymać go w określeniu i charakterze przez się umiłowanym, nie zaginać, ale żyć, jako jednostka wyodrębniona pośród ludzkości, toż nie może ono spuścić z rąk przyszłych, domniemyanych swych wyobrazicieli, ale przeciwnie, największą staranność włożyć musi w ich odpowiednie przygotowanie do przedłużania życia społecznego według danego planu, najlepiej zastosowanego do warunków bytu. Wychowanie byle jakie rozluźnia węzły społeczne, wytwarza luki, dające dostęp żywiołom wrogim i rozkładowym, ustrój wątłeje, rozpada się, ginie, jak to widzimy i niemal dotykalnie poznajemy w zwierciadle życia ludzkości, zwanem historią.

Szanujmy więc dziecko, bez którego niema przyszłości, a szacunek nasz zaświadczymy najlepiej przez wychowanie, jakie mu damy.

Ależ tu zaraz występuje pytanie pierwiastkowe: kto ma zająć się wychowaniem dziecka?

Oczywiście, bezpośrednio ci, co mu dali życie. Oj, smutnaż to na tem tle historia dziecka. Za dawnych, dobrych czasów, było ono rzeczą ojca. Ojciec mógł je przyjąć, albo odrzucić, wynieść na rozstajne drogi (exponere), zabić: społeczeństwo w to nie wglądało. Nawet u ludu wybranego wolno patryarsze wypędzić z matką Izmaela na skwary pustyni, aby go drapieżne zwierzęta pożarły, bo patryarcha, to pan absolutny w domu i pokoleniu. Dekalog narzuca obowiązek dzieciom względem rodziców: „czcij ojca i matkę twoją“; o obowiązku rodziców względem dzieci nie wspomina. I trzeba było dopiero krwi Chrystusowej, ażebyśmy nawzajem powiedzieć mogli rodzicom: „czcijcie dzieci wasze“, abyście długo żyli na świecie, to jest, aby długo żyły wasze ideały życiowe.

Niedorzecznością było-by dziś powtarzać za komunalem o wdzięczności dziecka dla rodziców za dane mu życie, i pod tym względem niełatwo zbić sofistykę Franciszka Moora w końcu pierwszej sceny pierwszego aktu „Zbójców“. Życie? piękny mi prezent, za którym wlecze się szarańcza cierpień, czarnych niedoli, przeplatanych gdzieniegdzie złotą nitką rozkoszy, a uwiecznionych śmiercią. Nie mówię już o tych urodzonych skrofuliakach, rachitykach, astmatykach, suchotnikach i innych męczennikach, którymi podoba się uszczęśliwiać świat rodzicom dzisiejszym — przypuszczam, że jest to do naprawie-

nia, - ale zanadto dobrze wiemy wszyscy, jak mało życie to jest poematem, abyśmy je uważać mieli za dobrodziejstwo. Rodzice zatem, z pobudek zgoła obcych wszelkim względom moralnym, wywołując do bytu to, co nie istniało, nie wyświadczają osobiście żadnego dobrodziejstwa dziecku, i nie nabywają przez ten akt żadnego z jego strony prawa do wdzięczności, tak jak nawzajem dziecko, przypadkowy lubo naturalny wynik, ofiara ich podbudzeń fizycznych, żadnych za to nie zaciąga względem nich obowiązków. Przeciwnie, nabywa ono praw. Rzucone w otchłań bytu bez żadnego o nim pojęcia i obrony, głupie, nieme, bezwładne, musiało-by stać się pastwą pierwszej lepszej siły. Przezorna natura, despotycznie podtrzymując życie, wlewa zarazem w życiodawców każdego jestestwa żywiołową chęć zachowania płodu. Kotka pilnuje swych kociąt, jak oka w głowie, a gdy uważa, że pazurki już się dostatecznie wykluły, a kły wyostrzyły, daje swym gagatkom kilka lekcji połowu, przysposabia je do zdobyczy, i tym sposobem czyni je zdolnymi do życia samodzielnego.

Takież sam altruizm filialny przejawia się i w rodzicach ludzkich, bez żadnej z ich strony zasługi, tylko na stopę dostojęstwa ludzkiego; stąd za'em to, co u zwierząt jest czystym instynktem, u ludzi, niezależnie od instynktu, zwie się obowiązkiem, czyli okrywa instynkt w charakter moralny. Dlaczego?.. Zwierzę, zwłaszcza w stanie dzikim, jest tak ograniczonem w swej woli, że nigdy poza instynkt nie wykracza i zostaje zupełnie pod jego panowaniem, a przez to nie popełnia nic takiego, coby mu szkodziło. Niema wśród zwierząt ani bohaterów, ani zbrodniarzy, niema nawet prostych nadużywaczy; niema też i wyrodných rodziców. Człowiek, siłą woli, łamie instynkta, szkodzi samemu sobie, staje się pijakiem, rozpustnikiem: gdyby chciał, mógł-by być (i bywa) wyrodnym rodzicem. Owóż, w rozwoju kultury, do jakiej natura człowieka jest zdolną, do instynktu, że go tak nazwę, dzieciolubnego, przystąpił obowiązek, niedopuszczający złamania tego instynktu, tak, iż człowiek z podwójnej racy zadanie swe względem dziecka wypełnić musi, i rzeczywiście w ogólności wypełnia: dziecko, w społeczeństwie ucywilizowanem, staje się głównym celem życia i zabiegów pary małżeńskiej, a stąd wzajemna miłość, jasne i nieśmiertelne światło rodziny.

Jeżeli zwierzę, prowadzone ręką natury, nieświadomym instynktem stawia swój plód w możności życia, tem ci bardziej uczyni to człowiek przy świetle świadomego obowiązku. Ale tu się dopiero kwestya zaczyna wikać. Zwierzę, zapewniwszy dzieciom sposób dostawiania zdobyczy, zamknęło z nimi rachunek całkowicie. Odpowiedzialność ludzka sięga dalej. Ci, co dali człowiekowi życie, mające trwać aż do zgrzybiałości, obowiązani są dać mu: po pierwsze, zdro-

wie, ażeby go uczynić nieprzerwalnie zdolnym do wykonywania wszelkich ruchów zamierzonych dla podtrzymania życia fizycznego i duchowego w stanie zadawalniającym; powtóre, udostępnić mu środki do zadośćuczynienia potrzebom duchowym, jako od istoty moralnej nieodłącznym. W dwóch tych terminach zawiera się cały postulat wychowawczy. Pierwszy z tych terminów rozwiązuje teoretycznie higiena, i byle była w praktyce stosowaną, nie wielki z tem kłopot: mamy do czynienia z ciałem, rzeczą zdeterminowaną i w doskonałe wskazówki ze strony natury zaopatrzoną. Lecz pole ducha stanowi dziedzinę tajemniczą, a tak różnostronną i rozległą, że ociera się niemal o granice nieskończoności.

Granice te rozszerzyliśmy sami, mocą dobrowolnej ewolucyi; zapędziliśmy się tak daleko, idąc w tej krainie omackiem, pozostawiając na drodze wiele punktów nieopatrzonych, niepoznanych, że dziś nie wiemy: iść dalej, brnąć w tajnie coraz głębsze, ciekawe, nęcące swym mistycyzmem, czy też cofnąć się ze strachu przed pytaniami coraz groźniejszymi, wyrugować z umysłu wrażenia wdrożone z tej kilkowiekowej podróży i poprzestać na pozuwaniu tego, co nam podpada pod zmysły.

Kto jest człowiek?.. Tajemnica... Co jest świat?.. Tajemnica. Ależ tajemnicą nie może i nie powinien być stosunek człowieka do świata, dwóch istnień, rozróżniających się i całkujących, a nierozłącznych. Trzebaż między temi istnościami zaprowadzić jakiś *modus vivendi*; inaczej człowiekowi zbraknie elementarnej podstawy życia: i nad tym-to człowieka do świata stosunkiem, dla uczynienia go najlepszym, pracują wieki. Są nawet, którzy poszukują stosunku człowieka nie tylko do świata, ale i do poza świata, tłómaczą go sobie rozmaicie, gnębieni niepewnościami, a rozumem dojść nie mogąc prawdy, poprzestają na jej surrogacie, jeśli nie są tyle szczęśliwymi, że zstąpi na nich dobrodziejstwo wiary.

Na wszystkie te okoliczności i wypadki potrzeba uzbroić nowo-wschodzącego człowieka, gdyż kroku on w życiu uczynić nie może, ażeby nie zawadził o coś, czego wyminąć niepodobna, z czem się koniecznie rozprawić potrzeba, a wtedy, daj Boże, ażeby rozprawa wyszła na jego korzyść.

Czy rodzice o tem wszystkim wiedzą? Prawdopodobnie; boć i sami przez to przeciętnie przechodzą. Czy o tem myślą? Po większej części nie; a gdzie w tym punkcie panuje obojętność, niedziw, że tam społeczeństwo pozostaje w stagnacyi, cofa się, zwyrodnia, lub truje pesymizmem. Rodzice, z natury rzeczy przywiązani do dziecka, w egoizmie swym nasamprzód niem się bawią, obsypują je pieszczotami, strzegą, jak żrenicy oka, dbają o nie, lecz nietylko dla niego, ile

dla siebie, bo wszelki ból dziecka jest dla nich męczarnią, a, broń Boże, utrata — rozpaczą: chroniąc więc dziecka, chronią siebie samych. Ale czy ten szlachetny egoizm dla dobra dziecka wystarcza? Szkodzi mu, gdy nie utrafi we właściwą miarę pomiędzy pieczołowitością a schlebaniem, gdy z góry usuwa przed dzieckiem wszelkie braki i przykrości, gdy stara się odgadywać wszelkie jego pożądanja, aby im uczynić zadość wprzód nawet, niż się objawią, karmi przyjemnemi niespodziankami, przesyca dobrem tak, jak gdyby za ich gagatkiem isć miała, już bez ich opieki, cała karawana zadowoleń, których szafunek od niego tylko zależy, byle chciało wyciągnąć rękę. Ojciec stawi czasami opór znarowieniu dziecka, ale matka w czułości swej zapobiegnie: — Pozwól mu, kochanie, bo się rozplacze, roznerwuje, a to, wiesz, szkodzi jego organizmowi: jak będzie starszy, to... Jak będzie starszy! Ależ to i narowy będą się z nim starzeć, przybierać formy poważniejsze, zakorzeniać.

Kiedy nadchodzi czas surowszego wychowania, nauki, szkoły, jakie są przeważnie postulaty rodzicielskie? Postawić dziecko w warunkach dla niego najkorzystniejszych na targowisku życia, czyli, po prostu mówiąc, uczynić je zdolnem do zrobienia karyery. Jest to pożądanee, nawet konieczne, ależ, oh! jak niedostateczne. Wielki karyerzysta jakże małym jeszcze mógł-by być człowiekiem, i nie chlubaą swej społeczności, ale zakałą.

Lecz, z tem wszystkiem, człowiek powinien być silnym i wszystkie swe przyrodzone korzyści uprawą doprowadzić do możliwej potęgi, aby skutecznie stawić czoło przeciwnościom i zdeptać każdego, co śmie następować na jego prawo: to jego naturalny i społeczny przywilej, obowiązek; prawo, którego i każde zwierzę, jako samoobrony, przestrzega. Ale poszukiwanie siły łączy się u człowieka z jej celem, i lichy to człowiek, który w użyciu siły do zdobywania środków potęgi, dobrobytu, słowem, tego, co powszechnie kryje się pod niedość objaśniającem mianem karyery, siebie ma tylko na względzie. I wcale też nie pochwały godne są zabiegi rodziców, którzy chwalebne skądinąd rozwijając starania dla zapewnienia dziecku dobrobytu na przyszłość, nie wychowują go wduchu ofiarności, lecz przeciwnie, nazwyczajają, ażeby cel swego życia widziało w samym sobie. Umniejszają przez to jego jestestwo, wyłączają z rodziny społecznej, ograniczają żywot do tej wąskiej ścieżki, zabitej deskami pomiędzy kolebką a grobem, rozciągają nad niem całun wzgardy społecznej. I albo to będzie sobek, nie rozumiejący swego poniżenia, a więc tej wzgardy godzien; albo też, przewidziawszy, wstrząśnie się, rozboleje

i gorzki rodzicom uczyni wyrzut za to, iż szacunku dla dziecka swego nie mieli. Tylko ofiarni ludzie żyją długo, żyją prawdziwie, dwoją się, wieloraczą, w większym lub mniejszym kółku, a skala niekoniecznie jest miarą zasługi, o czem poucza nas wdowi grosz Chrystusowy, rozumie się, w znaczeniu idealnym, rozciągniętem do wszelkiego ofiarności kierunku. W tem-to leży główny punkt kształcenia charakterów, o czem rodzice, zbytecznie zajęci materyalnemi podstawami bytu swych dzieci, zbyt często zapominają. Widzimy też następstwa tego zaniedbania w przykładach uderzających. Rodzice nieraz siłą własną zdobyli potęgę, zacnem jej zastosowaniem zdobyli szacunek powszechny, i wszystko to pozostawiają synom, którzy w krótkim czasie rozpraszają dorobek ojców. Byli źle wychowani: za wiele im dogadzano, gdy byli dziećmi; nauczyli się więc i przeuczuli dogadzać sobie. Rodzice mają, zwłaszcza u nas, reputacyę złych pedagogów.

Ogólnik, to wiatr. Jeżeli nie wszyscy rodzice spełniają należycie swe obowiązki względem dzieci, to i nie wszystkich pod odpowiedzialność za to podciągać możemy. Od początku świata istnieją rodziny, posiadające środki do wyżywienia i wychowania choćby całej ludności, i takie, których zasoby wystarczają zaledwie dla ochrony dzieci od głodowej śmierci, i to nie zawsze. Jeżeli pierwsi źle wychowują potomstwo, to spada na nich całe piekło odpowiedzialności wobec praw Boskich i sądów społecznych. Ale, zstępując coraz niżej po skali zamożności, umniejszać musimy odpowiedzialność aż do minimum, aż do zera.

I tutaj to właśnie kwestya wychowania przedstawia się w całej grozie. Kto jest najbardziej zainteresowany w tem, ażeby pokolenia były dobrze, to jest odpowiednio do potrzeb społecznych wychowywane? Oczywiście, społeczeństwo. Jemu zatem przysługuje z prawa urząd wychowawczy?

Ostatnie to pytanie stawia nas na ślizkiej drodze, z niem bowiem wiążą się inne kwestye, dla ogółu ludzkości drażliwe... a dla niektórych szczegółów — bolesne. Mimo to, pytaniu temu trzeba zajrzeć w oczy, choćby tylko z e s t a n o w i s k a n a j o g ó l n i e j s z e g o .



## II.

Na początku niniejszego pisma obowiązek wychowywania dzieci wkładaliśmy na rodziców, i od tego nie odstępujemy; obowiązek ten, atoli nie jest bez podziału, rodziny bowiem nie żyją w takim odosobnieniu i takiej niezależności jedna od drugiej, iżby mogły posiadać, w liczniejszej grupie, nieograniczony samorząd, ale, na mocy wzajemnych ustępstw i wzajemnej zgody, tworzą one nową jedność, obszerniejszą, która zowie się gminą, społecznością, państwem, mniejsza o nazwę (gr.: polis, łac.: civitas, pol.: r z e c z p o s p o l i t a), słowem grupę, nad którą panuje jedno prawo, obejmujące wszystkich obywateli. Ponieważ związek taki, stanowiący ciało polityczne, ma jeden cel wspólny, jak wszelki organizm, przeto i środki, prowadzące do tego celu, jak do odżywiania i utrwalania organizmu, muszą być jednakie, a do tych środków przedewszystkiem należy wychowanie dzieci, tak, iżby młode pokolenia, w miarę wzrostu, przystosowywały się do warunków i potrzeb tego społecznego organizmu.

Owoż, dziecko, jak ongi przed sądem Salomona, stoi na rozstajnej drodze. Rodzina je powołuje do siebie prawem naturalnem, prawem miłości; prawem politycznem wydiera je społeczność. Czyje prawo przeważy? Czyją własnością jest dziecko? Niczyją. Ono, to nie rzecz, ażeby mogło być czyjąbądź własnością; to osoba, należąca zatem tylko do siebie. Prawda: lecz kto ma nad niem objąć dyrektywę, nim przyjdzie do należytego poznania tej swojej osoby? Rodzice?.. Ależ okazaliśmy właśnie, że przeważna część rodziców tego prawa naturalnego wykonać nie jest w stanie, wykonywa je źle, ze szkodą dzieci, lub społeczności, wreszcie wykonywać nie umie. Zatem społeczność? To znowu pogwałceniem będzie prawa przyrodzonego. Słowem, *summum jus* z jednej, czy drugiej strony, będzie to zarazem *summa injuria*. Na tym świecie, pełnym względności, o bezwzględność trudno się pokusić. Zamiast więc drzeć się o jakąś bezwzględność, lepiej jest porozumieć się, ułożyć, rozgraniczyć kompetencye i współdziałać razem. Tak, tak! Dom i szkoła: oto szczęśliwe rozwiązanie dylematu. Tylko po co tu szukać wczorajszego dnia, po co odkrywać dzisiaj Amerykę? Wszak w tym sensie dylemat rozwiązały wieki. Dom i szkoła: uszy nam puchną od tego duetu, wygrywanego dotąd na wszystkie tony.

Zobaczmy tylko, jak ten zgodny duet wygląda w historii. Wszakżeż naprzykład we Francyi od wieków wychowanie dzieliło się między dom i szkołę, i otóż wydało rezultaty, złożyło egzamin w ostatnim dziesiątku lat pozaprzeszłego wieku, prawa człowiecze ogłaszając z okrwawionego rusztowania. Albo w Polsce (mającej monarchję, jak Anglia, tylko dla formy). Rezultat, również, chociaż w innym charakterze, także przedstawia się nam świetnie. W dodatku, dom i szkoła tak się tu doskonale zespoliły, że trzy czwarte ludności tej samej krwi, mowy i wiary, obcemi pozostały reszcie, czyli właściwym przedstawicielom narodu, w sprawach narodowi najbliższych. Czegóż to dowodzi? Że w tym razie dwa organy wychowawcze, z których jeden jest przyrodzonym, drugi społecznym, dom i szkoła, sprawiały się źle, wytwarzając jednostki niezdolne ocenić własnego dobra, ani podtrzymać własnego bytu. Na czem jednak to złe polegać mogło?

Nie będziemy się tu wdawali w krytykę naszego dawnego wychowania, to jest w ocenienie metody przysposabiania nowoschodzących pokoleń do zadań przyszłych, bo każda terażniejszość ze swemi grzechami znajduje rozgrzeszenie w przeszłości; ale, ze względu na zespolenie dwóch, do tego celu prowadzić mających czynników, musiały one albo oba chybiać, albo przynajmniej jeden z nich źle się sprawował: to jednak rzecz sądu dziejowego. My tu zaznaczamy tylko, że z owoców można sądzić o drzewie.

Bo czemuż to drzewo wychowania u innych społeczeństw, naprzykład w Anglii, lub w Niemczech, inne wydało owoce? Zwykliśmy wszystkie powodzenia państwowe tłómaczyć mądrą (niechaj to będzie równoważnik sprytu) polityką. Jest to tłómaczenie jednostronne, gdyż do prowadzenia mądrej polityki potrzeba mądrych polityków, a iżby istnieli, należy ich wykształcić, czyli wychowanie urządzić tak, ażeby wychowañcy, jak najliczniejsi, rozumieli dobro i własne, i ogólnospołeczne, i środki do osiągnięcia go w kierunku najdonioślejszym wynaleźć umieli. Stało się u nas inaczej: na jednego mądrego polityka wychowano stu warcholów.

Ale nie wszędzie — powiadam — takie zarodziły na drzewie wychowania owoce, i soki też ich okazały się pożywniejszemi dla społeczeństwa. Widać, że tam harmonijniej grał ten duet domu ze szkołą.

Zachodzi teraz pytanie, czy koniecznym jest w wychowaniu dziecka ten podział między dwa owe czynniki uprzywilejowane? Czy nie wystarczył-by jeden, i który?

Dzisiaj niedorzecznością się wydaje stawiać taką kwestyę, już rozwiązaną, ale nie zawsze ona była niedorzeczną. W pierwiastkach społeczeństw, podczas nadzwyczajnej prostoty stosunków życiowych,

kiedy chodziło niemal wyłącznie o utrzymanie bytu materialnego i każdy ojciec rodziny myślał tylko o swych najbliższych, a każdy członek społeczności tylko o sobie, wychowanie domowe wystarczało. Wzorem takiego ograniczenia są nietylko czasy patryarchalne; mamy tego dowód i na grupach wysoko ukształconych. Kiedy zaczęły się dopiero, po zwycięskiej wojnie o niepodległość, formować Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a osadnicy europejscy osiedlali się na obszernych pustkach, czemuże zajmować się musiała ludność męska? Przedewszystkiem trzebieniem dziewiczych lasów, karczowaniem, osuszaniem, co wymagało oddalenia się od chat na długie tygodnie i miesiące. A przez ten czas kto zajmował się dziećmi? Kobiety. One też były jedynymi mistrzyniami dzieci przez długi czas, uczyły je tego, co umiały same, począwszy od pacierza i czytania Biblii: wystarczała taka edukacya dla chłopca, który niebawem miał za ojcem zostać plantatorem, dla dziewczyny, która miała być gospodynią, prowadzić sad i warzywnik, hodować drób i t. p.

Większa dopiero komplikacya stosunków, przy powiększeniu się ludności, a zwłaszcza sąsiedztw, konkurencyi, przy potrzebie obrony, a w danym razie i zdobyczy, kiedy interesy zewsząd na gwałt wołają o postęp, edukacya, pod grozą utraty bytu społecznego, musi granice swe poza egoizm domowy rozszerzyć, bo każdy osobnik, nie przedstawiając należec do rodziny, musi przyjąć na siebie część ciężaru ogólnego, jeśli chce z dóbr ogólnych korzystać, a jeśli nie, to niechaj się z gminy wyłączy. Ażeby zaś potrafił należycie znieść ciężar, nań przypadający, czyli spełnić obowiązek społeczny, musi się do tego odpowiednio uzdolnić, a stąd wyrasta i formuluje się stopniowo potrzeba szkoły publicznej, którą już nie postanowienie jakiegoś ojca rodziny, ale rozum społeczny układa, stosownie do swych widoków...

Stąd łatwo mogła-by wybuchnąć kolizya między domem a szkołą, która zdaje się rodzicom wydzierać dziecko, należne im z prawa przyrodzonego. Kolizya taka była-by nieszczęściem; uporna, mogła-by stać się powodem rozbitcia społeczeństwa. O to więc chodzi, ażeby jej nie było, a nie wybuchnie ona, jeśli i dom, i szkoła, będą miały ideały wspólne, przynajmniej do siebie zbliżone.

Czyż może to być, ażeby ojcowie rodzin, takżeż członkowie jednego i tego samego społeczeństwa, mogli różnić się w ideałach od tej władzy społecznej, która ustanawia szkołę? Wszak wszelkie różnice obywatelskie wyrównywają się w radach, parlamentach, na podstawie zdania większości i uznanej potrzeby ustępstw? W zasadzie tak, w praktyce jakżeż to bywa rozmaicie! Ciągłe używamy tu wyrazu: społecność, dla oznaczenia pewnej grupy ludności, poddanej pod jedno prawo: zamieńmy ten wyraz na państwo, w znaczeniu

dzisiejszem, rządzone według metody głośnego cybernetyka florenckiego, a rzecz się zaraz inaczej przedstawi. Nie posuwamy dalej naszego komentarza, nie korzystamy z najświeższych przykładów, wyobrażających niezgodę ze szkołą, ale przeciwnie, udamy się do bardziej oddalonych, lubo nie mniej objaśniających.

Nie licząc stronnictw, gruntujących się na różnicach natury ekonomicznej, mamy naprzykład w dzisiejszych Włoszech dwie idee, wprost sobie przeciwne: watykańską i kwirynalską, i według tych idei odnośnie pojedynczy wyznawcy i stronnicy układają zasady rządzące domem, gdy tymczasem interes państwowy wymaga, ażeby szkoła publiczna była jednolitą. Z pod dachu, gdzie panuje kult tradycyi katolickich, zapal dla świeckiej władzy Papieża, dziecko dostaje się do szkoły, rządzonej w duchu zgoła przeciwnym: wolnomysłnym, bezwyznaniowym, takim, słowem, jaki panuje na Monte-Citorio. Nie wchodzimy tu w merytoryczną wartość obu idei przeciwnych; pytamy tylko, jaki wpływ na charakter dziecka wywierać może ta różność poglądów i zasad, wpajanych w domu i szkole, według wprost odmiennego komentarza wszystkich podstaw życiowych i obywatelskich, tak, jakby mu je w jedno ucho wykładał członek stowarzyszenia Jezusowego, a w drugie czeladnik wolnomularski? Jeżeli pójdzie za pierwszym, uczeń stanie się buntownikiem wobec państwa; a pójdzie za drugim, to stanie się wyrodkiem w rodzinie...

Zupełnie podobne położenie, tylko jeszcze znacznie wzbogacone obfitością stronnictw, łamiących się na tysiączne promienie, znajdujemy w dzisiejszej Francyi, gdzie nienawiści partyjne przesączają swój jad do wszystkich organów życia, a rozumie się, i do szkoły. Tam też reformatorowie najpoważniejsi nie wahają się doradzać państwu, aby nie robiło sobie ceremonii z rodzicami opornymi, i wprost z pod ich wpływu usunęło dzieci. Oto naprzykład co powiada jeden z nich <sup>1)</sup>:

„Można ostatecznie zrozumieć, że rodzice z pewnym pozorem słuszności mogli-by domagać się prawa kierowania sumieniem religijnem i politycznem swych dzieci, gdyby sami nasamprzód postarali się, drogą poważnych i osobistych studyów, upewnić, że wierzenia, którym hołdują, nie są grubemi przesądami. Ale bynajmniej. Ciż sami ludzie, tak pełni nienawiści i złości przeciw usilowaniom państwa republikańskiego, przedsiębranym dla zapobieżenia przyszłym walkom, przez zniesienie zwykłych przyczyn rozdzielenia (przymówka, naturalnie, do instytucyi kościelnych),—nie zadają nawet sobie trudu, by zbadać doktryny, narzucane swym dzieciom. Nietylko nie starają

<sup>1)</sup> Eug. Véron: „La morale“, str. 324.

się przeświadczyć, iż są one prawdziwe, ale nawet w prawdziwość ich nie wierzą, skoro osobiste ich postępowanie stoi najczęściej w przeciwieństwie z wyznawanymi wierzeniami. Wśród tych wszystkich nieprzejednanych katolików, iluż jest takich, coby przynajmniej wiedzieli, na czym ich religia polega? Iluż z nich czytało choćby Ewangielię? I tacy-to ludzie podają się za męczenników dla tego, iż ktoś śmie się odezwać, że państwo, w imię dobra powszechnego i dla dobra samych dzieci, miało-by prawo nie dopuścić wrogów rzeczypospolitej do wychowywania swych dzieci w ciemności ojców, robienia z nich narzędzi wojen domowych i sprawców własnego nieszczęścia (gdyby, oczywiście, nauczyły się wierzyć w Boga i duszę nieśmiertelną),—trzymając je umyślnie poza obrębem ruchu idei, wytworzonego przez zgodność wszystkich współczesnych umiejętności... W samej istocie, tak samo ojciec nie ma prawa wypaczać i zaćmiewać umysłu swych dzieci, zarządzając go swemi przesądami przeciwspołecznymi, jak nie ma prawa uniekształtniać i osłabiać ich ciała, skazując je na zetknięcie się z chorobami zakaźnymi“.

Więc prawo to, razem z dziećmi, trzeba mu odjąć; inaczej on będzie zawsze swoim nauczaniem brózdził. Inni reformatorowie idą też jeszcze dalej, i bez niedomówień krystalizują myśl swoją. Według nich, dziecko, zaraz po przyjściu na świat, należy wyłącznie do społeczeństwa <sup>1)</sup>. Kobieta, kiedy urodzi dziecię, nie ma więcej do niego prawa, w obliczu społeczeństwa, od kury, która zniesie jajo, wobec właściciela kurnika. Noworodek z łona matki przechodzi natychmiast do żłobka, gdzie się żywi mlekiem i papką republikańską, następnie zabiera go ochrona, potem szkoła państwowa, aż do skutku, bez żadnego udziału domu. Taki więc bezdomny uczeń wyjdzie istotnie na doskonałego państwowiaka, bez sentymentów rodzinnych, że podobnego mu znaleźć-by można tylko w starożytnej Sparcie. Nie dodano tylko, że ta młoda Sparta, wybornie wyćwiczona bizunem społecznym, wspólną wykarmiona polewką, od zaprowadzenia tego rygoru nietylko nie wydała żadnego męża, istotnie znakomitego w ludzkości, ale, mając jeden ideał, zapanowania nad całą Helladą, za pośrednictwem swego faktora, Antalcydasa, sprzedała ją Wielkiemu Królowi, aby, pod jego egidą, swobodnie władać nad resztą republik jednoplemiennych.

Wbrew temu despotyzmowi, usiłującemu w szeregach społecznych i pojęciowych zaprowadzić pewien militarizm i uniform, w Anglii znowu panuje największa swoboda nauczania, tak, iż dom

---

1) Brissac: „Esprit nouveau dans l'humanité“.

każdy, czujący, że wyczerpał do dna całą swą kompetencję w zakresie wychowania dzieci, zawsze znajdzie sobie szkołę, dalszy ciąg jego pod względem zasad religijnych, moralnych i obywatelskich, stanowić mogącą. Innym wydaje się to dziwnem, i nie stawiamy tego za wzór, a jednak tak jest, że w Anglii, od czasów Wilhelma Zdobywcy, nie było i niema gimnazyjów państwowych, cała edukacya średnia spoczywa na barkach obywateli prywatnych; niemniej Anglicy wydali ludzi najznakomitszych we wszystkich zawodach, z wyjątkiem sztuk pięknych. Prawdą jest i to, że nigdy tam szkoła, lubo nie czując nad sobą oka kontrolującego z urzędu, nie stanęła wpoprzek widoków ogólno-społecznych. Drobnii rolnicy na czele szkółek ludowych stawiają zwykle swojego ministra, który, co prawda, wcale nie ma charakteru księdza, jest sobie takim samym obywatelem, jak każdy inny, i nie ma też powodu zapobiegać kolizyi Kościoła z prawami cywilnymi. Miasta zakładają sobie szkoły, jakie chcą, z inicjatywy własnej, w zakresie, charakterze i z celem, uznanym w danym razie powszechnie za pożyteczny. Zamożni przyjmują w dom nauczycieli, lub oddają dzieci do wybranych pensjonatów. Tylko uniwersytety, gdzie młodzieniec, przestawszy być dzieckiem, sam myśli za siebie, jako wielce kosztowne, są zakładami państwowymi, którym wreszcie państwo, pod względem kierunku, pozostawia zupełny samorząd. Nie stawiamy—powiadam—inny sposób urządzenia edukacyi narodowej za wzór: kto wie, i ten sposób, który dotąd okazał się dla Anglii dogodnym, może z biegiem czasu utracić swą wartość; może, z zaprowadzeniem służby wojskowej i armii stałej, okaże się także potrzeba umundurowania i umysłów w formy bardziej państwowe; ale będzie to znakiem osłabienia tego dotychczasowego zaufania pomiędzy wszystkimi organami bytu społecznego, tej spójni, jaka dotąd istnieje pomiędzy domem a szkołą, dalej — parlamentem, tronem i Kościołem. A wtedy, kto wie, czy duch prywatnej inicjatywy, któremu nawet kardynalna część maszyny społecznej, jak wychowanie, powierzona została, — czy ten duch nie omdleje, i nie przestanie dokazywać cudów zdobyczy i wytwórczości, na jakie jedna wśród wszystkich społeczeństw nowoczesnych zdobyła się Anglia, gdzie nawet tak potężna dźwignia ekonomiczna i cywilizacyjna, jak osadnictwo, wychodzi i kwitnie głównie pod tchem inicjatywy prywatnej, znamionującej niesłychanie żywotną indywidualność jednostek plemienia anglo-saksońskiego.

## III.

Błogosławione społeczeństwa, wśród których panuje największa zgodność pomiędzy jednostkami a ich wyrazem zbiorowym, gdzie jeden organ działalności na teraźniejszość i przyszłość popiera drugi, zamiast nań się bocyć; gdzie, jak np. w Szwajcaryi, każde dziecko przychodzące na świat, pod każdym względem: higienicznym, intelektualnym i moralnym, doznaje opieki nietylko rodzicielskiej, ale wszystkich instytucji kantonu. Tam rozumieją dobrze, co to znaczy dziecko, jako czynnik przyszłości, i dlatego wszyscy oddają mu „reverentiam maximam.“ Ale na to potrzeba, ażeby w społeczeństwie nie było różnic, wrogo przeciwko sobie usposabiających pojedyncze instytucje: rodzinne i publiczne; żeby nie było stronnictw, kast, przesądów skamieniałych w prawidła życiowe, nietolerancji, i t. p. I dlatego-to niema tam różnic w wychowaniu, bądź w domu, bądź za domem: wszyscy pragną jednego, celem wszystkich dobro osobiste, ale z uwzględnieniem dobra ogólnego, skąd spływa tyle dóbr pojedynczych; w imię tej równości, tych wspólnych postulatów, wszyscy szanują się wzajem, od posiadacza drewnianej chaty z kawałkiem pastwiska do prezydenta rady związkowej, a dom ze swojej strony, szkoła ze swojej, szacunek ten podtrzymują.<sup>1)</sup>

Zwróciliśmy uwagę na różnicę stosunku zachodzącego między domem a szkołą, od tego idealnego, jaki kwitnie w małej Szwajcaryi, do anarchistycznego, panującego w wielkiej Francji,—stosunku za-

---

<sup>1)</sup> Przechodząc wszystkie szkoły, jakie za mej małości istniały w Warszawie, miałem kolegów rozmaitego stanu. Byli to synowie średnich urzędników, oficyalistów, rzemieślników; przeważnie klasa średnia. W mniejszości znajdowali się synowie dostojników biurokratycznych tudzież właścicieli ziemskich, i ci już się nieco odgraniczali od reszty. Rzadki zdarzył się okaz z rodziny ocierającej się o arystokrację, a przez cały czas mego szkolowania spotkałem się z jednym tylko prawdziwym hrabią (nie magnatem), który był równie grzeczny, jak zimny i niedostępny, kolegom mówił p a n i e, nigdy pierwszy nie przemówił, a do klasy i z klasy odjeżdżał powozem. Po skończeniu szkół przywdział sukienkę duchowną, i stał się kosmopolitą; doszedł do najwyższych dostojęństw, ale z krajem niemal zupełnie uczucie utracił.

leżnego od mniejszej lub większej zgodności zasad religijnych, politycznych i socjalnych w społeczeństwie, zawistnie podtrzymywanych, a zależnych znowu ze swej strony od dróg, jakie w życiu wyłobiła historia. A skoro tak jest, toż i w nawoływaniach pedagogicznych niemożna, jak bywa dotąd, nie uwzględniając tego stosunku, kreślić programatów tak, jakby z natury rzeczy, samą mocą logiczną, dwa te czynniki wychowawcze bezwzględnie się dopełniały.

W zakresie czysto dydaktycznym,—zgoda; jeśli chodzi o wykład jakiej nauki w oderwaniu od życia; ale gdy mowa o samym życiu, widzieliśmy, jak różne o niem opinie mogą mieć odnośnie przy różnicy zasad, dom i szkoła, do tego stopnia, że jeden i ten sam objaw, tu uważanym będzie za cnotę, tam za występki; tu za akt rozumu, tam za świadectwo nierozsądku. Zniesienie więc naprzód tych różnic powinno-by być zadaniem społeczeństwa: ale łatwiej o tem mówić w jakimś miniaturowem zrzeszeniu, gdzie rzecz rozstrzygają honoracyusze gminy z jej przewodniczącym, niż tam, gdzie minister wielkiego państwa uwzględniać ma tysiące interesów powikłanych.

W przypuszczeniu jednak możliwości kompromisu między domem a szkołą, poza wychowaniem domowem kierunek edukacyjny należy do centralnej władzy społecznej, bo jużciż nie pojedyncze domy biorą na się odpowiedzialność za bieg spraw społecznych na dziś i na jutro, ale instytucje wyobrażają zbiorowy rozum społeczny, który w takim razie staje się pełnomocnikiem wszystkich pod jednym stowarzyszonych prawem.

Owoż, jeżeli ten rozum jest istotnym rozumem a nie sofistyką przyobleconą w insignia rozumu, musi on być przeświadczonym z gruntu, że wychowanie wschodzących pokoleń jest nietylko naczelnem zadaniem w sprawie życia lub śmierci narodu, społeczności, państwa, ale że wszystkie inne zadania, mniej więcej równoważące się z sobą, daleko od tego pierwszego odstępują w ważności. Społeczeństwo nie jest abstrakcją, nie jest ideą do wypiastowania, ale zbiorem jednostek żywych, zmieniających się co sekunda,—zbiorem, dla którego żywotną kwestyę stanowi to, aby zmiany owe zachodziły nie na szkodę lecz na korzyść ogółu, aby zatem jednostki powstawały coraz silniejsze, coraz rozumniejsze i umiejętniejsze: a wtedy będzie postęp, trwałość; w przeciwnym razie, zastój, upadek.

Jakim sposobem tego dokonać: oto naczelne zadanie rozumu społecznego.

Poucza nas historia, niestety! że nie wszędzie i niezawsze do tego celu przywiązywano najwyższą wagę, i skutki też tej omyłki okazały się oplakaniami. Społeczeństwa, oparte na oligarchizmie, na



arystokracji, na kastowości, gdzie światło a z niem siła dostępnemi były dla pewnej tylko liczby jednostek wybranych, społeczeństwa te albo znikły z powierzchni ziemi, albo się rozwiązały, albo się zaledwie trzymają, czekając na pierwsze silniejsze potrącenia. Najwymowniejszy tego przykład mamy na Hiszpanii, niegdyś tak potężnej, majestatycznej i tak dobrze przez naturę strzeżonej, gdzie jednak rozum społeczny wykreślił ze swego słownika wyraz: postęp. Trafem otrzymawszy ogromną zdobycz dóbr materialnych na drugiej półkuli, Hiszpania hidalgów powiedziała sobie:—Poco ja mam się mozolić, pracować na kawałek chleba, skoro za mnie pracują inni i złotem mi napelniają trzosa.—Rozpanoszyła się więc tylko, rozpróżniaczyła, rozgnusniała; małoduszni matadorowie narodowi, do przesytu obsypywani skarbami zamorskimi, pracę dla siebie uważali-by za ujmę; lud trzymany w ciemnocie i ogłupieniu, nie wydał z siebie żadnego przemyślu i nawet gotowych darów natury wyzyskać nie umiał. Aż tu naraz, ni stąd ni zowąd, w pierwszych dziesiątkach lat przeszłego wieku osady zamorskie jedna po drugiej odpadać zaczęły od metropolii (oprócz dwóch wysp.) Hiszpanie pozłoscili się, ale korzyści z tego faktu nie wyciągnęli, próżnując podawnemu i bawiąc się na półwyspie Pirenejskim w bratobójczą politykę, aż dopóki nie utracili i ostatnich dwóch części posiadłości Amerykańskich, ujawniając zadziwiającą słabość, owoc wiekowego próżniactwa i zastoju. Porównajmy tylko ten postęp niemocy i paraliżu politycznego z akcją wychowawczą tego państwa, a natychmiast rozwiąże się nam zagadka upadku tego narodu, który przed pięciu wiekami, nierównie słabszy w liczbę i środki, zwałił olbrzymią potęgę Maurów, wyszedł z pod ruin cały, zdrowy, nadzwyczaj zdolny, a przez naturę w dobra materialne uposażony, jak żaden inny. Wszystkiego było dostatek, brakło tylko wychowania, oceny tych wszystkich dóbr, nauki wyciągania z nich korzyści dla utrwalenia bytu, przekonania mas że nie sentymentalny patriotyzm stanowi opokę bytu politycznego, ale praca dlań nieustanna, jak praca źródeł podziemnych dla utrzymania rzeki w nieustannym biegu. I czy dzisiaj ogół Hiszpański skorzystał z lekcji, jaką mu dała Opatrzność za pośrednictwem Stanów Zjednoczonych? Bynajmniej. Szlachta po dawnemu politykuje, a lud, do pracy nienawykły, owoców jej cenić nienauczony, jako do środka podniesienia, zwraca się do anarchizmu. Oto są skutki braku szacunku dla dzieci, braku wychowania <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Kiedym przed trzydziestu laty, wobec jednego z dostojników kościelnych wynosił lud Księstwa Poznańskiego, że od dziecka do star-

Nie potrzebujemy mnożyć przykładów dla dowiedzenia, że wszędzie i zawsze siła i dobrobyt społeczeństw męźnieją w stosunku prostym do usiłowań i ofiar skierowanych ku wychowaniu, a w stosunku odwrotnym do sybarytyzmu. Mądrze też postępują państwa, poświęcające największe sumy na edukację publiczną, bo wydatek ten z grubą lichwą im się oplaca, nawet materyalnie, jak o tem słusznie zapewnia prof. Struve, mówiąc: — „Znakomici ekonomiści wykazali dowodnie, że uczciwi a świątli ludzie stanowią większe bogactwo narodu, właśnie pod względem ekonomicznym, niż najwydatniejsze rudy złota. Więc dbałość o podniesienie poziomu etycznego i życia religijnego narodu, o wychowanie publiczne i uszlachetnienie zabaw w chwilach wypoczynku po pracy, o wymiar sprawiedliwości i uczciwą administrację, wreszcie o prawidłowy rozwój literatury, sztuki, nauki, i tym podobnych potrzeb moralnych, musi iść w parze z pracą około przysporzenia bogactwa narodowego. Im te wszystkie czynniki praktycznej działalności ściślej łączą się z sobą i dopełniają wzajemnie, tem naród staje się szczęśliwszym i lepszym, tembardziej się zbliża do możliwej dlań doskonałości.“ („Znaczenie filozofii...“ Warszawa, r. 1902, str. 28.)

A ta doskonałość—dodam—to jest byt. O ile też rozumiemy społecznościami nieszczędzące ofiar dla doskonalenia pokoleń, o tyle nie pojmujemy tych, które skąpią. Tu chyba tylko rozpaczliwa ograniczoność umysłowa jednostek, zobojętnienie na byt, może stanowić przyczynę skąpstwa.

Tłumaczą się brakiem funduszków? Nieprawda. Jakież to fundusze mieli Szwajcarowie, rzesza chłopów, z kamienia wydobywających środki nędznego pożywienia? Byli tak nędzni, iż przez długie wieki, chleba nie mogąc dostać we własnym kraju, życie sprzedawali obcym jako żołnierze najemni, i marny zarobek przesyłali nędzniejszym od siebie rodzinom. Rolnicy, pasterze, rzemieślnicy, żadnych na nikim nie czyniący zdobyczy, z tej krwawicy własnej powystawiali pałace dla szkół ludowych, okryli niemi całą swą ziemię, tak, ażeby żadna tam istota ludzka nie była pozbawioną choćby promyka

---

ca wszyscy umieją czytać i modlą się z ksiązek, gdy gdzieindziej jest to rzeczą niezmiernie rzadką, dostojnik ów odpowiedział mi: — „Tem lepiej. Zobacz, jak np. lud hiszpański, nie umiejący czytać, przywiązany jest do swej wiary i posłusznym Kościołowi!“ Zdrętwiałem. I słów tych kilka wytłumaczyło mi wiele. Jakżeż żałuję, iż, wówczas zamilkwszy, dziś nie mogę dać mu repliki na tę odpowiedź, wskazując masy ludu hiszpańskiego szturmujące do swych klasztorów i rozrzucające naboje dynamitowe.

światła, uszlachetniającego duszę; pozakładali wzorowe szkoły średnie, a ich zakłady wyższe, uniwersytety, walczą o lepszą z takimiż instytucjami w państwach najbogatszych. Rozumieli, że ofiarą składana gwoli udoskonaleniu jednostki, hojnie opłaci się ogółowi; pozbyli się więc egoizmu terażniejszości i patrzyli w dal. Za światłem dobrobyt, siła, szacunek ludzki, przyszły jak na zamówienie, a to wskutek szacunku dla dzieci. Przyszłość nie nadchodziła dla nich trafunkowa, jak Bóg da, ale wylaniała się w takich konturach, jakie jej świadomie zakreślała terażniejszość. Szwajcarowie, to dzielni myśliwi: oni przez całe wieki czynili oblawę na tę dolę świetną, jaka im dziś się dostała; poobstawiali wszystkie wyjścia, aby im nie uciekła.

Dotykalszy jeszcze przykład stanowić mogą Czesi, w mniej pomyślnych pod względem politycznym znajdujący się od Szwajcarów warunkach. Po rozbiciu jakiemu ulegli w wieku XV, stopniowo się pochylających wiek poprzedni zastał w całkowitym upadku materialnym i moralnym. Słynnymi oni stali się w całej Austrii jako urzędnicy, t. j. jako ajenci i służalcy lucyperowskiej polityki i biurokracyi ks. Metternicha, a najwięcej od ich służalstwa ucierpiała Galicya: oto była najwydatniejsza działalność Czechów, świetlany punkt ich aspiracyi—zostać urzędnikiem meternichowskim i zrobić karierę. Reszta zajęć, wzgardzona, drzemała w zastoju, wolną rękę zostawiając germanizacyi. Dopiero pojedynczy poeci ich i historycy przerwali tę drzemkę, głos ich przedarł się do dusz jeszcze nie zepsutych, i nastąpiła zupełna zmiana frontu.

#### IV.

Niewolno opuszczać rąk ani ideałów, kiedy chodzi o zachowanie szacunku należnego dzieciom... Oszczędzanie zaś na wychowaniu i wogóle na edukacyi, stanowi najcięższą krzywdę, jaką tylko dziecku wyrządzić można. Na czym zaś polega ta edukacya? Na tem, ażeby dziecko uczynić:—cieleśnie zdrowem, do pracy społecznej uzdolnionem i uczciwem.

Każdy z tych postulatów wymaga osobnego roztrząśnienia i osobnej pracy, a nadto, wszystkie trzy wymagają uwzględnienia szczególnych warunków, w jakich się na dobre społeczeństwo znajduje. Warunki te mogą być więcej lub mniej pomyślne, ale właśnie

im zgubniej działają wpływy, tem surowszy mają obowiązek rodzice zapewnić dzieciom sposoby oddziaływania.

Lecz cóż to są rodzice? Wyraz ten, abstrakcyjnie wzięty, zawsze tylko doprowadza do teoretycznych ogólników, mądrych, ale sprawiających wrażenie czysto akademickie. Rodzice, to masa, a w tej masie rozróżniamy grupy najrozmaitsze, klasyfikujące się według stanu, inteligiencji, stopnia zamożności i innych cech. Są tacy, którzy czytają „Przegląd pedagogiczny“, „Encyklopedyę wychowawczą“, książki poświęcone wychowaniu, artykuły, budują się przeczytanem i nawet w danym razie może i wprowadzają w czyn przeczytane rady i uwagi. Ale dużoż to jest rodziców do tego wszystkiego zdolnych, chętnych? Garstka. A reszta? Wychowuje dzieci z pamięci, z instyktu, z nasłuchu, jak Bóg dał; najliczniejsza część nie wychowuje wcale, niestety! albo tak ladajako, że lepiej byłoby, gdyby nie wychowywała wcale.

Jednakże dzieci ich wychowane być powinny, muszą, i to według pewnych zasad racjonalnych, rozumnych a z dobrem ogółu zgodnych; inaczej, dzieci te wyrosnąć mogą na pasorzytów, toczących społeczeństwo. Nikt nie ma prawa być niewychowanym, to jest nieuzdolnionym do pracy a uzdolnionym do występku: bo każdy taki jest ciężarem społeczeństwu, które musi darmo żywić próżniaka albo pilnować łotra. Zważmy więc jaka to jest logika społeczeństw, rozdzielonych na gminy i miasta, która twierdzi, iż nie posiada funduszu na dostateczne wychowanie młodych pokoleń, ale posiada dosyć na utrzymanie darmozjadów i na walkę z łotrami.

Z pałaców sterczących dumnie zstępując do niskiej chatki, zastosujmy tę ostatnią uwagę do naszego miasta. Rodzice z klas pływających po wierzchu, aż do pewnego, choćby minimalnego, stopnia zamożności, posiadający w większym lub mniejszym stopniu rozpoznanie rzeczy i mający jakie takie pojęcie uspołecznienia, celów życia, wychowują swe dzieci w domu jak mogą, jak umieją, a kiedy ich już nie stać ani na jedno, ani na drugie, starają się je umieścić w jakiej szkole, stosownie do swych widoków i zakresu odpowiadającego stanowi majątkowemu. Cały ten ruch odbijamy, notabene, w sposób najbardziej optymistyczny, bo gdybyśmy chcieli rozpatrywać go krytycznie, dałoby się o nim powiedzieć wiele rzeczy nieprzyjemnych. Wtedy-to, w okresach przejścia z domu do szkoły, rozpoczyna się konkurencya, bieganina, szturm do miejsc, których niema... Ale ta kategoria rodziców jeszcze sobie jakoś poradzi.

Dopiero spojrzymy niżej i jeszcze niżej, na to mrowie rojące się na Powiślu, pod rogatkami, na Pradze, gnieźdzące się po strychach, poddomiach i przykomórkach, zaledwie głodową śmierć odpe-

dzające z dziennego zarobku;—spójrzjmy tam nie przelotem, nie z okien tramwaju, ale wzrok zatrzymajmy dłużej, z myślą i współczuciem, a wtedy samo z siebie nasunie się nam pytanie: co też tej kategorii rodzice robią ze swemi dziećmi, które tak samo jak inne mają prawo wychować się na ludzi zdrowych, do pracy społecznej uzdolnionych i uczciwych.

Nie będziemy tu uciekać się do środków melodramatycznych, dla wzruszenia kogobądź obrazem nędzy panującej w tych warstwach, ani przytaczać szczegółów, na własne oczy widzianych, a często pod rozmaitemi postaciami opisywanych w dziennikach. Przypomnimy tylko, że nędza materyalna nie bywa zwykle rozsądnikiem moralności, a człowiek codzienną walkę staczający z głodem, zimnem i wszelakim brakiem, nie stanowi materyału na bohatera enoty. O los dzieci tej kategorii rodziców najbardziej powinna drżeć dusza społeczna, z tych bowiem ognisk rozchodzą się po niewinnych umysłach sugiestywe najzgubniejsze. Miłosierdzie publiczne usiłuje wprawdzie zapobiegać niuniknionym wynikom takich sugiestyi, i cześć mu za to; ale filantropia, to środek paliatywny: przynosi ulgę, lecz złego nie wykorzenia.<sup>1)</sup>

Jak lekarz nie poprzestaje na oddalaniu symptomatów choroby, ale stara się dotrzeć do jej źródła, aby je zniszczyć, tak samo i w chorobie moralnej społeczeństwo starać się powinno o środek wyniszczający zło nie pojedynczemi symptomatami, ale w samym jego ognisku poprostu nie dopuścić aby ono istniało, a środkiem tym jest nauka, w całkowitem jej zastosowaniu. Na to odpowiedzieć można, że przecież mamy tyle szkół w Warszawie, rozmaitych typów, od uniwersytetu aż do sal zajęć pod opieką Towarzystwa Dobroczynności, gdzie dzieci każdej kategorii znaleźć mogą mniej więcej odpowiednią naukę? Prawda: kadry istnieją zastosowane do ducha czasu i warunków bytu, ale kadry te należało-by powiększyć kilkakroć, ażeby istotna potrzeba ludności pomieścić się w nich mogła. Zważmy tylko, że ludność ta przechodzi już 700,000 dusz, a jakiz jest do tej cytry stosunek szkół? Poprostu śmieszny, jeżeli mieć będziemy na względzie uczelnie obmyślane dla tych właśnie warstw najniższych, naj-

---

<sup>1)</sup> Odwiedzając raz na Powiślu rodzinę ubogą, mającą czworo dzieci, łobuzujących się w sposób rozdzierający duszę, zapytałem, dlaczego nie posyłają ich do Ochronki.—„Cheiałam—odpowiedziała matka—ale tam nie przyjmują bez porządnego ubrania, a ja nie mam za co sprawić.”—Istotnie, wszystko to było bosc i półnagie, a i matka nie wiele się od nich różniła strojem.

bardziej upośledzonych, a stąd najbardziej miazmatom zlego podległych. Gdyby było inaczej, Towarzystwo Dobroczynności nie miałoby corocznych deficytów przez to, że przyjmuje ciągle nad etat dzieci opuszczone, a mimo to drugie tyle ich lub więcej odprawia z niczem, i te gdzieś tam marnieją w moralnym i fizycznym zaduchu rynsztoków. „Nazaret“ księcia Michała Radziwiłła i zakład wychowawczy księdza Siemca nie byłyby bezskutecznie oblegane przez kandydatów, dla których już miejsca nie staje; ulice trzecio i czwartorzędne nie roily-by się od dzieci wałęsających się po kątach, jako ofiary próżniactwa i zgorzenia.

Na to znowu usłyszymy odpowiedź decydującą: fundusze; a da nam ją zarówno kasa miejska, jak i filantropia. Lecz odpowiedź ta nie jest znowu dla nas tak straszliwie decydującą. Warszawa dużo wydaje na zdobycze, podtrzymanie fizyognomii pierwszorzędnego miasta. Warszawa utrzymuje kilka teatrów i widowisk wszelkiego rodzaju, setki tysięcy rubli wydaje rocznie na przewóz przedmiotów zbytkowych z zagranicy, nie szczędzi na import zagranicznego arcyzmu, drogo opłacanego. I ona-to może, tłómaczyć się brakiem funduszy na utrzymanie dostatecznej ilości szkółek choćby dla edukacji najniższej, choćby przytułków zabezpieczających drobiazg swój od próżniactwa i zepsucia? Tego nam nikt nie wytłómaczy.

Podobnie dzieje się w Warszawie względnie do szkółek. Kasa miejska zaraz wystąpi z kanalizacją... Ależ cała wdzięczność nasza za tę myśl i przeprowadzenie kanalizacji splawnej, która uzdrowotniła miasto, i jak głoszą medycy, powstrzymała rozwój tyfusu, który stał się był w Warszawie niemal endemicznym. Jakież to błogie skutki tej kanalizacji splawnej! A teraz wyobraźmy sobie o ile donioślejszemi były-by następstwa z zaprowadzenia kanalizacji moralnej, gdyby ci małoletni kandydaci na przyszłych omiataczy bielizny ze strychów, dobieraczy wytrychów, na rzezimieszków i nożowników, których corok w mieście przybywa, a codziennie o jakiejś ich sztuczce ogłaszają pisma, zamiast pobierać pokątną edukację od złooczyńców i z namowy ćwiczyć się w ich rzemiośle, z wiedzą, czy bez wiedzy rodziców, zasiadali bodaj w najskromniejszym zakątku nauki, pracy i dobrego przykładu, zbliżeni do społeczności, która-by przez swych wyobrazicieli nauczała te młode dziczki kochać bliźnich i bojaźń Bożą wszczepiała w duszę.

A jakież to przytem, jeśli nie odrazu, to z biegiem lat, dobry interes materialny dla kasy miejskiej! O ileżby zmniejszyło się kosztów na opłatę dozoru policyjnego, na utrzymanie więzień, ba! i szpitali. Oszczędność na tem wszystkim, oprócz zadowolenia mo-

ralnego, niebawem pokryła-by z górą koszt utrzymania szkółek. Ileż-by zaś na tem zyskali prywatni! Dziś, mimo zdwojonej czujności z urzędu, ani w domu, ani na przechadzce, ani w kościele, ani na targu, słowem, w żadnej chwili życia, na żadnej piędzi warszawskiej gminy, nie jesteś pewnym swego zegarka, kaletki, odzieży, a w okolicy rogatek nawet zdrowia lub życia. O niczem tyle nie słyszysz, co o ujęciu bandy, o wykryciu kradzieży, o oszustwie, i t. p. A przecież, na miły Bóg! nie jesteśmy narodem złoczyńców. Wszystkiemu zatem winien brak wychowania u spodu. Rozważmy to wszystko, i róbmy dalej oszczędności na wychowaniu.

To pewna, że na wojnę z ciemnotą i występkiem, tak jak z innym nieprzyjacielem, potrzeba... pieniędzy. Ależ i warszawska kanalizacja spławna darmo nie przyszła. Iluż-to boczyło się na nią, ilu opponowało w radzie obywatelskiej, zwołanej przez zacnego inicjatora, który podówczas przewodniczył sprawom miejskim, ilu właściciele domów narzekało na przymus, ilu twierdziło że miasto takiego szalonego wydatku nie wytrzyma! Jak się zrazu ociągano z przystąpieniem do tego dobrodziejstwa! A dzisiaj, po latach piętnastu, niechżeby kto zaproponował wstrzymanie kanalizacji!.. Dopierożby go zakrzyczeli ci sami pierwotni zwolennicy półśrodków podwórkowych i rynsztoków ulicznych, wypełnianych papką cuchnących ścieków. Dzisiaj Warszawy ani pomyśleć nie można bez kanalizacji, a przecież nie zbankrutowała i sumiennie zobowiązania swe wypełnia.

Toż samo było-by z kanalizacją moralną, która dotąd odbywa się półśrodkami, kapaniną, ospale, i dlatego skutków nie przynosi. Było-by z nią zachołu nieskończenie mniej, a o porównaniu kosztów niema co i wspominać. Tamta jest instytucją czyste finansową i polega wyłącznie na kasie miejskiej; ta znajduje gotową już, ogromną pomoc w filantropii. Filantropia jednak to rzecz dowolna, i nikomu jej nie można nakazać; a jeżeli jedno zarządzenie otrzymują wszyscy i do niego się stosują, czemużby wszyscy otrzymując drugie, do niego stosować się nie mieli? Za wodę płacą wszyscy, za okna od mieszkań płacą wszyscy od pewnej uormy; czemużbyśmy za naukę młodych pokoleń, nie mających czem jej opłacać, nie płacili wszyscy, także od pewnej normy dochodu, skoro, jak to wykazałem wyżej, wszyscy-byśmy na jej upowszechnieniu śród mas społecznie niepoczytalnych skorzystali, pozbawiając się żywiołów szkodliwych. I jak dziś cieszymy się, że od zaprowadzenia kanalizacji ustąpił tyfus nagminny, tak samo po pewnym przeciągu czasu mówili-byśmy z pociechą, że od ujęcia wszystkich nieletnich w karby wychowania moralnego, kronika kryminalna zmalała. A jak za przykładem War-

szawy idą zaraz inne miasta w ulepszaniu urzędzeń finansowych i zdrowotnych, tak i w tym razie, widząc skutki pomyślne, nie omieszkały-by ze wzoru korzystać, i dobroczynna sieć rozciągnęła-by się dalej. Wszak to tym sposobem odbywa się postęp.

Dla pokazania, że jesteśmy do niego zdolni, trzeba-by przede-wszystkiem ułożyć statystykę: ile w danej chwili dzieci będących w wieku najbardziej edukacyjnym nie otrzymuje żadnego wychowania racjonalnego, ażeby, mając cyfrę mniej więcej odpowiadającą rzeczywistości, zastosować do niej ilość miejsc w odpowiednich zakładach; następnie przystąpić z całą energią do obmyślenia źródeł powiększenia tych zakładów drogą składek stałych, racjonalnie udeterminowanych, pozostawiając w tem dziele wolną rękę filantropii, która, jak mamy wszelkie powody mniemać, poparcia-by swego nie odmówiła, jak nie odmawiała dotychczas.

W istniejących dotąd zakładach dla drobnej dziatwy widzimy usiłowania, zmierzające ku ulepszeniu zdrowotności i programów zajęć, odpowiadających tegoczesnym warunkom bytu społecznego; w tym kierunku odznaczają się mianowicie zakłady Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Radziłyśmy jednak ażeby, ze względu na okoliczności szczególne, w jakich się społeczność nasza znajduje, mianowicie na uderzający wzrost demoralizacyi, kierunek moralny wychowania zapanował nad wszystkimi innymi; bo już ciż od takich lub innych zasad moralnych, ugruntowanych w młodej duszy, zależy sposób takiego lub innego użycia środków życiowych, udzielonych wychowawcowi przez rodziców, czy w ich zastępstwie przez zakład wychowawczy.

I tu na pierwszy plan występują rodzice, którzy od samej kołębki mają naturalny obowiązek wychowywać dzieci, i do pewnego wieku je wyłącznie kształcą. Rodzice—na ten raz sąd nasz stosujemy do przeciętnych, podkształconych, średnio zamożnych—rodzice, pod wyrazem dobrego lub złego rozumieją to, czego ich kiedyś nauczono, to, czego sami chcą, do czego mają większą sympatyę, co wreszcie uważają dla swych dzieci za pożyteczne lub szkodliwe; rodzice, zajęci ogólnymi sprawami domu, moralnemu wychowaniu dzieci nie poświęcają się specjalnie, lecz raczej dorywczo, przy jakiejś okazji powstrzymania od czegoś za pomocą strofowania lub kary, albo zachęcenia do czegoś za pomocą nagrody; rodzice bywają rozmaitych usposobień i temperamentów: zimni, surowi, odstręczają dzieci, nie wzbudzają ku sobie ich zaufania; gorący i czuli przepieszczają gagatków i czynią z nich *enfants gâtés*. Nie sprawdzałem, ale zdaje mi się, że rodzice przeciętni nie wychowują dzieci według jakiegoś systemu, jakiejś metody obmyślanej z góry i z której zdają sobie dostateczną



sprawę, ale najczęściej według widzimisię, według przypadku, tam zwłaszcza, gdzie kierowanie młodą latoroślą napotyka nieprzewidziane trudności, zależne od wrodzonego charakteru dziecka, opornego w przyjmowaniu prawideł postępowania. I w tym ostatnim wypadku następuje nieszczęście. Za jedyny środek walki ze złem poczytywane są kary, najczęściej brutalne i głupie, wyglądające więcej na pomstę za wyrządzoną przykrość, niż na środek pedagogiczny ze strony rodziców, których do wymierzenia kary niedorostkowi skłania prosty gniew, pasya, nie zaś wzgląd na niezależny od dziecka stan jego psychiczny, z którym walczyć trzeba tak, jak lekarz walczy z wadą fizyologiczną, drogą pewnych metod. Gdyby tacy rodzice mieli więcej rozumu niż sentymentu, postarali-by się natychmiast o jakąś pomoc specjalnie pedagogiczną, ale to im nie przyjdzie do głowy; wolą fuszerować, zabijać w dziecku honor nieustannymi karami, czynić się mu wstrętnymi, aż zmęczeni pozostawiają nieszczęsne dziecko losowi, i to w mniemaniu, że obowiązek rodzicielski spełnili.

O nie! Kara, jako środek do poprawy, używana być może bardzo względnie. Ona, bezwzględnie i bezmyślnie stosowana, nietylko charakteru nie poprawia, ale owszem obudza tylko większą czujność w ukrywaniu się ze złym czynem i do zemsty przeciwko karzącemu obudza. Tożemy tyle kar przeciwko przestępcom naustanawiali, od grzywnien, więzień, aż do ciężkich robót, i tak je ściśle stosujemy, że zdawało-by się postrach rzucićby powinny na wszystkie wole, i idee nawet przestępstwa wykorzeń. Tymczasem, dziś ukarzymy jednego nożownika, jutro ukazuje się dwóch. Bo złe nie leży w czynie samym, ale w usposobieniu do niego: ażeby zatem to zło zwalczyć, trzeba się dobrać do jego korzenia, do rdzeni, i na tem polu wydać mu śmiertelną walkę przez edukację, poczynając się niemal u kolebki.

Kara jest to środek nadzwyczaj łatwy w ręku mocniejszego,— dość tę rękę wyciągnąć; ale też, jak wszystko co łatwo przychodzi, płonny i jałowy. Mylą się też co do jego wartości tak dobrze rodzice, jak społeczeństwa. Oczywiście, władze społeczne, jako broniące prawa i porządku publicznego, nie mogą bezkarnie puszczać wykroczeń przeciw niemu: inaczej, zasada bezkarności stała-by się zachętą; ale im też najbardziej chodzić powinno o to, ażeby rodzina i szkoła, te główne rzeźbiarki charakterów, dostarczały jaknajmniej jednostek do kary społecznej podatnych, co uszczupliło-by pracy, zachodów i wydatków w bezprodukcyjnych a godność społeczną i jej bezpieczeństwo podniosło.

Nie tu miejsce na określenie szczegółowych programów wychowania początkowego, zawierającego się we trzech kierunkach: zdro-

wotnym, intelektualnym i moralnym; nie jest to wreszcie zadaniem jednego człowieka, ale grona specjalistów, z metodami pedagogicznymi i dydaktycznymi gruntownie obeznanym a duchem humanitarnym i obywatelskim przejętym. A jeżeli tu pozwoliliśmy sobie, nie dotykając innych, rozszerzyć się nieco nad kierunkiem moralnym, to dlatego, iż on wydaje się u nas najbardziej, aż do lekceważenia, zaniedbanym, a przecież stanowi, według naszego zdania, najważniejszą część systemu wychowawczego; bo ani charłak, ani nieuk, tyle szkody nie przyniosą społeczeństwu i sami nie są tak nieszczęśliwymi, jak istota moralnie zwyrodniała.

Gdyby rodzice rozumieli jaką krzywdę wyrządzają tym ukochanym przez się istotom, przez zaniedbanie wychowania moralnego, gdyby przeculi cały ogrom nieszczęścia, jaki im przez to gotują, hańbę i poniewierkę, jaka dotknie ich dziecko, niegdyś pieszczone, noszone na rękach, tulone do serca, budzące rozczulenia miłosne, a potem za zły, brzydki czyn wtrącone do lochu, sromotnie zohydzone lub samobójstwem kończące życie bez wyjścia,—serce-by im pękło z boleści, albo sumienie gryzło-by ich do skonania.

Raz zatem jeszcze wielkim głosem wołamy do rodziców: „Szacuniecie dzieci swoje!

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

# MEFISTO.

---

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

---

Był maj. Wiosenne słońce przygrzewało na dobre, tak, że trawy pourastały już wysoko, drzewa przybrały się w obfitą zieleń, a bzy stały w kwiecie i rozlewały w powietrzu woń ożywczą i słodką.

Do ogródka weszła młoda dziewczyna, aby zerwać bzu. W różowej rannej bluzce, z rozpuszczonemi na plecy włosami, które w słońcu mieniły się niby fala złota, obnażonemi po łokcie rękami sięgała po kiście kwiatów najpełniejsze, najbardziej rozkwitłe i zerwane opuszczała na ziemię, aby z nich potem ułożyć bukiet. Białe kwiaty leżały dokoła jej stóp, a ona, w słońcu cała, olśniewająco jasna, uśmiechała się do kwiatów, do słońca, do świata całego, który jej się wydawał piękny i uroczy, we mgle różowej przed nią stojący.

Drzwiczki skrzyknęły i na ścieżce ukazał się młody mężczyzna, który, ujrawszy jasną postać dziewczyny, zatrzymał się, zdjął kapelusz z głowy i rzekł:

— Przepraszam najmocniej.

Ona spojrzała na niego ciekawie i opuszczając ręce, wzdłuż których opadły szerokie rękawy sukni, spytała grzecznie:

— Czego pan sobie życzy?

— Przeczytałem na bramie od ulicy kartkę, iż w tym domu jest mieszkanie do wynajęcia.

— Jest.

— Ja właśnie poszukuję mieszkania.

— Są trzy pokoje, przedpokój i kuchnia.

— Czy mógłbym je obejrzeć?

— Bardzo proszę. Pan będzie łaskaw zaczekać chwilę, pójdę po klucze.

Poszła prędko do domu, który stał w głębi ogrodu, i wchodząc śpiesznie do pokoju, zawołała:

— Babuniu, jakiś pan chce mieszkanie wynająć.

Ale nie czekając odpowiedzi, wbiegła do swego pokoju, wzięła pęk kluczy wiszących na ścianie i wyszła do ogródka. Zdaleka już dojrzała, iż nieznajomy, przykłęknąwszy, pozbierał kwiaty rozsypane po ziemi i układał je w bukiet. Zanim doszła, młody człowiek związał bukiet nitką trawy, położył go na ławce i, kierując się ku niej, gdy mu dziękowała skinieniem głowy, rzekł, jakby się tłumacząc:

— Szkoda kwiatów, które leżą na ziemi.

Jej się te słowa podobały, ale nic nie odpowiedziała, bo nieznajomy otwierał już drzwi od ogródka i zatrzymał się, by ją przepuścić, więc poszła prędko przez podwórko ku frontowemu domkowi, pobrzękując kluczami.

— Czy to pani odnajmuje?

— Nie. Ja tu gospodarzę jedynie.

Oglądał uważnie mieszkanie. Zatrzymał się chwilę u okna jałdalnego pokoju, które wychodziło na podwórze, wprost ogródka, otaczającego oficynę.

— W tej oficynie kto mieszka, czy wolno wiedzieć.

— Moja babka i ja.

Przeszedł się jeszcze raz po pokojach, przepaszając, że może jej czas zajmuje, i spytał:

— Jaka cena?

— Dwieście rubli rocznie.

— Mnie się to mieszkanie bardzo podoba, proszę pani.— Chętnie je wezmę.

— W takim razie proszę, niech pan z babunią się rozmówi ostatecznie.

Babunia przyjęła nieznajomego bardzo uprzejmie.

— Proszę siadać, bardzo proszę.

Poprawiła okularów, poruszyła zielony daszek nad oczyma, wsunęła się głębiej w fotel i splotła ręce na kolanach.

— To pan życzy sobie moją kwaterę wynająć.

— Tak, proszę pani.

— A czy to pan Warszawiak?

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie, pani, ale długi czas przebywałem w Warszawie.

— A jak godność pana?— spytała staruszka.

— Wiktor Dembicki— rzekł z ukłonem.

Staruszka poruszyła się żywo na fotelu.

— Znam... znam... A z których-to Dembičkih? czy nie z Poniewieskiego?

— A których szanowna pani zna—bo tam są Janowie Dembiccy i Michałowie...

— O to to! Michał, Michał... jego żona Kiściarska z domu... piękna była panna i edukowana.

— To moi krewni.

— Krewni? aha! to pan i z Dokutami musi być skoligacony?

— W Dokutach spędziłem swe dzieciństwo.

— A, to tak... a to widzi pan piękna strona, dobra ziemia...

— To pani dobrodziejka tamte strony zna?

— Babunia całą Litwę i Żmujdz zna—wmieszała się młoda dziewczyna i, widząc, że babunia zamyśliła się o dawnych czasach—dawnych stosunkach, dodała:

— Babuniu, zatrzymujemy tak długo pana...

On zawołał żywo:

— Ależ proszę, bardzo proszę...

Ale babunia rzekła:

— Prawda. Pan dobrodziej starej wybaczy. To jakże? Czy chce pan moją kwaterę wziąć?

— Owszem, proszę pani.

— To i dobrze. Mnie przyjemnie będzie mieć takiego lokatora, z zacnych rodów starych.

— Czy mógłbym zaraz objąć mieszkanie?

— A zaraz.

— To bardzo dobrze. Stoję w hotelu i pilno mi jest urządzić się.

— Kwatera czysta, pięknie odrestaurowana, świeże obicia.

— Bardzo mi się podoba.

— To i dobrze. A czy pan na rok, czy na pół roku.

— Wolałbym z początku na pół roku.

— Jak pan sobie życzy. A cena..

— Wiem: dwieście rocznie. Czy pani każe z góry.

— Jak panu dobrodziejowi dogodniej. A czy pan wie, że trzeba będzie kontrakt podpisać. U nas to już taki zwyczaj.

— Nie mam nic przeciw temu.

— Choć ja wiem teraz z kim mam do czynienia—to i nie konieczne. Słowo to grunt. U mnie, jak słowo powiedziane, to i amen. Co tam podpisy. Słowo to grunt.

— Ależ chętnie podpiszę.

— To prosta formalność—rzekła młoda dziewczyna!

Przyniosła stemplowy papier, kałamarz i pióro.

— Moja wnuczka podpisze za mnie. Ja bo nie widzę.

-- Uważałem, że szanowna Pani...

— Nie dowidzę, nic prawie nie widzę. Widzę, że pan siedzi, ale twarzy pańskiej nie rozróżnię.

Westchnęła, pokiwała smutnie głową.

— Przepraszam, że zapytam o rodzaj zajęcia pańskiego.

— Jestem adwokat.

— Czy tak? A to pięknie. Ale to pan tu w Kownie będzie miał dużo kolegów! Strach! co tu adwokatów.

— Mnie to nie przeszkadza. Przyjechałem głównie, aby praktycznie się wykształcić w swoim zawodzie. Miałem rekomendację do p. Borowskiego.

— Do Borowskiego? toż to najpierwszy u nas adwokat, a panna Borowska to koleżanka z pensyi mojej wnuczki.

— Czy tak? Właśnie będę u niego praktykował.

— A to bardzo mi przyjemnie, że i znajomych wspólnych mamy, a i koligację pana pamiętam dobrze z dawnych czasów. Spodziewam się, że pan będzie zadowolony z kwatery, a już co do powietrza, to w całym mieście takiego podwórza wielkiego niema, no, i sad wokoło. Latem to tu jak na wsi.

— Uważałem to. Istotnie, jak na wsi.

Wreszcie gawęda była skończona i p. Dembicki wyszedł.

Babunia była rozpromieniona.

— To bardzo porządny kawaler—zadecydowała.—Prawda, Zosiu? Ot, jaki lokator. Ot, szczęśliwy traf. Sto rubli z góry za półroczę dał.

Zosia się roześmiała.

— Wielkie rzeczy! Dał, bo ma. Nie wszystko jedno, z góry, czy z dołu. Wszystko jedno, zapłacić trzeba.

— Niby to u mnie nie bywało, że i nie zapłacili. A już ja po sądach włóczyć się nigdy nie potrafiła-bym. No, a jakież on? przystojny.

— Przystojny.

— Brunet?

— Nie, blondyn, z jasną ostrą bródką i małemi wąsikami, wysoki, suchy...

-- Podoba ci się, no, mów!

— Czy ja wiem! Z wyglądu—owszem. Ma w sobie coś nie banalnego...

Babunia zaczęła się rozwodzić, jaki on uprzejmy, miły, przyjemny. Adwokat—to piękna sytuacja, dobre stanowisko. Pomocnik pana Borowskiego—no, to już go ten dobrze pokieruje i klientelę mu wyrobi.

— Cóż? a może to kawaler dla ciebie?

Zosia uśmiechnęła się wesoło.

— Wiecznie babunia swoje! A ja wcale nie chcę iść zamąż.

— Zechcesz, zechcesz—mruknęła babunia.

— Czy idzie babunia do ogródka? Dzień cudny.

Wyprowadziła starszkę do ogródka, usadziła na słońcu, okryła kolana szalem, dała się napić lekarstwa homeopatycznego, które babunia stale popijała od rozmaitych rzeczywistych i urojonych dolegliwości i rzekła:

— No, to ja idę się ubierać, bo już południe. Chwała Bogu, dom już nie będzie stał pusty przez lato.

— Chwała Bogu—powtórzyła starszka.

Siedziała na słońcu, przebierając wychudłemi palcami ziarnka różańca. Na srebrnych włosach miała biały, starannie wyrurkowany czepeczek, nad oczyma zielony daszek, który najczęściej zsuwała na czoło. Bezżębne jej usta poruszały się cichą modlitwą.

— Zosiu!—zawołała wreszcie, przerywając pacierz.

— A co babuniu?

— A czy on ma meble?

— Pewnie.

— A skąd-by? Mówił, że w hotelu stoi.

— To kupi.

— Musi być.

Siedziała chwil parę w milczeniu, wychudłemi palcami przebierając ziarnka różańca.

— Zosiu!

— A co, babuniu?

— On tu niedawno widać przyjechał.

— Zapewne, bo Jadwiga nic mi o nim jeszcze nie mówiła.

— Aha, prawda, że on jest pomocnikiem u Borowskiego. Czy on dostatni, co? jak ty myślisz?

— Może być.

— Musi być, musi być—szepiała do siebie starszka, poruszając zwiędłemi ustami.

— Choć niewiadomo, babuniu. Zainstalować się to on musi, ale to nie znaczy, żeby koniecznie był dostatni.

— Ee... on musi być niebiedny. Z Dokutami skoligacony...

Zosia odeszła znowu od okna, ale po chwili już ją przywołał głos babki.

— Zosiu, co ty robisz?

— Ubieram się.

— Wiesz ty co...

— A co?

— Ja zapomniałam zapytać: a nuż on będzie trzymał kury, kaczki i gęsi.

Młoda dziewczyna wybuchnęła kaskadą perlistego śmiechu.

— Jak ty myślisz, co? ja tak nie lubię tego ptactwa na podwórzu...

— Ja myślę, że on nie będzie trzymał kur, kaczek i gęsi!

---

Panna Zofia cieszyła się ogromnie, że wiosna nadeszła. Lubiała nadewszystko ruch, spacer, powietrze, zapach i kolor świeżej zieleni i godzinami całami przechadzała się po wązkich ścieżkach, wijących się wśród zielonego, puszystego trawnika, jakim było wysłane całe, obszerne podwórze, pomiędzy zabudowaniami, stanowiącemi własność starej pani Różyckiej. Ale najwięcej spacerowała, aż do umęczenia, po cienistych alejach owocowego sadu, przylegającego do podwórza, gdzie rozłożyste jabłonie, grusze, sliwy i wiśnie tworzyły las zieleni, gdzie słała się po ziemi dobra nızka trawka, niby tło, z którego strzelały w górę wysokie, bujne i rozłożyste gatunki polnego kwiecia: więc kity mietlic szaro-różowych, czerwony dziki szczaw, żółte, delikatne jaskry i przysadziste krzaki błękitno-liliowego ostu, i szafirowe dzwonki sasanek, a między niemi kryły się przy ziemi nıkłe gałęzie powoi biało-różowych, pachnących migdałami, a w miejscach cienistych i wilgotnych siedziały kępy niezapominajek niebiesciutkich i pachnących miodem.

Dziewczyna chodziła po ścieżkach wyżwirowanych, gładkich, w duszy mając pełno kolorów i zapachów, które rozsiewały dokoła drzewa, kwiaty, trawa i żyzna, wilgotna ziemia—i z oczyma utkwionemi w przestrzeń, zda się nie spostrzegającemi nic dokoła, z ramionami to mocno splecionemi, to swobodnie opuszczonemi wzdłuż sukni, wyglądała niby uosobienie zadumy, raz wesołej i uśmiechniętej, to rozmarzonej i smutnej, to znowuż poważnej i skupionej, dźwigającej brzemień myśli.

Duszę miała silną i pełną ciekawości. Zamyślała się nieraz mocno nad tem: co jest życie? Odpowiedzi dotąd szukała napróżno, ale była młoda, zaczynała rok dwudziesty i wierzyła w przyszłość. Matka ją odumarła, wydając na świat dziecko, i dziecko hodowało się u babki, podówczas pełnej sił jeszcze i zdrowej na oczy. Ojciec zaś, profesor uniwersytetu w Warszawie, boleśnie dotknięty spadłem na niego nieszczęściem—był bowiem bardzo do swej ślicznej żony, War-



szawianki, przywiązany—oddał się z zapamiętaniem zupełnem pracy i wkrótce zasłynął, jako zdolny i poważny historyk.

Małą Zośkę, gdy doszła do lat dwunastu, babka umieściła w jednej z pierwszorzędných pensyi w Warszawie, jak sobie tego p. Różycki zyczył. Sam przychodził zabierać dziewczynkę na święta do siebie, sam starał się ją zabawić, rozerwać i cierpliwie wysłuchiwał jej gawęd i odpowiadał na jej tysiączne pytania, rozstrzygał rozmaite kwestye, które powstawały w duszy tej młodziutkiej istotki i miał nad nią nieustanny moralny i umysłowy dozór. Na wakacye odwoził ją do Kowna, do babki, gdzie dziewczynka używała w całej pełni swobody, ruchu i słońca, i wypoczęta, odświeżona, z zapasem sił i zdrowia wracała w jesieni do miasta na pensyę.

Tak było przez lat kilka.

I oto w samą wiosnę życia dziewczyny, kiedy zaczęła rok osiemnasty, spadł na nią pierwszy cios...

Ojciec jej umarł.

Dusza młodej dziewczyny jakby omdlała po tym ciosie i cała praca ojca, który z niej zrobić chciał zdrowego i dzielnego człowieka, zdawało się poszła w niwecz. Dziewczyna osłabła i długi czas była w jakimś osłupieniu, z którego dopiero wyrwała ją—druga boleść: widok rozpaczy babki. Pierwsze wakacye, jakie spędziła w domu babki po śmierci ojca, uratowały ją: pocieszając staruszkę, którą tak kochała, zaczęła z siebie wydobywać resztki sił duchowych i dźwigać się ze swej boleści — na korzyść babki, którą trzeba było poduosić.

— Tak trzeba, bo tak uczył ojciec.

Niel praca ojca nad duszą córki nie poszła na marne, tylko pojęcia i poglądy dziewczyny na świat zabarwiły się inaczej.

Ojciec ją uczył, że tak, jak jest, tak być powinno i zapewne tak jest dobrze. I stąd płynęła jego równowaga i siła życiowa, którą wszczepić chciał córce.

Ale ona teraz myślała:

— Tak jak jest—tak być może powinno, ale jest źle.

Jest źle—i siły wszystkie wyteńczyć potrzeba, aby zrozumieć dlaczego źle i jak temu zaradzić.

Po powrocie na pensyę w jesieni rzuciła się z całym niepokojem swej zaciekawionej duszy do nauki. Ale nauka, którą karmiono ją w ostatniej klasie, nie dawała jej odpowiedzi na żadne z męczących ją pytań.

— Ojczel dlaczego ciebie teraz niemal..

Teraz właśnie, kiedy poradzić sobie sama nie umiała, teraz—kiedy wiedziała-by, o co pytać i jakiego szukać światła.

I żał ją brał boleśny nie tylko, że utraciła ukochanego człowieka, ale, że oto uczył ją poznawać życie ze strony dobrej, ze strony silnej, a nie nauczył jej oryentować się wtedy, kiedy życie stanie do niej odwrotną stroną—stroną, która się zaczyna od bólu i ukazuje po sobie coraz rozmaitsze niepewności i zagadki.

Ale miała przecież lat osiemnaście i nie na darmo przecież rośła w niej dusza silna, hartowna, normalna. Obok refleksyi, wydobywały się gwałtownie na wierzch wszystkie żywiołowe siły jej serca i umysłu. Życie, które okrutnie zważyło na nią jedno nieszczęście, podawało jej z drugiej strony same radości. Była uwielbianą przez koleżanki, cenioną przez profesorów, kochaną przez rodzinę. Dusza w niej rwała się naprzód i bezwiednie dążyła do równowagi i coraz częściej zapatrywała się znowu myślą w postać ojca, z całym spokojem uczącego ją, jak życie brać należy.

— Nie upadać na duchu, nigdy, pod żadnym pozorem!

Ojciec to mówił w innej formie, bardziej przystępnej—ale miała teraz przecie lat osiemnaście i potrafiła-by sama odpowiednio ująć myśl ojca.

Wyprostowywała się duchowo i rośła dalej taka prosta, normalna, szlachetna, bez przesadnej sentymentalności, a jednak pełna serca, dzielna i silna, z głową otwartą i umysłem zaprawionym do pracy. Czytała wszystko bez wyboru, ale umiała znaleźć miarę w swych sądach.

Poprzyjaźniła się w tym czasie na pensyi z koleżanką swą, Borowską, z którą się znała od dzieciństwa, albowiem Borowscy mieszkali w Kownie—ale dopiero wspólny pobyt na jednej pensyi zacieśnił węzły sympatyj, łączącej dwie dziewczyny i zamienił na prawdziwą przyjaźń.

Po śmierci Różyckiego wszystkie plany co do przyszłości Zosi uległy zmianie. Nie miała zostać w Warszawie, lecz wrócić do babki jako do jedynej swej opiekunki i jedynej bliskiej krewnej. Tembardziej chciała wrócić, że babka po śmierci jedynej i ubóstwianego syna, posunęła się bardzo, zestarzała, zaczęła zapadać na zdrowiu i chorować na oczy. Potrzebowała rzeczywiście, aby ktoś był przy niej, zaopiekował się nią i wreszcie zarządził domami.

Zosia pisała z wielką energią do babki:

„Zobaczy kochana babunia, jak nam będzie dobrze we dwie. Już ja babunię we wszystkim wyręcę. Babunia może myśli, że ja nie potrafię? Oho! zobaczmy. I gospodarstwa się w mig nauczę, i mieszkania będę wynajmować, i kontrakty spisywać, że to ha! Zobaczy babunia: naj-

lepsi lokatorowie z całego miasta u nas będą. A jak trzeba będzie co odnawiać i restaurować, to ja wystosuję swój najpiękniejszy uśmiech do starego p. Ratymowicza, naszego sąsiada i wszystko będzie dobrze: on dopomoże, bo uczynny i zna się na rzeczy.

„Slicznie będzie. W zimie babunia może trochę nudzić się będzie — więc ja książek mnóstwo przywiozę z Warszawy i będę czytać na głos, albo opowiadać warszawskie nowiny. Nie—to babunia będzie mnie opowiadać swe wspomnienia z młodości: jak to piękna była i jak to się wszyscy w niej kochali. Ja to okropnie lubię.

„Zaś latem będzie wprost cudnie: babunia będzie na słońcu siedzieć i wdychać zapachy kwiatów, których moc nasieję w ogródku...

Ta sąsiadka, która przysłała babuni list od wnuczki przeczytać, jako, że staruszka z powodu słabego wzroku wcale czytać sama nie mogła, przerwała czytanie listu, albowiem spostrzegła, że babuni łzy gradem po zmiętej twarzy cieką.

Długo potem w noc rozmyślała babunia, czy brać Zosię do siebie, albowiem bała się bardzo, że dziewczyna tu w Kownie zmaronieje...

— Ani tu roboty dla niej, ani tu człowieka odpowiedniego znaleźć dla niej.

Ale cóż? zarabiać dziewczyna na życie nie potrzebuje, bo, chwycić Boga, ojciec kapitalik niewielki, ale wystarczający na przyzwoite utrzymanie, zostawił córce.

— Po mnie też coś nie coś weźmie... co się ma tulać dziewczyna sama po świecie, to niech już lepiej tu jedzie i dziej się wola Twoja, Panie...

Odmówiła różaniec i uspokoiła się zupełnie.

Węc oto już parę lat upłynęło, jak Zosia zamieszkała w Kownie, razem ze swym dyplomem na „nauczycielkę domową“, ze swymi marzeniami i aspiracyami życiowymi i z całą swoją gorliwością i zapałem, z jakim miała babkę pielęgnować i zarządzać domami, niby doświadczona gospodyni.

I nie dawała się.

Bibliotekę po ojcu odziedziczyła piękną i obfitą: godzinami siedywała na ulubionym fotelu pod oknem, zastawionem kwiatami, z książką w rękę i czytała, uczyła się bez utrudzenia. Inteligencya

jej, w dobrej szkole ojca i w kółku jego przyjaciół - uczonych umocniona, niesłychanie zdolna była dalej rozwijać się, iść samodzielnie w świat zjawisk i pojęć, który otworzyły książki. Ulubioną zaś jej lekturą, którą już tylko za rozrywkę i odpoczynek po pracy uważała, była poezya,—studjowała pilnie i wytrwale języki, aby w oryginale czytywać Goethego, Byrona, Leconte de Lisle'a i Leopardiego. Wtedy oczy jej zapalały się, serce poruszało się żywiej, dawało się unosić fantazyi i w wyobraźni swej widziała światy, ku którym namiętnie gotowa była wyciągnąć ramiona. Przeobrażała się i czuła, że na dnie jej duszy są siły, których imienia nie zna. Więc zamyślała się mocno, serce jakgdyby trwożyło się czegoś, odkładała książkę, aby się uspokoić i ze splecionemi na kolanach rękoma siedziała długo, cicha i zamyślona.

A do babuni zjawiali się przez cały ranek interesanci.

Najczęściej pan Peckiel, mularz, po którego wizycie, Zosia czempredzej otwierała okna i lufciki, aby robić przeciąg. Więc wreszcie babunia nie kazała go puszczać do pokoju, tylko musiał parlamentować z kuchni przez drzwi.

— Piec dymi! to ja tobie na to pieniądze płaciłam, żebyś fuszerekę robił—gniewa się babunia.

— Nu, wiecie pani — mówi flegmatycznie mularz—od czego ten piec dymi?

— Źle zrobiłeś, to i dymi.

— Nul jako źle zrobiłeś! Ja dobrze robił, ale ten luft, wiecie pani, on zatkany.

— Nie dam ja tobie więcej porządnej roboty i dość!

— Nu, czy to ja takie roboty robił... A ten luft, wiecie pani...

— Dobrze, dobrze! a ty idź i zalepiał dachówki na dachu, bo przecieka.

— Nu, ja mogę zalepić. A co ja za to zarobię?

— Złotówkę dostaniesz.

— Ojajaj! jaki wielki pieniądz...

Ale na wszelki targ babunia była wprost nieczuła w tem przekonaniu, że dobrze płaciła, i że każdy z niej tylko zedrzeć chce, ale ona się nie da.

Przychodził też taki majster Klecki, stolarz. Ten wiecznie narzeka, że roboty nie ma, a jak mu się da robotę, to ją trzyma pół roku: nie ma czasu zrobić.

— Bój się Boga Klecki, cóż ty sobie myślisz? kiedyż ta szafa będzie gotowa?

— Będzie. Ja powiedział będzie—to będzie.

— Trzeci miesiąc już to mówisz.

— Drzewo schnie.

— To u ciebie pół roku drzewo schnie?

— At! było suche, to pułkownik kamskiego pułku kazał robić stoły do jego kancelaryi. Ja i zrobił. Teraz drugie schnie.

— I zrobisz komodę dla generała uralskiego pułku, a ja będę czekać.

— Tamten pułkownik też czekał.

— Dla czegoż nabierasz roboty, kiedy nie masz czasu zrobić?

— Trzeba chleb jeść, a roboty mało.

Ale był jeden stary malarz pokojowy, krórego babunia specjalnie lubiła, bo choć pociągał z buteleczki dobrze i z tego powodu nosił na twarzy mocno czerwonego koloru wielki nos, ale majster był tęgą, a w dodatku zawsze miał zapas ciekawych nowin i wiadomości z całego miasta. A babunia nowiny lubiła.

— Jak, znaczy się, mnie nie wiedzieć. Po różnych ja, znaczy się, domach robię, różnych ja rzeczy napatrzę się i nasłucham. Wszystko wiem... O jejl! żeby tak, znaczy się, tyle pieniędzy.

— Które-byś przepił.

— Co pani takie rzeczy! Uchowaj Boże.

Ten ciągle prosił o zadatek na mające kiedyś w przyszłości się uskuteczyć roboty. Ale babunia nadzwyczaj rzadko dała się naciągnąć i jeżeli przypadkiem dała, to wyrzekała potem długi czas:

— Utrapienie mnie z temi domami i z temi majstrami. „Przyjdzie taki, gadał gadał i jeszcze chce pieniędzy!

Ale za nic w świecie babunia-by się nie przyznała, że te gawędy okrutnie ją bawiły i zajmowały.

Obraziła by się.

I tak oto żyły sobie we dwie: babunia z wnuczką.

## PANNA BOROWSKA DO ZOSI.

„Zofijko kochana, oto jestem na wsi i rozkoszuję się jej urokami. Nie masz pojęcia co to za cudo: wieś! Ty, która nigdy na wsi nie byłaś, nie możesz zrozumieć mego zachwyty i nie ocenisz mojej rozkoszy. Jak tylko będziesz miała sposobność, jedź na wieś, droga, jedź na wieś! Jakże współczuję ci, że siedzisz teraz w dusznym Kownie,

podczas kiedy ja odzywam wśród zieloności przepysznej łąk, wśród bujnych, jasnych łąków zboża wszelakiego, wśród pachnącego do zwrotu głowy lasu sosnowego, który, nawiasem mówiąc, jest nieznośny, albowiem pełno w nim bąków i much złośliwych, które tak bez miłosierdzia nie dają człowiekowi przechadzać się spokojnie. Mam z tego powodu do nich ogromną urazę.

Zofijko, wiesz w jakim stanie ducha opuszczałam Kowno, jak się już tam dusiłam w tej atmosferze stojącej wody, jak ty to określiłaś kiedyś. Napadał mnie już kiepski spleen, choć wiosna zrobiła się na świecie. No, a tu oddycham na nowo. Spleen przeszedł i zachwycać się wsią. Jak cudnie! Co za rozkosz żyć, co za rozkosz grać, co za rozkosz śpiewać i hulać, jak ptak po zielonych łąkach, po złoto-srebrnych polach, po wonnym lesie (ach! gdyby nie te bąki...). Żył! żył! żył!

Kiedyśmy przyjechali, był cichy, ciepły wieczór, fujarki pastusze grały w oddali, powietrze ożywczą falą lało się do piersi. Siedzieliśmy na ganku, z widokiem odkrytym na stary sad—zielony i pachnący jaśminem i truskawkami. Czulałam, jak dusza moja rośnie. Wszyscy siedzieli przy stole, pili herbatę, zajadali, gwarzyli, wypytywali o nowinki miejskie. A mnie w piersi podnosiło się serce od tych zapachów miodowych, od tej świeżości rajskiej i ciszy wiejskiej, którą czuć było, pomimo gwaru ludzkich głosów na ganku. W oddali gdzieś skrzypnęły czasem wrota, koń zarżał, albo pies zaszecekał, a jednak zdawało mi się, że to nie mąci ciszy, że to się z nią zlewa w jednolitą harmonię, że nic cichego koncertu, jaki wydaje natura na wsi, nie przerywa. Chciało mi się być samej, chciało mi się położyć palce na fortepianie, a duszy pozwolić mówić. Zdawało mi się, że się wypowie we wdzięcznych frazesach, że się skarżyć będzie w bolesnym nokturnie, że w kołysance utopi swój żal, że w tęsknym trylu wątplenie jej spłynie, a potem w mocny akord uderzy... Hej! poezyo...

Więcem się wymknęła do salonu i z bijącym sercem otworzyłam fortepian.

Ach! Zofijko, dusza moja wysoko nastrojoną była, ożywiał mię zapach boski, zdawało mi się, że coś się będzie stawało, że będę tworzyła...

A oni wszyscy poślazili się do salonu i komplementy zaczęli mi prawić w tej chwili.

Że też, gdzie człowiek wlezie, wszystko zepsuć musi.

Więc potem skarżyłam się księżycowi w ogrodzie.

Od rana łażę po wsi, zaglądam wszędzie, a jak się zmęczone, siadam nad brzegiem rzeczki, nad którą stoi wspaniały młyn, przyglądam się kołu, przez które wali pienista woda—i rozmyślam.

Wtedy trochę mnie znowu tęsnota napada.

Ludzie tutejsi mnie nie bawią. Jest to kawałek głuchej Żmudzi —a Żmudzin to taka ciężka sztuka.

Achl prawda... Jest tu nadzwyczajna partya dla mnie. Ciągle słyszę o jakimś panu Z., który niedawno po stracie ojca odziedziczył majątek i w nim się osiedlił. Majątek pyszny, 100 włók, a do tego kapitału tyle, co te włóki warte—to podobno dużo. Wszystko to do niego należy, bo jest jedynakiem, a siostry mężatki i wyposażone za życia ojca. Otóż ten młody p. Z., lat 35, kształcił się za granicą i podobno jest bardzo fajny. Niby nikt o niczem nie myśli, ale ja jestem pewna, że i p. Z. z drugiej strony ciągle słyszy, że ot przyjechała do krewnych w odwiedziny panna z rodzicami, którzy jej na stół w dzień ślubu dają 50 tysięcy posagu, ma lat 20, słicznie gra, nawet się chce kształcić na artystkę, ale rodzice są tak rozsądni, że jej na taki dziki wybryk nie pozwolą, więc niema obawy; ładna, zdrowa, dobrze wychowana, skończyła pensję w Warszawie i zna języki. Nie ręczę, czy on tego wszystkiego z dziesięć razy uie słyszał.

Bardzo się dużo przytem mówi o majówce, t. j. czerwcówce. Gospodynią ma być siostra p. Z., która z mężem przyjechała w odwiedziny do brata. Już ja tak czuję, że ta pani, a moja mama, to będą dwie wielkie przyjaciółki do czasu, kiedy się okaże, że z ich starań i dyplomacyi (przebacz mi moją trywialność...)—figa!

Oto i cały rezultat swatów. Niema na świecie nic wstrętniejszego nad swaty. Ten młody człowiek może i bardzo jest fajny, ale już jestem do niego uprzedzona i rady na to niema.

To jedno.

A drugie: ty wiesz, że nie chcę iść za męża, nie chcę! nie chcę! a chcę iść do konserwatorium uczyć się muzyki—i nie mogę darować mamie, że mama, moja mama, nie może tego zrozumieć.

Oj! papier się kończy. Pisz mi prędko o sobie, Zocha. Cóż ten Dembicki? Jak ty myślisz, czy między wami nie się nie skleją, co? Tatko powiada, że to człowiek, który robi karierę, ale nie mogłam wyrozumieć, czy tatko mu to chwali, czy też gani. Ale pewnie chwali, bo co do mnie, to on mi się podoba, że asystuje tobie, to w oczy było. Więc jakże? Pisz, Zocha.

Twoja

Ja.

## ZOSIA DO JADWIGI.

Cieszę się bardzo, że ci się tak podoba na wsi. Uważam, iż rzeczywiście pobyt na wsi ci służy, więc życzę ci, abyś jaknajdłużej korzystowała z owych roskoszy wiejskich, które dają zdrowie. Już naturalnie odrazu jesteś podniecona, zaraz wszystko nastrajasz wysoko, ale, jeżeli przytem czujesz się silną—to i owszem. Ja sobie już wyobrażam jak to dalej będzie: Jaga po nalykaniu się po gardło wiejskich przyjemności, na g l e zadecyduje, że to wszystko licha warte i siędzie do fortepianu topić swój spleen. Tu wzniesie się w górne sfery, poszybuje po wzniosłych przestrzeniach marzenia i ideału, aż uczuje na g l e, że zmęczona jest i że to jeszcze nie jest t o. Wtedy otrzymam rozpaczliwy list, a potem zaraz list ironizujący i znowu na chwilę będzie spokój. A potem: da capo al fine.

Czy nie tak, słodka entuzyastko?

Nie gniewasz się, Jaguchna? mam przecież przywilej mówienia ci prawdy w oczy. Już tak dobrze, jak ja, nikt ci pewnie na świecie nie życzy. Z wyjątkiem rodziców twoich—którzy jednak duszę panny wogóle, nie wyłączając własnej córki, rozumieją jako coś, co przeznaczone jest razem z duszą i ciałem ku pożytkowi i radości—męża.

Wydać córkę za męża—oto główna troska rodziców.

Z syna robi się człowieka, z córki—żonę.

Cóż dziwnego, że nam tak trudno z siebie ten straszny ciężar wiekowej niedoli, wiekowego przytępienia umysłowego, a co za tem idzie, czy i nie moralnego? Rodzice córce od 15-go roku jej życia, ba! od 12-go bodaj, nic innego nie roztaczają przed oczyma, jak obrazy jej przyszłości osobistej w formie małżeństwa, domu, rodziny, stanowiska w świecie i t. p. Dziewczyna, gdy dochodzi do świadomości, sama krwawym trudem zdobywać sobie musi przekonanie o swej godności osobistej, o swem powołaniu na człowieka, o swej racji bytu, jako istoty ludzkiej. Kobieta kobietą być nie przestanie—więc dla czego bać się, aby jej dusza nie urosła? dla czego maltretować jej duszne porywy? dla czego ma być tylko ciałem, ciałem rodzącem? dlaczego uczyć ją, wyrabiać w niej to przekonanie, że egzystuje tylko i jedynie przez i dla mężczyzny? Gdyby nawet tak było—gdyby! oeh, to jeszcze trzeba-by było kryć przed nią to strasznie upakarzające przeznaczenie, a nie ciskać jej tem w twarz niby obelgą. Ludzkość nakazuje aby skazańcowi nie wypominać ciągle jego okrutnej



doli. Czuje on i tak, jak z głuchym chrzęstem wlecze mu się łańcuch u nogi. Dajcie mu zapomnieć trochę! A jeżeli na domiar okrucieństwa losu skazaniec ten niewinny, jeżeli tylko przez ślepy nakaz popadł w katorgę—jak nazwać duszę ludzką, która-by się odważyła żyć go i naigrawać się z jego niedoli? A przecież dzieje się to codzień i na każdym kroku.

Wybacz mi te rozrzęsania, Jadwigo. Zapędzam się, ale to prawie jedyny bolesny punkt mojej duszy. Dotknięty zdaleka, już krwawi.

Słowem swatają cię—ale ja się tego dla ciebie wcale nie boję. Bez miłości się nie sprzedasz, no, a miłość—dlaczego nie, jeżeliby ci to dało szczęście? Pomyśl: człowiek nie samem poświęceniem żyje, nie samym obowiązkiem, nie samemi ideami. A nawet nie wiem, czy rzeczywiście człowiek p o w i n i e n robić z siebie ofiarę. Nie jestem pewną, czy człowiek nie powinien starać się właśnie o szczęście dla siebie. A wtedy w ką wszystkie obowiązki. A przecież bywa, że jedno drugiemu nie przeszkadza i wtedy jest cudnie. Mnie się zdaje że ja tak potrafię się w życiu urządzić, aby i wilk był syt i koza cała,

Pisz mi, czy zakochujesz się w p. Z. i co to za człowiek?

Ja o sobie nic nie mam do doniesienia. Z p. Dembieckim—znamy się nie całe dwa miesiące, a już stosunki nasze się psują. Jest zarozumialec, impertynent i nudziarz. Zdaje mi się, że go rozgryzłam i mam go dosyć. A tu jak raz babunia stale jest nim zachwycona i żyje marzeniem, że z nas będzie para. Takie ciche swaty! Co za nuda.

Pisz, Jaguś.

Twoja  
Zo.

## JADWIGA DO ZOSI.

Masz rację, Zocha.

I jeszcze raz masz rację.

Długo rozmyślałam nad myślami, które nasunął mi list twój.

Najzupełniejszą masz rację, Zośka.

Ale jeżeli myślisz, że jestem usposobioną do filozoficzno-etyczno-psychologicznych rozstrząsań, to bardzo się mylisz.

Żebyś wiedziała, jaką ja cudną „Berceuse“ poznałam... Myślę o niej cały dzień, w nocy śnię o niej.

Jest jedna nuta przy rozwiązaniu frazesu, że na dźwięk ten za każdym razem serce się we mnie rozdziera z żalu. Początek kołysanki jest smutny, bezgranicznie smutny, a potem te kilka taktów boskich, ale jakże bolesnych!.. nawet w tej chwili, kiedy tylko piszę o tem, już mi się chce płakać.

I nie wiem dla czego ja tę kołysankę wiązę w myśli mojej z miłością. Nie mogę się przemódz. W głowie mi śpiewa ta beznadziejna, żalosna melodia i zdaje mi się, że to w duszy człowieka tak właśnie gra miłość. Nie wiem dla czego, ale wyobrażam sobie miłość tak właśnie nieskończenie smutną, jak ta Berceuse. Bo to jest Berceuse de Jocelyn—Godarda.

Jedno tylko mam jej do zarzucenia: jej tytuł. To nie jest wcale kołysanka, albo to jest kołysanka, którą śmierć utula wymęczoną życiem, a zrezygnowaną duszę ludzką.

Wiesz, co mi po głowie chodzi?

Oto dorobić do niej część trzecią:

Przebudzenie.

Tam motywem jest żalony ból duszy znękaney. Płynie on cicho i spokojnie.

U mnie byłby to radosny, zwycięski ton szczęścia, zachwyt boski, który-by się rwał z więzów, wypychał z taktu, który-by mógł równie silnie targnąć duszą, ale akordem radości nie żalu.

Powiadasz, że dusza moja nagle wzbija się na wyżyny i równie nagle opada. A jakże ma być inaczej, kiedy noszę w sobie świat boski, a chodzę i patrzę na świat, który, że jest stworzony na obraz i podobieństwo boskie nigdy nie uwierzę. Dlaczego nie umiem utrzymać się w świecie swych rojeń? Niech-by wszystko znikło mi z przed oczu, niech-bym zapatrzona tylko w siebie żyła i oddychała marzeniem.

Nie mogę—sił mi brak.

Opadam niby Ikar z opalonymi skrzydłami i myślę sobie: czyj gniew mię prześladuje? kogo mam przebłagać?

I ty na to nie potrafisz mi dać odpowiedzi. A ja nie potrafię zdobyć sobie tego spokoju, który ci dan od natury.

Ale widzisz, Zochna, jeszcze nie wiadomo, czyja dola lepsza. Ja rwać się będę bez końca i nic mi się złego nie stanie. Ciebie jeżeli raz co wyrwie z twej błogiej równowagi—jesteś zginiona.

A z tego praktyczny wynik taki:

Strzeż się miłości!

Bo widzisz: ja — śmiertelnie jej się boję, ale rozumiem ją — i w tem moja siła.

Ty ją lekceważysz, nazywasz przyjemnym przypadkiem w życiu i cenisz więcej swój rozum—i w tem twoja słabość. Niczem się przed jej potęgą nie bronisz i nie chcesz wierzyć, że to potęga, ślepa mocarka, która potrafi z człowieka robić co jej się żywnie podoba.

Słyszę jak mówisz:

— Tej tylko miłość w głowie.

I jest trochę pogardy w twym spokojnym głosie.

A ja cię uwielbiam.

Wiesz, mnie ta berceuse Godarda napędza jakąś tęsknotę do duszy. Czegoś mi żal, czegoś mismutno. Czy tobie niczego nie brak w życiu, tak bezpośrednio, wiesz, tak blisko, zupełnie tuż przy duszy? Mnie czegoś brak, co zupełnie nic wspólnego nie ma z pojęciami, ideami, marzeniami, obowiązkami itp. Nie umiem tego określić.

I właśnie myślę, że miłość choć na chwilę niesie z sobą to kompletne zapamiętanie się, czy coś takiego.

Czy ty nigdy nie zastanawiasz się, jak to będzie wyglądało, kiedy w myśli i w sercu twojem zapanuje nad wszystko ci droższy człowiek?

Nad wszystko w świecie droższy.

Ja bo od tej myśli dostaję zawrotu głowy.

Ja dziś nie skończę tego listu, słowo daję! bo jeszcze mam tyle do powiedzenia!

Ale bo prócz ciebie nie mam nikogo na szerokim świecie, ktoby mię do głębi duszy rozumiał. Mama mię kocha, ale masz rację: oni mię muszą przedewszystkiem wydać za mąż, choćby ich samych miała potem zjeść tęsnota.

Aha! pan Z. Otóż poznałam go na majówce.

Dziwnie, jak ja nie umiem poznawać ludzi. Każdy na razie jest dla mnie dobry, sympatyczny, inteligentny, interesujący, no, z wyjątkiem tych, ma się rozumieć, do których czuję odrazu wyraźną antypatyę. Otóż p. Z, jest sympatyczny, miły, inteligentny, interesujący—jak tysiąc innych młodych ludzi sympatycznych, miłych, inteligentnych i interesujących.

Mama jest rozpromieniona, bo wczoraj siostra jego z mężem złożyła nam wizytę, dziś on sam.

Nic o nim nie mam ci więcej do doniesienia.

Daleko mniej niż ty o panu Dembickim.

Więc jest zarozumialec, impertynent i nudziarz?

No, no! To już tak daleko między wami?

Twoja

.Ja.

## ZOSIA DO JADWIGI.

Daj pokój, nie rób dowcipów, Jaga, naprzód, że ci się to nie udaje, a po drugie, że mię to drażni, że trafiasz, jak kulą w płot. Daleko zaszło—niby co? Przez takiego mądrego psychologa na odległość. Żebyś tu była i widziała, jak to wszystko jest, to nie robiła-byś takich dowcipów, do których zupełnie materiału niema.

Ale nie gniewaj się na mnie, moja jedyna, że tak ci to bez ceremonii piszę, bo widzisz, nie masz pojęcia jak tu duszno w mieście, jak źle, jaki kurz, jaka spiekota. Już zaraz lipiec, upały nie do zniesienia, nawet w ogrodzie niema powietrza. Czuję się zdenerwona, czytam Goethego—ale nawet ukochany mój Faust mię nie bawi. Babunia też kaprysi, widocznie nie zupełnie zdrowa. Jestem rozdrażniona i dała-bym wiele, aby móżdż na parę dni wyjechać z Kowna, odetchnąć świeżem, wiejskiem, ożywczem powietrzem, odpocząć w ciszy i samotności zupełnej.

Moje dziecko, ty przesadzasz, rysując w wyobraźni swojej moją sylwetkę w tak równych i wyraźnych kształtach. Chciała-bym, abym była rzeczywiście tą chodzącą równowagą duchową, za jaką mnie masz. Ale naprzód jestem na to za młoda: mam lat dwadzieścia, a po drugie: wszystko to tylko porywy ta moja silna dusza! Dziwnie ona osłabła jakoś, może to od gorąca. Dziwnie skwarne lato tego roku.

Żeby prędzej jesień przyszła. Myślę, że dość mam wakacyi i że próżniactwo źle na mnie wpływa. Człowiek pracować powinien, choćby dla tego, że to daje zdrowie. Jakem całą zimę i wiosnę latała po lekcjach—to choć to jest średnia przyjemność uczyć głupie dzieciaki mądrych rzeczy, a jednak zdawało mi się, że robię dobrze, bo to biedota moralna i umysłowa, a ja przecież bezinteresownie się tem zajmowałam — no i miałam satysfakcyę, i było dobrze. A teraz głupio mi jest.

Ach Boże, co będzie z naszymi marzeniami, co, Jaga? Twoje konserwatoryum a mój uniwersytet... Zamki na lodzie; tobie rodzice nie pozwolą, ja nie mogę opuścić babuni. A co to za rozkosz-by była! Jak ja-bym się rzuciła do medycyny, jaka ja-bym była szczęśliwa i potrzebna na świecie wtedy. Walczyć z bólem fizycznym, to już nie ułuda, tu tętni życie, pulsaje krew.

Czynu mi brak, czynu.

A babunia mi wciąż głowę kotłuje małżeństwem! wyobraża sobie, tak jak i ty zresztą, moja głupiuchna, że Dembicki musi się we mnie kochać, bo chodził ze mną po ogrodzie, kwiaty mi nosił i poezye czytał. Już tak koniecznie zaraz się i zakochał. A ja też z punktu powinnam była czekać z miłością. Słowo daję, komedia. Ale ja już kończę tę bazgralinę do ciebie, bo z jakiej racji mam swoją złość na ciebie właśnie wylewać. Prawda?

Twoja  
Zo.

### ZOSIA DO JADWIGI.

W te pędy drugi list wysyłam. Nie, ja zwaryuję z radości. Nie wyobrażasz sobie co się stało. Nie będę mogła nawet porządnie ci tego napisać. Jaga! Jaguś najmilszal jadę na uniwersytet, zaraz tej jesieni. Ach! Boże, jedna chwila, a najniemożliwsza z rzeczy się stała. I takie to było naturalne, takie łatwe. A ja to miałam za niedościgłe marzenie. Ni stąd ni z owąd, jak mi babunia zaczęła znowu o Dembickim i małżeństwie, tak ja nagle wybuchnęłam: nie małżeństwo jest dla mnie upragnionym celem, powiadam, ale medycyna.— „Co?“ — „tak!“ I od słowa do słowa zwierzyłam się babuni ze wszystkich swoich rojeń,—ty wiesz jakich—i zdumiona byłam, że babunia słucha i słucha, ja gadam i gadam, aż mi oczy jak u wilka błyszczą, a policzki pałają. Co —powiadam — to życie w Kownie? co małżeństwo? wszystko głupstwo, ot, jazda na uniwersytet i medycyna. Długo mówiłam i choć mię coś parło do tej gawędy, ale jednocześnie serce we mnie drży i myślę: a może ona boleje w tej chwili nade mną i swoją bezsilną starością. Potem ona, że przeciwie się memu powołaniu nie będzie; a ja, że za nic na świecie nie zostawię jej samej. Dopiero ona, że pojedzie ze mną do Genewy, czemu nie? A ja przypadłam jej do kolan i długo tak trwałyśmy, a lzy nam gradem ciekły po policzkach. A potem, że ja nie chcę tego jej poświęcenia; a ona mi powiada, że to już nie moja rzecz. I długo siedziałyśmy tak w milczeniu, ale czułam, że ona do mnie żalu nie ma, bo wciąż jej ręka spoczywała na moich włosach. A potem, dużo potem, już mówiłyśmy spokojnie, jakby tu wszystko w porządku zostawić, rządząc znaleźć, i jak to będzie tam, w Genewie, i jak my będziemy żyły, żeby i jej było dobrze. Ale Szwajcarya to taki cudny kraj—komu-by tam

dobrze nie było. Nawet to powietrze dobrze babuni zrobi, no, i przynajmniej będzie mogła się zaradzić na oczy u tego słynnego Dufaura.

Ach! Boże, Jaga? czy to podobna? czy to podobna, czy ja jej krzywdy nie robię, co? uspokój mię. Czy to dla niej wielkie poświęcenie?

Więcej nie mogę pisać, bo jestem jak w gorączce, i wszystko, wszystko wobec tego maleje i znika z horyzontu mojej świadomości. Nawet Dembicki. Jak on się zdziwił! A co? nie umrę z miłości, szanowny panie, nie! mam co lepszego do roboty.

Szczęśliwa  
Zo.

### JADWIGA DO ZOSI.

No i cóż. Milczenie? Taka piorunująca bomba i potem głuche milczenie. Moje listy zostawiasz bez odpowiedzi przez miesiąc. Toż już miesiąc dobiega od tej wiadomości o uniwersytecie. Zmiluj się, w swoim szczęściu nie zapominaj o cudzej niedoli. Pomyśl: tobie słodko jest teraz marzyć o nowych widnokręgach, które się przed tobą odsłaniają; a jak mnie, której jedyne, gorące i serdeczne marzenie, skazane jest w zarodku na zagładę! Ty jedziesz na uniwersytet — ja nigdy nie wstąpię do konserwatorium. Więc porównaj te dwa frazesy i decyduj: czy nie należy mi się jaka taka kompensata choćby w formie twoich listów, które ducha mego podnoszą i podtrzymują.

A stąd, rzecz prosta, wniosek:

Jesteś Niegodziwa—przez duże J i przez duże N.

Więc cóż? więc cóż? więc jakże?

Umieram z ciekawości i z chęci pogawędki z tobą. Poleciałabym na skrzydłach do Kowna i na własne oczy patrzyła, jak teraz wyglądasz, ty, której marzenia się ziściły. Musisz chodzić w aureoli z promieni bijących ci z oczu. Hej! hej! Zośka, to ci dopiero heca!

A ja...

Chodzę w żalobie. Naprzód: to jest idyotyzm porywać się, mówić po prostu, z motyką na słońce. Uważasz: zachciało mi się poprawić Godarda, uczyć go, jak się pisze sonaty. I wzięwszy za motyw

jego berceuse, zaczęłam rozkołysywać swą duszę bajeczną melodyą, która gra mi w mózgu, w sercu, we krwi, ale po palcach na klawisze spłynąć ani rusz nie chce. I ja myślę, że jest słowo zaklęcia, tylko ja go wypowiedzieć nie umiem; jest sposób w jaki się ujmuje to, co śpiewa w duszy i jak wynosi się to żywcem na zewnątrz—tylko ja nie wiem, jaki to sposób. Uczyć się chcę, pracować bez wytchnienia, bez przerwy. Dajcie mi możność, dajcie mi umiejętność, a życie gotowam temu złożyć w dani, kto mię na mistrza wyświęci. A tu mówią ci: siedź spokojnie, nie!waryuj, nie wykręcaj palców ze stawów, bo to do niczego nie prowadzi. Nie będziesz się niczego uczyła, bo jesteś młoda, ładna i masz 50 tysięcy posagu, więc pójdiesz za męż. Więcej ci niczego nie potrzeba. Reszta to niezdrowe mrzonki. My wiemy lepiej, w czym twoje szczęście.

I ktoby to powiedział: babunia, staruszka, niedołączna, przez pół ślepa—ta ci się nie opiera. Może ona teraz tego i żałuje, ale była jednak chwila, kiedy cię odczuła i przywiązanie swoje zastosowała do ciebie.

No, ale cóż? ja ci nie zazdroszczę, Zocha, ja tylko przy tej okazji obnażam swój żal, że za tobą iść nie mogę. A życzę ci z duszy, z serca, abyś na tej nowej drodze swego życia zaznała samych rozkoszy.

Jest w twoim liście na zakończenie frazes o Dembickim, który... który...

Ale dajmy temu tymczasem pokój.

Zaś mój pan Z. jest dobry i rozumny, i szlachetny, i delikatny, bo wcale mi nie wyrzuca, iż z nim flirtuję, zamiast go kochać.

Ach prawda. Przyjechała tu, w te strony, na wakacje, studentka z Paryża, z wydziału medycznego. Zdaje się, że już kończy. Zbliżyłam się trochę z nią, jest kapitalna w swych sądach: w przyszłym liście trochę ci o niej napiszę. Teraz nie mam czasu.

Odezwij się, Zochna. Nie zasklepiaj się w swoim szczęściu.

Wiesz ciągle jest cudna i pachnąca jak raj — tylko ludzie na niej tacy poziomi, tacy przy ziemi. Dusze ich czyste jak złoto, ale oni patrzą w swą czarną rolę, zamiast w niebo. To nie dla mnie.

Twoja

Ja.

## ZOSIA DO JADWIGI.

List twój leży przede mną i jeszcze nie ucichł mój podziw, że pisałaś go jakby wyrazami nie twemi, ale twego przeczucia.

Tak! Chodzę w aureoli z promieni szczęścia bijących mi z oczu i jestem tą, nie której marzenia się ziściły, ale którą rzeczywistość obdarowała daleko wspanialej, daleko piękniej, niż kiedykolwiek śniłam o tem. Hej, hej, Jaga! to ci dopiero heca...

Nie masz pojęcia, jakie widnokręgi odsłoniły mi się przed oczyma i jak mi jest słodko. Nie, ty tego rozumieć nie jesteś w stanie. To trzeba przeżyć.

I dzień po dniu rosło moje szczęście, wzbierało siłą i potęgą, rozpalalo się w płomień mocny i trwały, aż stopiły się w nim wszystkie moje wątpliwości, wszystkie obawy, skruszyła się moja dusza, aż oto zostało jedno upojenie.

Ty wiesz, nie umiem nic czuć połowicznie i jak się czemuś oddaję, to już całkowicie, i oto teraz czuję najwyraźniej, że nowe rozpoczęłam życie, które, wiesz, poprowadzi mnie wyżej, dalej, niżby mnie moja dawna, stara, cicha dusza zaprowadzić mogła.

Jestem znowu silna i spokojna — i tylko codzień się modlę, aby ta chwila obecna, chwila mego zachwycenia, trwać mogła jednakowa zawsze.

Więc nie wymawiaj mi, droga, że do ciebie nie piszę. To pierwsze chwile mego bezmiernego szczęścia i to jest dla mnie takie nowe, takie zupełnie inne, niż sobie wyobrażałam — daj mi ochłonąć. Ale pisz do mnie.

Twoja  
Zo.

## JADWIGA DO ZOSI.

Czytałam twój list a w uszach mi dźwięczał wiersz Konopnickiej, nie pamiętam jak zatytułowany, ale pamiętam, jak się tam kwiaty nad ruczajem dziwią, jak niezapominajki ze zdumieniem otwiera-



ją niebiesciutkie oczy, jak liście na drzewach szemrzają: „co się stało? co się stało?“

Bo, zabij mnie, ale to nie myśl o uniwersytecie te dreszcze ekstazy wywołuje w twej duszy. Nie! Przychodzi mi myśl szalona do głowy, ale nie odważę się jej wypowiedzieć — bo jeżeli piszesz do mnie cyfrowanym alfabetem, do którego klucza nie dołączasz, to pewnie tak ci dogodnie i nie chcesz, abym wsuwała swój nos w nieswoje sprawy. Więc tylko przyglądam się kwiatom, które nad ruczajem kiwają się z podziwu i przysłuchują się szumowi liści, które szepeczą cichutko: „co się stało“...

Siadłam do fortepianu i grać zaczęłam to kwiatów i swoje zdumienie i oto w duszy mi śpiewa preludjum nieuchwytnie, a jednak wyraźne, do którego palce moje właściwie tylko akompaniament dobierają.

Ale... ale... ta studentka z Paryża. Otóż ona—bośmy się jak rozgadały, tośmy naturalnie wpadły z całym impetem na kwestyę miłości—otóż ona mówi... Ale nie! naprzód, jako, że po raz pierwszy w życiu oczy me oglądały prawdziwą studentkę: nie jest to wcale rozczochrane, rozbechtane, brudne exemplum, jak to dawniejsza ongi studentka bywała. Owszem, bardzo szykowna niewiasta, o miękkiej, wypukłej figurze, pachnąca heliotropem, binokli na nosie ani śladu, a zamiast krótkich kudłów, falująca koafiura à la Cleo de Mérode. Powiadam ci: Paryżanka; i zawraca tu głowy wszystkim obywatelom,—z wyjątkiem mojego, który jest dziwnie stały, co się mu ani gani, ani chwali.

Otóż ona... Boże, żeby to owe obywatelstwo słyszało.

Ona mówi, że miłość to ani szczęście, ani nieszczęście—to jest funkcyja. Cała sztuka w tem, żeby miłość sprowadzić na właściwy teren i dać jej właściwą rolę. Cierpienie, jakie czasem powoduje, jest tego rodzaju, co np. wrzód, który się robi na karku i wściekle boli. A szczęście miłosne to jest zadowolenie zdrowego i nasyconego organizmu. Chcesz jeść?—naści chleba i bądź sytą... Uważasz? A mężczyzna to jest taki... truteń w ulu, i nic więcej. Świat zaś stworzony został dla kobiety i wszystko na nim podporządkowuje się jej przeznaczeniu, więc nie kobieta dla mężczyzny, ale mężczyzna dla kobiety. Kobieta płodna w naturze jest celem—mężczyzna środkiem do tego celu służącym; a dla czego taki cel i czy on jest dobry i piękny, czy też zły i wstrętny—to już całkiem inny interes i na to niema odpowiedzi. [Ciekawe są i pouczające obserwacye Darwina w tej materji, jakkolwiek on do tego poglądu na świat, co moja Paryżanka, nie doszedł. Więc spójrzmy na owe walki jeleni i na ów olimpijski spokój, oczekującej na rezultat boju łani, która wie, że to przez nią i dla

niej. Spojrzmy na te wszystkie barwy i upiększenia, w które się stroi paw', aby się przypodobać pawicy, ubranej w szarą skromną sukienkę na znak oczywistej władzy, która nie potrzebuje zewnętrznych oznak. Przyjrzyjmy się życiu motyli, stosunkowi miłosnemu pająków, albo, co naważniejsze: pszczołom. Truteń ginie, gdy wypełnił swoje zadanie: odegrał swoją rolę na scenie życia i precz go z tej sceny. A przecież pszczoły inteligencyą urządzeń najbardziej się zbliżają do inteligencyi ludzkiej. I tysiące tysięcy charakterystycznych i znaczących przykładów. Trzeba tylko umieć patrzeć i wnioskować, aby dojść do tej wielkiej prawdy, wypisanej wielkimi głoskami w naturze, którą chytry i podstępny umysł męski potrafił obwinąć w milion osłon, tak, że wskutek tego pojęcia się wypaczyły, rola władców świata przeszła w niepoświęcone ręce, a królowe z bożej łaski, stracone z piedestału, skazane zostały na rolę służebnic.

Voilà.

Jak ci się podoba ten światopogląd?

Ja bo miała-bym ochotę zarazić się nim. Przynajmniej-bym z góry mogła patrzeć na tych, którzy śmiertelną budzą we mnie trwogę, których uważam za panów świata, a którzy nie są niczem innym jak — naszymi niewolnikami.

Ona to inaczej nazywa...

Włosy mi na głowie wstają z przerażenia.

I toby miała być miłość! Toby w żyły twoje lało potoki zachwytu! Ciebie spokojną i wyniosłą zamieniło-by w pijany hymn szczęścia. Nie! Miłość, to co innego być musi.

Bo ty —kochasz, Zochna, prawda?

Jadwiga.

## ZOSIA DO JADWIGI.

Prawda. A jak się to stało — ja nie wiem.

Z początku gniewałam się i męczyłam, i nie rozumiałam i zdawało mi się, że m chora.

On sam otworzył mi oczy..

Ta twoja studentka plecie wstrętne brednie.

Ja nie wiem jak to jest i jak być powinno, wiem tylko, że miłość daje oczy z jaświata i już nie można tak patrzeć, jak pierwej, przed przebudzeniem się. Pełno wkoło mnie nowych widnokręgów

i zdaje mi się, między gwiazdami jestem, z których każda to świat cały.

Jaka ta twoja studentka jest ohydna. Ona nie pojmuje, co to miłość. Miłość duszę odmienia i nowego człowieka stwarza w tem samem ciełe, istnieje samoistnie i niezależnie od żadnych popędów jako uczucie, o żadnych celach ani funkcyach nic nie wie, jest sama dla siebie i sama w sobie, i kogo tylko dotknie swą świętą dłonią, tego do nieba podnosi.

Więc i ja chodzę dumna i bez winy i nic wiedzieć nie chcę, nic nie wiem, prócz tego, że kocham i jestem kochana.

Całuję cię z całej duszy, moja droga.

Twoja  
Zofia.

Czas leciał, sierpień dobiegał końca. Listy Zosi, tak chciwie pożądane przez Jadwigę, stawały się coraz rzadszemi i najczęściej przychodziły tylko pocztówki, wprawdzie ozdobne bardzo, ale Jadwiga, która nie uległa modzie kolekcyonowania kart ilustrowanych, wolałaby otrzymywać mniej ładny rysunek, a za to nieco więcej słów wkoło niego. Nie miała jednak żalu do przyjaciółki, nawet kiedy kartki stawały się prawdziwą rzadkością, a potem już nie przychodziły wcale. Pomyślała tylko sobie o Zosi:

— Szczęśliwa.

Czas leciał.

W wilię odjazdu pań Borowskich ze wsi, przyjechał pożegnać je p. Z., a kiedy znalazł się sam na sam z Jadwigą, rzekł:

— Czy pani upoważni mię, abym przyjeżdżał do Kowna?

Ona na razie chciała mu rzucić lekki frazes nic nie znaczący, ale namyśliła się i odpowiedziała poważnie:

— Nie.

On milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Nie będę niczem starał się wpłynąć na pani postanowienie i nakłonić ją przychylniej do siebie, — a zresztą było-by to daremne, ponieważ nie w pani nie przemówiło za mną samo z siebie; ale chciałbym, żeby pani wiedziała i czasem przypomniała sobie, że jest na świecie jedna dusza ludzka zupełnie pani oddana i zdolna przez życie dochować pani wiary.

Ją poruszył głównie ten spokój, z jakim te wyrazy były powiedziane, i rzekła zmieszana:

— Dziękuję.

Było jej w tej chwili bardzo przykro, że z tym człowiekiem na chłodno flirtowała, a on widocznie czuł trochę, co się w niej dzieje, bo dodał:

— Niech pani się nie zdaje, że ja pani wspaniałomyślnie błogosławię. Ja tylko poprostu mam jeszcze sporo nadziei...

Wtedy ona roześmiała się i rzekła serdecznie.

— Jaki pan dobry.

— A widzi pani. Jestem pewien, że pani jeszcze nieraz dobrze o mnie pomyśli.

Więc potem myślała sobie, co to jest miłość, co nią kieruje i dla czego ona nie kocha p. Z., który jest tego wart, i jak to jest z Zosią, która kocha Dembickiego i czy też on jest jej wart?

W Kownie zaraz na wstępie dowiedziała się od ojca, że Dembicki od tygodnia wyjechał gdzieś na wieś, zdaje się w rodzinne strony, właściwie nie mówił wyraźnie gdzie, na odpoczynek, i wkrótce wróci.

Śpieszyła do Zosi.

Zobaczyła ją zdaleka, siedzącą na ławce w ogrodzie pod lipą, więc wołać zaczęła.

— Zośka! Zośka! to ja.

Zosia zwróciła głowę w stronę tego wołania, podniosła się z ławki, a Jadwiga już biegła z otwartymi ramionami. Ale ujrawszy twarz przyjaciółki, przeraziła się.

Zosia miała usta popękane od gorączki, a oczy, wpadłe głęboko, świeciły zgnilym ogniem. Cera jej, zwykle do płatką róży podobna, teraz żółta była i jakimiś plamami poznaczona!

— Jezus! Marya! co się stało!

— Czy ja wiem—odrzekła cicho Zosia—ja nawet nie wiem, co to jest, czy to jest rzeczywistość, czy tylko jakaś zmora, która mię dusi. A może ja już zwaryowałam?

Jęła odgarniać nieprzytomnie włosy z czoła, a Jadwidze lęk straszny ścisnął duszę i nie miała słów.

Zosia przechyliła się, oparła głowę na ramieniu przyjaciółki ruchem ociężałym, zmęczonym.

— Wiesz—mówiła—głowa chwilami mię tak boli, że o mało nie potrzaska się w kawały; więc już nie wiem i znowu siebie pytam: czy tak było jak było? i dopiero, gdy odpocznę, powoli łapię myśli jedną po drugiej, i gdy je wszystkie połapię—wychodzi prawda.

— Jaka prawda?—spytała cicho Jadwiga.

A Zosia westchnęła, posunęła dłoń po czoło.

— Chciała-bym móżdż płakać.

— Płacz.

— Nie mogę. Od tygodnia mam oczy suche i myślę, że zwaryuję.

-- Powiedz mi! Słuchaj, mów! błagam cię...

— Ja tobie tego nigdy nie powiem.

— Dlaczego?

— Jakże ja tobie powiem?! jakże ja tobie mogła-bym to powiedzieć...

Splotła obie dłonie kurczowo, wyprostowała się na ławce i patrząc błyszczącymi, nieprzytomnymi oczyma w oczy przyjaciółki, rzekła powoli:

— Uważasz, on mnie porzucił...

Głos jej ochrypl.

Jadwiga milczała.

— Rozumiesz? porzucił! czy rozumiesz?

Jadwiga objęła ją ramieniem i rzekła łagodnie:

— Uspokój się, pomówimy o tem później. .

Zosia wyrwała się z jej objęcia i krzyknęła:

— Ja nie chcę się uspokoić! dla mnie niema spokoju! ja jestem stracona, rozumiesz!

Jadwiga zbladła i niespokojnie patrzyła na nią.

— Ty nic nie rozumiesz! tobie trzeba po imieniu to nazwać, a ja nawet nie wiem, jak się to nazywa!

Jadwiga zmartwiała i niezdolna była ani jęknąć, a ta krzyknęła jeszcze:

-- Co na mnie patrzysz? no tak! tak!

Chwyciła się za głowę i powtarzała bezmyślnie:

— Tak! tak! no tak...

— Cicho—szepnęła Jadwiga zbielełymi usty.

Znieruchomiały i zamilkły obie i siedziały chwil kilka do kamiennych posągów podobne, a potem Zosia zerwała się nagle i wołać zaczęła:

— Ja tego nie przeżyję, ja się zabiję, ja tego nie chcę, ja się udławię ze wstydu, wszystko się we mnie rwie z obrzydzenia, ja to wypłuję, wyrzucę z siebie, ja zwaryuję, ja tego dziecka mieć nie chcę, ja go nienawidzę...

Jadwiga chwyciła ją za rękę i rzekła błagalnie:

— Zosiu, na Boga! opamiętaj się... przestań...

— Nie przestanę i nie chcę przestać! ja już nie mogę... co się ze mną dzieje! co się ze mną dzieje...

Wyczerpana, zmęczona, dała się uprowadzić na ławkę i bezsilna oparła głowę na ramieniu Jadwigi. Chwilami szeptała:

— Życie—ohyda... lepiej śmierć.

Jadwiga, pełna śmiertelnego strachu, bała się słowo przemówić. Gładziła jej włosy złote, puszyste, jedyną piękność, która w całym dawniejszym przepychu i blasku została chorej dziewczynie z jej dawnych piękności.

Z zapadłemi oczyma, z twarzą poznaczoną plamami, siedziała wyczerpana i bezsilna, opierając głowę na ramieniu przyjaciółki i spalonymi, drobnymi ustami, szeptała:

— Życie—ohyda... lepiej śmierć!

— Moja biedna, droga—mówiła Jadwiga—trzeba, żebyś się położyła... chodź, ja cię rozbioreę...

— Nie, ja teraz iść nie mogę... poczekaj trochę... ach Boże—powiedziała nagle—już wieczór, zaraz będzie herbata.

— Uspokój się, czego drżysz? czy ci chłodno?

— Babunia—rzekła Zosia i umilkła.

A potem mówiła niespokojnie:

— Ja się tak boję, tak boję! ja nie mogę się patrzeć na nią... ja zaciskam zęby, aby przy niej nie ryknąć, nie rwać włosów na głowie, nie walić łbem o mur. Ona nic nie wie! Ach! Boże... co to będzie? jak to będzie? Ona tego nie przeżyje... Rozumiesz, to ta myśl, że ona musi się dowiedzieć, doprowadza mię do szaleństwa. Wolę śmierć.

— A śmierć twoją przeżyje?

Zosia chwyciła się za głowę, ścisnęła skronie dłońmi, wpatrzyła się w przestrzeń obłądnemi oczyma i po długiej, okrutnej chwili, opuściła bezwładnie ramiona, zwróciła na Jadwigę bolesne oczy i rzekła spokojnie:

— Za co Pan Bóg mnie tak karze?

A Jadwiga nie wytrzymała.

Rzuciła się na kolana i wybuchnęła straszem łkaniem.

Zosia patrzyła na jej postać wstrząsaną dreszczem płaczu, dotknęła ręką jej ramienia, pochyliła się, ujęła w obie dłonie głowę przyjaciółki, podniosła jej twarz ku sobie, a spojrzawszy w jej zrozpaczone oczy, rzekła powoli:

— Ty płaczesz,—a ja nie.

— Płacz! Zosiu, płacz! rozpaczaj, bluźnij, tylko nie mów z tym okropnym spokojem...

— Ty płaczesz, a ja nie—powtórzyła Zosia.

— Jestem zmęczona—powiedziała po długiej chwili, kiedy Jadwiga się uspokoiła—Idź już do domu, Jadziu. Wieczór zapada, zaraz przyjdzie Janowa wolać na herbatę.

Wstrząsnęła się, jakby ją chłód przejął...

— Ty, jak zobaczysz babunię, może znowu płakać będziesz...

— Nie będę, upewniam cię, wybacz mi, najdroższa...

— A może będziesz. A babuni nie trzeba niepokoić... nie trzeba... I tak ledwie wytłómaczyłam jej, że on wyjechał za interesami których za nic nie mógł odłożyć. Jestem niezdrowa. Idź do domu.

— Jakże ja mam iść! jakże ty tak zostaniesz na noc sama i taka porzucona...

Zosia uśmiechnęła się smutnie.

— A cóż? zostanę tak, nie bój się. Taką noc mam już z rzędu ósmą.

Nazajutrz Jadwiga przyszła przed południem. Babunia dopiero co wstawała, więc się z nią przywitać Jadwiga nie mogła, a Zosię tak silnie głowa bolała, że siedziała na fotelu nieruchoma, z przymkniętymi oczyma, storturowana, każdy bowiem ruch, dźwięk, myśl jakakolwiek już jej rozsadzała czaszkę.

Jadwiga prosiła:

— Połóż się! dla czego wstałaś? połóż się...

— Potem. Jeszczem się z babunią nie widziała. Trzeba przygotować do herbaty, uprzedzić ją, że mię głowa boli i że będę leżała.

— Ja powiem.

Zosia zrobiła odmowny gest ręką i powiedziała:

— Ja sama.

A że Jadwiga widziała z jaką trudnością jej to mówienie przychodziło, więc rzekła:

— To ja pójdę i wrócę po obiedzie.

— Jutro...

Jadwiga zrozumiała, że, jak ją tak głowa boli, to już bez ratunku na cały dzień.

— Dobrze, jutro.

Pochyliła się do ręki Zosi, przylgnęła do niej ustami i zaraz odeszła.

A dopiero w kilka dni potem, kiedy chodziły obie po alejach sadu, który w zachodzącym słońcu wydawał się cały krwawy, z odbłaskami czerwieni leżącymi na liściach drzew i na trawach po ziemi— Zosia się spowiadała. W ogrodzie pustka była: owoce pozdejmowane z gałęzi, kwiaty poobrywane z klombów, trawniki nisko poprzycinane,

trochę tylko bratków i kolorowych astrów świadczyło jeszcze o minionym przepychu lata. Jesień nadchodziła. Drzewa smuciły się cichym poszumem i zadumane były całe pamięcią o niedawnej swej minionej wspaniałości. Czasami, jak lzy leciały z pustego drzewa schnące liście.

A Zosia mówiła:

— Chcesz wiedzieć jak to było? Ja sama dobrze nie wiem. Rozumiem tylko teraz, że to urok miłości szedł na mnie i brał mię powoli, a ja mu się nie broniłam, bo i poco się było bronić? czy ja wiedziałam? czy ja mogłam wiedzieć... Kiedy on mi mówił o miłości, słuchałam go przeniesiona w świat mi nieznany, nowy, rajski i dusza we mnie rwała się do czegoś nieokreślonego, od czego traciłam zmysły. Teraz wiem, co to było. Ja nie mam słów, ja nie potrafię ci opowiedzieć, choć tak żywo mam przed oczyma wszystko, wszystko, najdrobniejszy szczegół. Ach! ten wieczór, kiedy on mi po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha. Było cicho, tak cicho, że nawet liście na drzewach nie szeleściły. Słońce zachodziło luną przechodzącą już w fiolety, trawniki ciemniały i okrywały ziemię żalobą. Ja to wszystko widzę. Ja czuję teraz jak kwiaty wtedy pachniały, zwłaszcza krzyczały wonią białe tytonie i purpurowe gwoździki, a ja szukałam zapachu róży, koniecznie zapachu aksamitnej pąsowej róży, i odnalazłam go, i już potem gwoździki i tytonie walczyły o lepsze z tym aromatem pąsowej róży, ale nie zwyciężyły. Ja w tej chwili czuję ten rozkoszny, mocny, a taki subtelny aromat pąsowej róży. Ty czujesz?

— Zosienko, uspokój się...

— Ty odpowiadaj, a nie mów! czy czujesz?

— Czuję.

— Kłamiesz! teraz róż niema.

— Może usiądziemy na ławce...

— Nie; będziemy chodziły.

A wtedy taka świeżość bila od tej symfonii kwiatowej i od tego powietrza, oczyszczonego ze słonecznego pyłu, że komu weszła do duszy, ten był wniebowzięty. I on wtenczas mówił, że wszystko tutaj takie cudne, a takie proste i spokojne. I ten domek niski, drewniany, utopiony w odwiecznym sadzie, i te prastare drzewa, chylące się powikłanymi ramionami ku ziemi, i te grzędy kwiatów rozrastające się bujnie i jak Pan Bóg dał. Mówił, że jest to jakieś urocze zacisze, oaza, oddzielona od świata zgiełkliwego i niezdrowego, tuż przy nim, ale nie zarażona żadnymi miazmatami. Mówił, że chciał-by tu przy mnie spędzić wiek cały. .



Ale on kłamał, Jadwigo... On kłamał! dlaczego kłamał?

— Posłuchaj mnie, Zochna, on może nie kłamał... poczekaj, pozwól mi powiedzieć... On przecie ma wrócić...

— Kto ci powiedział, że on ma wrócić? — spytała spokojnie Zosia.

— Tatko mi mówił.

— A ty, głupia, nic nie rozumiesz. Więc jakże? miał może twojemu ojcu powiedzieć, że musi uciekać, bo sobie napytał biedy z jedną dziewczyną i ta teraz do niego przystaje.

— Jak ty to mówisz...— wyrwało się Jadwidze.

— Może mam słówka cedzić i zastanawiać się nad ich doborem!

Nie... Jadwigo, ty się nie gniewaj, ty nie możesz się dziwić, to tylko tak u ciebie: refleks. I ty nie opuścisz mnie, Jadwigo, co? Ty mną nie pogardzisz? Jaka ja jestem zła i bezwzględna: ja ciebie gorszę...

Zamyśliła się, a potem szepnęła:

— Lepiej mu kamień młyński uwiązać do szyi i utopić w wodzie, niżeli-by miał zgorszyć jednego z maluczkich... To nie dosłownie, ale to ten sam sens...

Ale Jadwiga przerwała:

— Słuchaj, Zosiu, ty mnie nie poniżaj, ja na to nie zasługuję. I choć tobie wszystko jedno i nic cię nie obchodzi, ale wiedz, że możesz na mnie liczyć i że jestem dla ciebie gotowa na wszystko. Ale pozwól mi powiedzieć... ty jesteś chora, ty może w powiększonym świetle widzisz wszystko... on może musiał wyjechać, ale wróci, on chyba o niczem nie wie...

— Wie o wszystkim.

— Tyś mu powiedziała?

— Powiedziałam.

— Że...

Zosia kiwnęła głową.

— To nie może być, Zosiu, on nie zrozumiał... na miłość boską! on-by przecie nie wyjechał!

— Nazajutrz już go nie było.

— On nie zrozumiał!

— Nie, on zrozumiał, ale on nie uwierzył i myśli, że to fortel z mojej strony, aby go skłonić do małżeństwa.

— On nie chce się z tobą ożenić!

— Widocznie.

— I on myśli, że ty go okłamujesz?

Zosia kiwnęła głową.

Jadwiga pomyślała:

— Ona jest chora...

A Zosia po chwili mówiła:

— Ty pewnie myślisz, że ja zwaryowałam. I ja tak myślę. Bo ja się błąkam w przypuszczeniach i nic rozumieć nie mogę. Jedno z drugim się kłóci. Jeżeli on się ze mną nie chciał żenić, dlaczego kochał mię... dla czego mówił mi o miłości... Ty nie wiesz, jaki on był... Ta miłość nasza była wielka, tajemnicza, niczyją myślą o niej niepokalana, nikt nic nie wiedział — tylko ten stary sad zaciszny był świadkiem naszego szczęścia i krył je w sobie niby skarb. Przesiadaliśmy w nim godzinami, dniami całymi i upajaliśmy się atmosferą, naszym własnym zachwytem nasyconą. Cały ogród dyssał nami. Zdawało nam się, że nas tam każda trawka zna, każdy kwiat dla nas pachnie, do nas tam słońce uśmiechnięte przez liście zagląda, dla nas nocami miesięcznemi księżyc wysrebrza aleje i trawniki—sad cały dla nas specjalnie istnieje i chodzimy oboje w bóstwa zakłęci. Tu pod tą rozłożystą lipą siadywaliśmy w południe nie raz, milion razy. On mi czytał poezje Tetmajera—a ja teraz wiem, dla czego on mi czytał poezje Tetmajera i dlaczego wybierał z pośród nich najbardziej palące... Ty znasz Tetmajera?

—Nie.

— Ty pewnie czytasz Mickiewicza?

Jadwiga nie rozumiała o co jej chodzi.

— Dlaczego nie odpowiadasz?

— Czytam.

— Ty pewnie kochasz Mickiewicza! Ach nie patrz tak na mnie. Dla czego ty nie możesz spokojnie mnie słuchać i niczemu się nie dziwić. To przecież wszystko takie proste, takie naturalne. Uważasz, on wiedział, że ja przepadam za wierszami, że we mnie jest poetka, choć nie mam daru twórczego, że poezję odczuwam (poprostu) instynktem, tak silnie, że staje się dla mnie życiem. Uważasz? więc siadywaliśmy w południe pod lipą. On mówił mi wiersze. Po przez liście drzew przemykały się złote plamki słoneczne i kładły się na żwir, wyściełający ścieżki. Owady w trawie monotonnie brzęczały, a po całym ogrodzie rozlegał się świegot ptaszęcego ludu. Spokój i radość unosiły się w powietrzu, wraz z oddechami tysiąca traw i kwiatów. Lipa pachnęła miodem i sypała na nas deszcz gwiazdek złotych... A on mówił mi wiersze.

— Jestem zmęczona—rzekła nagle.

Usiadła na ławce, zapomniała o obecności Jadwigi, — zamysliła się cała i znieruchomiła.

Zmrok zapadał prędko. Już niebo było głucho i spokojne, i ciemniem pokryte powietrze i przestrzeń. Drzewa stały bezkształtne i ciemne. Powiewał świeży wietrzyk.

Jadwiga nie widziała twarzy Zosi, ale jej się coś zdawało, że w tej chwili Zosia nie czuje nocy, która nadchodzi, ale wpatrzona jest w ogród pełen blasku, w którym się hodowała jej miłość—i umarła.

— Czy umarła?

Nie było żadnej wątpliwości w duszy Jadwigi: Zosia tego człowieka nie mogła przecie kochać, bo ją porzucił w haniebny, podły sposób.

W tej chwili Zosia poruszyła się, splotła obie dłonie i objęła niemi kolana i siedziała tak skulona bez słowa, a z oczu jej posypały się łzy, a z piersi jej wydobyło się łkanie do zawodzenia podobne, a potem przeszło w szlochanie dziecka.

Jadwiga przytuliła ją do siebie.

— Płacz, Zosieńko, płacz, biedna moja...

Zosia płakała długo, a potem, otarłszy oczy, skarżyła się cicho:

— Dlaczego on taki! dlaczego taki... i kim ja byłam dla niego!

Jadwigę ogarnął nagle lęk męczący.

— Gdyby on był sam bolał, że stała się tragedia; gdyby on był cierpiał nad tem, że miłość go zwalczyła, że już nie rozumował, a szedł na oślep, a tymczasem musi mię usunąć ze swej drogi, nie może się ze mną żenić... Gdyby on był rozpaczał nad sobą i nade mną—jabym przez miłość dla niego wszystko mu darowała. A on... Mnie w głowie nie powstała nigdy ani przez chwilę ta myśl, że on się może nie chciał ze mną ożenić... Więc potem... o! bardzo potem, zapóźno, kiedy już byłam pewną i powiedziałam mu to, on...

Wyprostowała się na ławce i poruszyła ustami, jakby tchu jej brakło i łapała powietrze.

— On powiedział, że nie ma środków na utrzymanie żony i że brać na siebie tak ciężkich obowiązków nie może.

Załamala dłonie i zawołała:

— Możnaż tak? możnaż tak, wielki Boże!

A potem ciągnęła dalej:

— Ty sądzisz, że może on mnie nie kochał, tylko się mną bawił, bo byłam głupia i naiwna, i rozkochana, i lekko mu to przyszło... Że on od razu mię nie kochał, czy ty tak myślisz? A nie prawda! kochał mię, ty nie możesz wiedzieć, jak on u nóg mi leżał... to można tak tylko kiedy się kocha...

— On byłby cię i teraz kochał, gdybyś miała większy posag—pomyślała Jadwiga, ale czuła, że powiedzieć tego w głos nie potrafi, bo nie można.

Zosia mówiła i mówiła bez końca:

— Wszystko skończone i teraz dla mnie jedyny ratunek—śmierć. Mnie to nawet nie przeraża. Wszystko mi jedno, skoro on mnie porzucił. Taka jestem zmęczona, że wieczny spokój uśmiecha się do mnie niby wytechnienie po trudzie życiowym. Mam lat dwadzieścia, ale i nie prawda, dusza moja nagle zestarzała się i dojrzała do grobu.

— Nie mów tak... a babunia.

— Właśnie babunia... gdyby nie ona, męka moja dawno-by była skończona. Życie moje już zamknięte. Ty może myślisz, że ja będę miała dziecko i tem się truję? Nie, ja go nie będę miała, bo przedtem zginę. Ale ja myślę ciągle, co on myślał o unie, za kogo mnie miał, że tak postąpił ze mną, i jak on teraz żyć może, i jak on tak wyjechał i nawet nie stara się dowiedzieć co się ze mną dzieje... on ani przez moment nie zatroszczył się o mnie, nie pożałował ani przez sekundę, jemu w głowie nawet ta myśl nie powstała, że może ja umieram z rozpaczy, może ja ginę, może ja waryuję... I jak on żyć będzie z tym strasznym grzechem na sumieniu...

---

— Ty mi tego nie mówisz, ale ja to czuję, że dla ciebie najbardziej niezrozumiałem jest, jak się to stało — nie to, że mię porzucił, lecz że mnie wzięł. I jeszcze nie tak: żem ja mu się oddała. Ty tego nie możesz rozumieć i patrzysz na mnie, jakbyś inną istotę przed sobą widziała, i dobrze nie wiesz, czy masz się nade mną litować, czy być wyrozumiałą i boleć nad moim upadkiem, czy też mną pogardzać.

— Zosiu!

— Po co mi przerywasz? Ja przecież muszę się wypowiedzieć. Och! te długie dni bez końca, kiedy usta moje były zamknięte, kiedy nie było przed kim otworzyć duszy, kiedy nawet myśl moja odmawiała mi posłuszeństwa ze strachu przed torturującą ją pracą, która ją czekała... ten tydzień mojej samotności, mego milczenia, łez, które niewyplakane ołowiem padały mi na serce... to patrzeć na babkę, która niczego się nie domyślała, i ta straszna walka, aby nie zabić jej jednym ruchem, jednym słowem, jednym jękiem, który wyrwał mi się z duszy i byłby mi przyniósł ukojenie... Ach! ta męka! Mnie się zdaje teraz, kiedy mogę mówić z tobą, od duszy do duszy, że męka moja osłabła. Ty nic się nie dziw—bo myśli, jakie mi czasem do głowy przychodzą, są straszne, ale mi to ulgę przynosi. A ja muszę się ratować, chcę się ratować, abym umarła wtedy dopiero, jak już wszystko postanowię i obmyślę. Ty nie masz pojęcia, jak ja czasem chłod-

no jestem zdolna myśleć—to tak, jakby zabity mój rozum zmartwychwstawał, tylko, że ja mądrzejsza jestem niż kiedykolwiek, bo to, co przeżyłam, uczy więcej niż uniwersytet, niż cała filozofia. Aha! uniwersytet... no, cóż? więc nici z uniwersytetu, co? Miłość mię popchnęła, zjadła—przepadło wszystko.

Ale, jak to się stało, że ja się oddałam?

Pierwej nie wiedziałam sama—teraz wiem. To takie proste i nie może być inaczej. Cała rzecz, czy się kocha, czy nie kocha. Jak się kocha, to już i—amen! Nic od siebie nie zależysz, a jesteś na łasce niewiadomo czego... niewiadomo kogo...

A Jadwiga pomyślała:

— Wiadomo: na łasce łotrzyka...

A Zosia mówiła:

— Może i wiadomo—ale to wszystko jedno: nie masz siły żadnej i na nic tu twoja wola. A zresztą dla mnie to już wszystko jedno. Nie w tem rzecz, czy cię wziął, ale czy cię kocha. Bo np. teraz, gdyby był mię nie porzucił i kochał naprawdę i wiernie, to nie było-by żadnej tragedii. Nikomu myśmy przez to, żeśmy się całowali, nic złego nie zrobili—a człowiek przecie tylko nie ma prawa bliźniemu krzywdy robić. Swoją osobą przecie rozporządzać ma prawo. Ja ani rusz sobą pogardzać nie mogę. Dla czego nie miałam kochać i w czem się poniżyłam, zem kochała? Ja tylko na tem ucierpiałam, nikt inny, i ucierpiałam nie dla tego, że on się nie ożeni ze mną, ale jedynie, że nie chce się ożenić ze mną. A to jest kapitalna różnica i ona-to stanowi moje nieszczęście. Gotowam krzyczeć całemu światu: nie pogardzajcie mną, bom nic brzydkiego nie uczyniła! Kochałam! a przecie wszyscy wasi poeci, wszyscy filozofowie nawet wasi godzą się, aby miłość władczynią życia uczynić. Więc nie piętnujcie mię bom zbrodni nie popełniła. A że ja ginę, to raczej pożałujcie mię—za co mię bijecie? I jakie to śmieszne: więc miłość dopiero od ołtarza zacząć się powinna, tak ma sobie się zacząć właśnie kiedy ludzie pozwolą, a ksiądz pobłogosławił dotąd trzeba ją trzymać w szufladzie zamkniętą i niech jej tam nie będzie za ciasno, niech czeka spokojnie i rozważa, co się odwlecze to nie uciecze! A nieprawda! uciecze, bo każda chwila uroku miłosnego zapala się złotem, ale nie podsycona gaśnie i nigdy się już taka nie rozświeci. Będzie druga, ale inna, już nie ta sama, a kto wie, czy złoto na niej będzie równie złote...

Więc się targować o każdy pocałunek, liczyć z każdą pieszczotą, notować każde dotknięcie, które zmysły w huragan zmienia—prowadzić książkę rachunkową i nie mieć nic w sobie bezinteresowności, nic porywu namiętnego, nie szalu—tego wszystkiego, co stanowi treść i wzniosłość miłości.

Ach! ludzie, ludzie, jakże miłość wasza dozwolona jest wstrętną...

A moja była cudna, wielka, swobodna, bez ograniczeń i zastrzeżeń, upajająca, bezpamiętna.

Kiedym go po raz pierwszy ujrzała, powiedziałam sobie: jest bardzo przystojny, szykowny i ma coś niezwykłego w swej suchej twarzy. I na tem koniec. Babunia mię nudziła swemi zachwytnymi i nadziejami, a mnie wtedy ani w głowie nie powstało żadne przypuszczenie. A potem spostrzegłam, że on mię czaruje wdziękiem całej swej osoby: że magnetyzują mnie te jego oczy duże, tajemnicze. Jak ja się o to na siebie gniewałam... A potem, a potem

„Słońce roztapia błękit i ziemię rozłsniewa,  
Złotem spłynęły rzeki, promienieją skały,  
Pałą się hyacenty, lilje splomieniały,  
Pachną kwiaty i wonią wybuchają drzewa.“

On mi czytał poezye, a ja to wszystko widziałam, czułam, wchodziło mi to w krew, nerwy, i od tych słów i objawów palących traciłam wolę, rozsądek, poznanie i nic nie chciałam wiedzieć, co nie było nim, bo on był we mnie cały i panował niepodzielnie. A mnie się do tąd zawsze zdawało, że miłość to przypadek w życiu, a nie życie samo — więc potem kiedy zrozumiałam, zapaliłam się do tego nowego życia i postawiłam je na piedestale. I zatopiło mię to moje zachwycenie...

Czy ty rozumiesz mię choć trochę?

— Rozumiem i płacę—odpowiedziała miękko Jadwiga.

— Och tak, ja jestem bardzo biedna i więcej przez to utraciłam, niż przez to, czem jestem teraz. Wiesz o czem ja wczoraj przez całą noc myślałam. Myślałam: gdyby on przed wyjaśnieniem umarł, gdyby jakaś nieprzewyciężona przeszkoda oderwała go ode mnie, gdyby on nie był mi powiedział — och! tych paru słów okropnych.. gdyby tych słów między nami nie było... jeżeliby taka jego utrata nie zabiła mię na miejscu, to jabym może znalazła siłę powiedzieć babuni, przekonać ją, że stała się tragedia, a nie wstyd. I wyjechałybyśmy obie gdzie w kąć zapadły, i jabym miała jego dziecko i może w tem dziecku odnalazła-bym świat cały—i jego...

— Dla czegoś by nie miała tego uczynić?—rzekła Jadwiga.

— Teraz!

Zosia zaśmiała się krótkim, suchym śmiechem.

— Ty chyba żartujesz, albo nie czujesz mnie wcale: Ty myślisz, że jeżeli ja o n i e m nie mówię, to znaczy i nie myślę. A ja je czu-

ję. Cokolwiek-bym mówiła, cokolwiek-bym robiła, cokolwiek myślała, ja je czuję, ono jest i nie mię od tego nie wyratuje. Chciała-bym uciec od siebie samej, zapomnieć... gdyby nie ono—wszystko-by było inaczej. Nie to, że onby mię tak prędko nie rzucił, ale to, że jabym mogła wtedy o nim zapomnieć. A teraz nie mogę: ono jest. Żebyś ty mogła pojąć jaka to męka...

A na myśl, że ono-by mogło do niego być podobne — dostaję obłądu.

Ratuj mnie, Jadwigo!—krzyknęła nagle i uchwyciła się kurczowo ramienia przyjaciółki.—Ratuj mnie! ja czuję jak mi potworne myśli kłębią się w mózgu; zdaje się, że węże wślizgują mi się do duszy. Te węże oplątują mnie, one złośliwemi oczyma magnetyzują mię i podszeptują podle myśli! Ja się im obronić nie będę mogła, ja zwaryuję! To nieprawda mój spokój, mój rozum i że ja wiem wszystko i że ja się nie boję! Boję się.

Zaczęła nieprzytomnie kręcić się na ławce, odgarniać włosy z czoła, a Jadwiga starała się objąć ją ramieniem, ale Zosia zasyczała nagle:

— Puść mię! czego tu jesteś przy mnie i podsłuchujesz, co ja myślę! No, co ja myślę? No, więc cóż? Ty może zabronisz, co? Prawa nie mam? A mnie zabijać—kto ma prawo?

Jadwiga zerwała się błada śmiertelnie, ale Zosia schwyła ją za rękę i zawołała:

— Ja jestem chora, Jaguś, ja jestem chora, nie odchodź, czy masz sumienie mię opuszczać, czy ja ci co złego powiedziałam...

I rozplakała się żałośnie.

A Jadwiga, tuląc ją w objęciu, myślała, że dzieją się rzeczy straszne i dla czego te rzeczy straszne spadają właśnie na niewinne głowy, na takie, które sobie z tym niezasłużonym bólem poradzić nie mogą, które do niego nie dorosły, których dusze się paczą, kiedy się je rozciąga na torturze i giną, bo nie należą do wybranych, które do nieba się wznoszą—przez mękę.

Zosia lkała żałośnie, skarżyła się na ból głowy i zmęczenie wielkie, ale do łóżka pójść nie chciała.

— Straszno mi teraz w moim pokoju. Chwilami tak mi straszno być samej, że drzę cała. Wydaje mi się, że ktoś tam na mnie czyha...

— Zosiu, to nerwy.

— Wczoraj, wiesz, siedziałam na łóżku i miałam zgasić świecę, kiedy nagle poczułam, że za memi plecami, na tem samym łóżku ktoś siedzi... czułam, jak jego oddech owiewał mi plecy...

— Zosiul oprzytomniej, ty śniłaś!

— I ja tak sobie to tłómaczę, że byłam zmęczona bardzo i, siedząc na łóżku, musiałam zadrzemać i śniłam... Ale ja przecież tak dobrze pamiętam, że oczy moje nie schodziły ze świecy i widziałam jej płomień migotliwy i nie przestawałam go widzieć. A za memi plecami był ktoś...

— Zdawało ci się—przerwała Jadwiga prędko.—Ty jesteś zderwowana do niemożliwości. Chodź! teraz połóżysz się przy mnie i ja posiedzę przy tobie nim zaśniesz. A jutro poprosimy doktora, żeby ci na nerwy dał lekarstwo.

— Doktora? czyś ty oszalała!

Więc Jadwiga mimowoli załamała ręce i pomyślała w duszy:

— Co będzie! Mój Boże! co to będzie...

—Dla czego milkniesz? co cię krępuje? wszak wiesz, że mnie możesz wszystko powiedzieć.

— Wstydzę się—rzekła Zosia.

A potem mówiła:

— Mnie chwilami, wiesz, taka straszna tęsknota napada. Nie wiem za czem. Nie chcę wiedzieć za czem. Czasami siedzę i marzę. Po prostu zapominam o wszystkim i marzę. Ty myślisz: o czem ona teraz marzyć może? A ja marzę, że oto jest południe, powietrze dyszy żarem, słońce, do białości rozpalone, skwarnem swem tchnieniem owiewa zielone łąki i rozściela po nich świetliste smugi, niby kolorową pajęczynę. Drzewa stoją nieruchomo, kwiaty z pochylonemi głowami oddychają ciężko, ogród cały rozśpiewany, a lipa pachnie miodem i brzęczy wkoło niej rój pszczół migotliwych i czasem spada z drzewa wonny kwiat lipowy, niby gwiazdka złota, na ziemię.

A przecież na dworze jesień, prawda?

Ja widzę łąki, jakieś ogromne, jak okiem sięgnąć zielone łąki, nisko skoszone. Woń świeżego siana unosi się w powietrzu, wchłania w siebie wszystkie inne zapachy ziemi i w zmysłach moich wywołuje ekstazę. Widzę te kupki pachnącego siana, stojące w słońcu, i szalona ochota mię bierze rzucić się tam, tacać się, zapadać w głąb, pić tę ożywczą świeżość skoszonego siana, upajać się, szaleć... A słońce tak rozpustnie śmieje się do mnie...

Tęsknota mnie je.

Ach! gdyby można zapomnieć. O wszystkim zapomnieć. Pamiętać tylko o miłości. Żyć! żyć! Ja nie chcę umierać, jestem za mło-



da. Piękna jestem, on mi mówił, że stworzona do pocałunku, on ciało moje ubóstwiał, ja chcę żyć!

Czasami jestem w ogrodzie pełnym dziwnych kwiatów. Las taki kwiatów poplątanych ze sobą, kwiatów mi nieznanych, o dziwacznych kształtach i odurzającej woni, która, jak haszysz podnosi mi zmysły i w głowie mojej powstają obrazy, od których oczy zamykam i drzę cała... A czasami budzę się w nocy i leżę z otwartymi oczyma na łóżku i znowu widzę te kwiaty, pęki żyjących kwiatów, zmieszanych ze sobą, i z pośród tych kwiatów wyciągają się do mnie jakieś chciwe, drapieżne ręce... a potem kwiaty powoli opadają na mnie, a każdy kwiat jest dotknięciem inny.

I krzyk zamiera mi w krtani—od rozkoszy.

Wypieki miała na twarzy i pot kroplami osiadł na jej czole.

— Posłuchaj mnie, Zosiu, tak dalej być nie może...

— Nie, poczekaj, nie przerywaj... Ty nie wiesz, co to za upojenie... nie przerywaj, powiadam cił dla czego mi przeszkadzasz zapomnieć to okrucieństwo z twojej strony. Czy może uważasz, że za mało mam męki?

— Co robić! Boże, co robić?—myślała rozpaczliwie Jadwiga.

Zosia oddychała ciężko, uspokoiła się, i znowu mówiła, mówiła dalej bez końca. Potoku słów jej żadna siła powstrzymać nie mogła. Zalewała niemi żar swojej biednej duszy i zdawało się, że jak przestanie mówić, zerwie się w niej sprężyna życia.

— Mnie się chwilami zdaje, że to wszystko sen. Tylko nie wiem, co jest snem: czy ta dzisiejsza męka, czy też wczorajsze szczęście? Co jest prawdą? czy to, że on mię porzucił, czy to, że mię kochał? A on przeistacza się w mojej wyobraźni i przestaje go widzieć, jakim był. Chwilami nie mogę odtworzyć sobie rysów jego twarzy i wtedy znowu czuję taką pustkę w głowie, jakby z niej uciekły wszystkie moje czucia. Więc kładę się na wznak, czekam aż odpocznę i znowu niby świder wwierca się w mój mózg pytanie: jak to było? I to pytanie boli mię fizycznie, przeszywa głowę moją ostrzem bólu. Ale ja to odpędzam od siebie, nie chcę, żeby mię bolało, ja chcę zapomnieć. Wychodzę sobie na powietrze, na pola, między łany dojrzałego żyta, idę i zrywam kąkole, które niezmiernie lubię, że takie nikłe, że takie nikomu na świecie niepotrzebne, że takie biedne, i skoro dojrzeją, padną pod kosą, choć niewinne i nikomu zła nie przyczyniły. Co taki biedny kąkol winien, że mu dano rosnąć w życie? Niby taki intruz w społeczeństwie roślinnem. On wolał-by rosnąć na uboczu, w ustroniu, byle nie ginąć marnie, kiedy człowiek przyjdzie kosić żyto na chleb. Co mu do tego chleba? co mu do ludzi? On też żyć pragnie.

A łany zboża takie złociste, takie kłóśne, takie bogactwo chleba urodziły i tak sobie powiewają dumnie złotemi, srebrnemi pióropusząmi. A w oddali na horyzoncie idą szeregi mocnych postaci. Białe koszule ich się palą w słońcu, a powietrze niesie szum kos brzęczących i odgłos walącego się na ziemię zboża.

Aha! dumne kłósy! koniec waszemu weselu.

A śmierć ich daje ludziom życie.

A śmierć moja komu jest potrzebna?

Po co jest cierpienie i na co ono jest potrzebne? Myślę, że nie może to być ślepy traf i że nie przypadek tem rządzi. Ja widzę jakąś dal wysoką, jakieś obłoki i widzę rękę, która skinieniem rządzi. Ale dla czego ta ręka nie miękka jest i pieszczotliwa, lecz okrutna? Niby w szpony jastrzębie chwyta biedną duszę człowieka i pastwi się. Jaki jest sens tego pastwienia się?

Chciała-bym się modlić — ale ja gdzieś, zawieszony nade mną widzę uśmiech, nie słodyczy pełen, lecz wzgardy.

Ja tego nie rozumiem, ale ja to czuję. Ból otworzył mi duszę na rozcież.

A Jadwiga w uniesieniu przypadła do niej:

— Módl się, Zosiu!

— Jakich słów na to potrzeba?—odrzekła Zosia.

A Jadwiga pomyślała:

— Choćby za cenę takiej męki, ale być tam, gdzie krąży dusza Zosi. Błogosławionem jest cierpienie.

A Zosia wstrząsnęła się dreszczem z głębi duszy idącym i zawołała:

— Boję się, boję!

Jadwiga rzekła nagle stanowczym tonem:

— Posłuchaj mnie, Zosiu, pozwól i mnie powiedzieć... Gorączka wogóle przez ciebie mówi, a ja daję się opanować uniesieniu, a tu coś radzić trzeba pozytywnego, coś realnego obmyślić... Posłuchaj! co tobie ludzie, co tobie świat! jesteś wyższa ponad przesady społeczne i rozumiesz, że krzywda się dzieje i tobie, i twemu dziecku. Pamiętaj nasze gawędy, pamiętasz jakieśmy się paliły do wielkiej idei swobody, uczciwej swobody, i jak czułyśmy się zdolne do poświęceń i czynu. Trzeba żeby ktoś pierwszy krok zrobił na tej drodze i żeby poszły po niej nie wyrzutki społeczeństwa, ale jednostki szlachetne i godne posłannictwa. Ciebie los namaścił i poświęcił na męczennicę może, ale jedną z tych, która drogi toruje. Miej odwagę.

— Co chcesz, abym zrobiła?

— Spełń swój obowiązek, jakkolwiek ciężki by był. Przyjm odpowiedzialność na siebie za swoje czyny. Nie cofaj się. Nie zaciekaj

się w nierozjaśnione zagadki życia i nieba, ale ocknij się i działaj. Wychowaj to dziecko na dzielnego człowieka i z głową podniesioną dumnie idź samotnie dalej przez życie, a we własnej duszy znajdziesz ukojenie i nagrodę. Opamiętaj się, skup siły, stań się znowu dawną dzielną moją Zosią, którą ból zgiął, ale nie złamał... Zapomnij o sobie. Czeka cię nowe życie dla idei. Masz pole wprowadzić w czyn swe idee i, choć serce twoje krew sączyć będzie, ale będzie to krew odkupienia.

— A babunia?—rzeka spokojnie Zosia.

ALEKSANDRA SUSZCZYŃSKA.

(D. n.).

# Pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa.<sup>1)</sup>

## ROZDZIAŁ III.

1795 — 1805. — Inflanty polskie pod koniec XVIII wieku. — Dom Szadurskich. — Podróż do Drezna. — Śmierć Józefa Weyssenhoffa w Pizie 30 grudnia 1798 roku. — Ciągłe dalsze kształcenie się Jana Weyssenhoffa. — Podróż z Tadeuszem Tyszkiewiczem na Zachód. — Paryż. — Stosunki z Bonapartem, Cambacèrem, Lebrunem. — Kościuszek. — Towarzystwo polskie. — Zajęcia naukowe. — Teatra paryskie. — Choroba. — Dalsza podróż. — Pamiętnik przerwany.

Po przebyciu kilku miesięcy w Warszawie, w ciągu których bywałem w domach przyjaciół braci moich, a szczególnie u księcia Józefa „pod Blachą“, otrzymałem list od bratowej Sołtanowej, proszący mnie, abym bez zwłoki udał się do Grodna dla ułatwienia jej interesów, tam toczących się. Pojechałem natychmiast i, dopełniwszy szczegółnie polecenia, wróciłem do Inflant. Głuche mi się zdawało to spokojne i beczynne życie, które tam prowadziłem u braci moich, u stryjki w Rybiniszkach i u przyjaciół Szadurskich. Czas mój cały, którego wszystkie chwile teraz do mnie należały, podzieliłem między nauką, polowaniem i obcowaniem z oświeconymi przyjaciółmi. Z tego względu najpożyteczniejszym dla mnie był pobyt w Puszy u Józefa Szadurskiego. Światło, religijna moralność, wychowanie, uprzejmość — cechowały ten dom. Sam gospodarz był nauką, miłą konwersacją i najprzyjemniejszym charakterem znakomity. Liczna familia miała jego wzór i posiadała jego przymioty. L'abbé Verdier, który dwa pokolenia w tym domu wychował, był ze wszech miar godzien

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lipcowy, str. 1.

poważania i miłości tej zacnej familii. Biblioteka wyborowa, liczna, gabinet fizyczny, dobrze zaopatrzony, jakich się w domach prywatnych nie spotyka zwykle, podawały mi sposobność nabywania nauk, zwłaszcza za pomocą światłego abbé Verdier, którego dobroć nigdy rad nie odmawiała. Temu domowi winienem może najlepsze i najprzyjemniejsze chwile życia mojego. Przebywałem także często w domu Ksawerego Szadurskiego, młodszego brata Józefa, który miał moją siostrzenicę za żonę i mieszkał w Rozenthofie, o milę od Puszy. Gościnność i wychowanie były tam te same, co w Puszy, ale nic naukowego.

Infanty w tej epoce (mówię tylko o Infantach polskich, to jest powiatach: Rzeżyckim, Lucyńskim i Dynaborgskim) odznaczały się między wielu prowincjami polskimi elegancją obyczajów, wyższem oświeceniem i upodobaniem w zbiorach naukowych. Warkłany, mieszkanie wojewody bełzkiego, Michała Borchy, posiadały w przepysznym pałacu, wśród ogrodu tak wykwintnego, jak tylko klimat tamtejszy pozwalał, rzadkiej piękności bibliotekę, liczną i wyborem znakomitą, zbiór bogaty rycin i wiele innych drogich ciekawości. Życie prowincjonalne wielu obywateli było wprawdzie, jak wszędzie: starodawne gospodarstwo, zabawy, polowania cały czas zabierały; ale wielu też było takich, którzy, wyżej wznosząc się myślą, przykładali się do nauk i pomiędzy sobą znajdowali wszystkie pomoce i elementa do tego.

Wśród tego przyjemnego i użytecznego życia odebrałem list od pani Jerzyny Tyszkiewiczowej, z domu ks. Lubomirskiej, uwiadomający mnie, że brat mój, Józef, chory na suchoty w Dreźnie, życzy, abym tam przyjechał dla zajęcia się jego interesami i opiekowania się, w przypadku zgonu, córką jego, Teklą, dziś żoną p. Ludolfa, ambasadora neapolitańskiego w Londynie. Nie tracąc czasu, pojechałem do Dreznia: znalazłem tam brata już w ostatnim stopniu konsumpcyi, wyprawianego do Włoch przez doktorów, którzy stracili wszelką nadzieję ratowania go. W kilka miesięcy po przybyciu mojem, brat wyjechał do Włoch, mając ciągłe hemoragie; resztę chwil wolnych mógł podróżować. Chciałem mu towarzyszyć, ale wyż wspomniane przyczyny (?) zmusiły mnie do zostania w Dreźnie. Jakoż, we cztery miesiące po opuszczeniu Dreznia, brat mój zeszedł z tego świata w Pizie <sup>1)</sup>. Powszechnie był w Pizie od wszystkich znakomitych ludzi żalowany, a mianowicie od dyplomatów obcych, z którymi żył najściślej. *Chargé d'affaires* angielski, pan Grey, skoro się dowiedział o zgonie, przy-

<sup>1)</sup> Umarł w Pizie 30 grudnia 1798 roku, pochowany w Livorno.

szedł zaraz do mnie i ze łzami w oczach rozwodził się nad godnością charakteru i wysokiem oświeceniem zmarłego. Smutek mój był pomnożony całą miłością braterską, którą czułem do niego; długo oswoić się nie mogłem z tem nieszczęściem. Zacząłem później bywać w niektórych domach, ale najwięcej czasu poświęciłem naukom. Metrowie matematyki, języka francuskiego i łacińskiego, następowali po sobie w przeciągu połowy dnia. Poświęcałem też parę godzin na dzień na dawanie lekcji arytmetyki i geometrii synowicy mojej, sądziłem bowiem, iż trzeba kobiety zajmować nieco temi ponuremi naukami, dla hamowania ich popędu do lekkich i błahych wiadomości, które później świat, towarzystwo, skłonność naturalna, a nawet potrzeba w dzisiejszych obyczajach, aż nadto prędko i obficie w nich rozwijają.

Nigdy żałować nie przestanę, że bardzo wiele czasu strawiłem na nauce muzyki. Powiniennem był przewidzieć, że życie pracowite, które widocznie los mi gotował, nie zostawi mi ani czasu, ani sposobności do uprawiania tego talentu. Summa kilku godzin dziennie, przez lat kilka straconych na to ćwiczenie, zaniechane z musu w przyszłem życiu, nie mi nie zostawiła, prócz żalu po stracie czasu. Muzykę zawsze lubiłem namiętnie; obce talenta były-by mi dały używać tego rozkosznego uczucia, bez mego usiłowania: jak się później stało.

W roku 1800, zostawiwszy synowicę moją opieczć księżnej Stolnikowej Czartoryskiej, wyjechałem do kraju. Infanty tylko przebiegłem, na Litwie odwiedziłem brata Sołtana, już wówczas wróconego z niewoli. Miło mi było przepędzić czas niejaki w Zdzięciole. Te same osoby, też charaktery, a córki Sołtana już dorosłe, Karolina i Anna, pomnażały jeszcze przyjemność i wesołość tego towarzystwa.

Nie zostałem tam jednak długo, gdyż Tadeusz Tyszkiewicz, mój dawny kolega adjutantstwa przy Jasińskim, pisał do mnie z propozycją jechania razem do Paryża. Przyjąłem skwapliwie ten projekt i pojechałem natychmiast do Grodna, gdzie zastałem mojego towarzysza i panią hetmanową Tyszkiewiczową z córką Anną, dzisiejszą panią Wąsowiczową. Jako należący do rodziny, mój kolega miał wolny wstęp do domu pani hetmanowej, a ja, jako przyjaciel jego, byłem także dobrze przyjmowany. Miłe dni przepędziliśmy w tym domu. Pani hetmanowa aprobowała nasz projekt i nawet życzyła szczerze, abyśmy go przywiedli do skutku, wyrażając pochlebnią dla mnie opinię, że dla pana Tadeusza byłem wybornym towarzyszem, jako już nieco oswojony z obcym światem i jego obyczajami.

. . . . .

NOTA WYDAWCY. — Opis długoletniej podróży po Europie zajmuje dużo miejsca. Część tę „Pamiętnika“ skracamy znacznie; sam autor przerywa swe wspomnienia z podróży, aby przejść do wypadków roku 1806. Charakterystyczną cechą tych kart pominiętych jest żądza wiedzy i poszanowanie dla nauki, którem odznaczał się młody podróżny, a zapewne i jego towarzysze. Tyszkiewicz i Weyszenhoff dążą przez północne Niemcy, Hamburg, Bruksellę do Paryża. W Brukselli poznają Ludwika Morstina, podróżującego ze swym mentorem, Borawką. Wspólny cel i upodobania łączą trzech młodzieńców, i zawiązuje się między nimi istne stowarzyszenie, w celu wyzyskania wędrowki po cudzych krajach, stowarzyszenie przyjazne i rozumne. Podróżują razem przez parę lat systematycznie, w sposób, prawie zaniedbany dzisiaj, a jedyny, gdy kto chce osiągnąć kulturalną korzyść z podróży. Bawią się -- zapewne, ale zwiedzają też pilnie muzea, gmachy i pomniki, zabierają znajomość z ludźmi, i to z najwybitniejszymi, s t u d y u j ą, a nietylko oglądają po wierzchu obce życie. Weyszenhoff, już 27 lat liczący, chodzi na wykłady uniwersyteckie, zaprzyjaźnia się przytem z profesorami i pozostaje z niektórymi w korespondencyi przez długie lata.

Wielka postać Napoleona, dosięgającego w tej epoce szczytu swej potęgi, pociąga, oczywiście, młodego oficera; stara się zobaczyć go zblizka, poznać — i, za pośrednictwem posła rosyjskiego, Markowa, przedstawia się w S-t Cloud pierwszemu konsulowi. Rozwodzi się potem nieco nad sprawą Pichegru i Moreau, nie chcąc wierzyć, aby generał Moreau, „bohater z pod Hohenlinden“, należał do brudnego spisku przeciw Napoleonowi.

Dalej pisze nasz pamiętnikarz pod rokiem 1802-gim:

Po prezentacyi u pierwszego konsula i jego małżonki, staraliśmy się z moim Towarzyszem, Tyszkiewiczem, widzieć przynajmniej nieco pierwsze towarzystwo paryskie, to widmo, które odurza świat cały. Byliśmy na zgromadzeniach wieczornych u obu konsulów, Cambacérèsa i Lebruna, i w kilku innych domach. Nie było wszakże naszym celem, a szczególnie moim, rzucić się w odmęt towarzystw i zabaw: zaspokoiwszy naszą ciekawość, wróciliśmy do życia zatrudnionego. Metrowie i kursa w Luvrze, w Collège de France, w ogrodzie botanicznym zaczęły nam zabierać dzień cały, a wieczory były poświęcone teatrom, które nas niewypowiedzianie zajmowały.

Talma w tragedyi zaczynał już być wzorowym. On pierwszy, jak miejscowi twierdzili, wprowadził naturę, prawdę i wierny obraz myśli na scenę; dotąd była tylko nadęta deklamacya. Zmienił także postać powierzchowną bohaterów Racine'a, Corneille'a etc., przybierając starannie ubiór ich wieku, zamiast sukien dworskich z czasów

Ludwika XIV-go i peruk, w których dotąd występowały Agamemnony, Augusty etc.

Panny Georges i Duchesnois były właśnie naówczas debiutantkami i walczyły o pierwszeństwo; pierwsza miała za sobą nadzwyczajną piękność, druga talent. Publiczność cieszyła się pięknnością pierwszej, ale drugiej, chociaż nieładnej, oddawała palmę, Geoffroy zaś, krytyk uczony i bardzo dowcipny, walczył z publicznością, przyznając wszystko pięknej pannie Georges.

Na teatrze, „Francuskim“ zwanym, świecił niezrównany Henry i wielu innych aktorów i aktorek; panna Mars zaczynała wtenczas swój świetny zawód i już jej imię w afiszu mnożyło liczbę spektatorów.

Opera wielka z baletem była najwspanialszem widowiskiem. Orkiestra była bezwątpienia pierwszą w Europie: ani liczbą, ani talentami, ani harmonią nie miała sobie równej. Rudolf Kreutzer był na jej czele. Śpiew zaś, nawpół deklamowany, był aż do śmieszności nieznośny. Nie można było jednak tego wyznać Francuzom, którzy mieli tę dwurodzajową mieszaninę za najwyższy stopień doskonałości liryczno-dramatycznej. Mnie ten spektakl mało bawił, ale za to komedya francuska nadzwyczajnie zajmowała. Tam najczęściej bywałem, zwłaszcza, kiedy grał Fleury.

Co do zatrudnień naukowych — w domu miałem metra matematyki i języka włoskiego, a chodziłem na publiczne kursa fizyki Charlesa, chemii Vauquelina, mineralogii Haine'go. Bywałem także na kursach filozofii, historii naturalnej Cuviera i fizjologii roślin Desfontaine'a. Wielki zrobiłem zbiór samych wypisów moich z tych kursów, ale w czasie kampanii w 1812 roku zostawiony w domu Tyszkiewicza w Poniemuniu (?), zabrany był, lub rozszarpany, wraz z wielu notami mojej podróży, przez płądrujące wojska.

Krótko przed nami przybyli do Paryża podkanclerstwo Platerowie z całą prawie liczną swoją familią. Miałem przyjemność chodzić na kursa z niektórymi z ich synów. Towarzystwo nasze codzienne było od początku pomnożone przez dwóch Wielopolskich. Starszy z nich, Ignacy, wdowiec, miał za sobą siostrę rodzoną naszego Morsztyna; młodszy — Jan. Obadwaj dobrze wychowani, podróżujący w tymże celu, co i my, harmonia przeto jak największa ustanowiła się między nami sama przez się: razem jadaliśmy, razem uczyli i razem używali wszystkich rozrywek. Tak w najmilszem towarzystwie przepełdziłem w Paryżu przeszło siedm miesięcy.

W końcu tego czasu odebrałem z Litwy list, donoszący mi o śmierci bratowej Sołtanowej, którą nadzwyczajnie kochałem. Im



mniej byłem wówczas usposobiony do smutnych wrażeń, tem okropniej mnie ta wiadomość uderzyła. Zachorowałem w dni parę na straszna żółtaczkę. Trzech doktorów karmiło mnie lekarstwami przez kilka tygodni i byli-by mnie niezawodnie wyprawili na tamten świat, gdyby nie pan Stanisław Mniszech, który przywiózł do mnie doktora pani Zamoyskiej, Gérarda; ten kazał natychmiast wyrzucić za okno słoiki i pudełka z lekarstwami, i bardziej higienicznie traktować mnie zaczął. W przeciągu paru tygodni powstałem na nogi. Tu oświadczył p. Gérard, że, dla odzyskania sił i pozbycia się czarno-żółtego koloru skóry, niezbędna jest, abym odmienił powietrze, oddalając się z Paryża na czas niejaki. Towarzystwo nasze było tak ściśle przyjaźnią połączone, że interes każdego z osobna był interesem wszystkich wogóle. Naradziwszy się zatem, postanowiliśmy podróż do Szwajcaryi; a że nie wszyscy mieli równie długo bawić we Francyi, i przed opuszczeniem onej chcieli jeszcze przebieść niektóre jej prowincye, przeto był ułożony i wykonany plan następujący: Morsztyn z Borawką zwiedzą południową Francję; Wielopolscy — zachodnią i północną, a ja z Tyszkiewiczem — Belgię i Hollandyę. Poczem, na umówionych etapach zbierać się mamy po drodze i razem udać do Szwajcaryi.

NOTA WYDAWCY.—Następuje opis podróży po Belgii i Hollandyi, poczem autor „Pamiętnika“ postanawia „opuścić kilka lat w opowiadaniu i przeskoczyć do najważniejszej epoki życia mojego—do roku 1806“. Dowiadujemy się z tej notatki, że „Pamiętnik“ rozpoczęty został w roku 1841, a ciągniony dalej w marcu 1842 roku. Wiemy skądinąd, że Jan Weyssenhoff z Hollandyi udał się do Szwajcaryi, następnie do Włoch. W dwa lata później spotykamy go znowu w Dreźnie. Jeżeli z Włoch nie powrócił do kraju, pobyt jego za granicą przeciągnął się do czterech lat.

---

## ROZDZIAŁ IV.

1806—1808.—Weyssenhoff wymyka się z Warszawy przez strażę pruską do obozu generała Dąbrowskiego.—Zostaje adjutantem Dąbrowskiego.—Organizacja wojska w Poznańskim.—Marsz Dąbrowskiego ku Gdańskowi.—Utarczki około Tczewa 13 lutego 1807 roku.—Oblężenie Gdańska.—Weyssenhoff zostaje gros-majorem, a rzeczywiście dowódcą pułku 4-go piechoty.—Epizody z oblężenia, dotyczące się udziału armii polskiej.—Kapitulacja Gdańska.—Bitwa pod Friedland 14 czerwca 1807 roku.—Pokój w Tylży.—Dywizja Dąbrowskiego odesłana na zimowe leże.—Reorganizacja wojska polskiego.—Pułk 4-ty dostaje № 12-ty i stanowisko w Rawiczu.—Weyssenhoff reorganizuje ten pułk, zostaje pułkownikiem 29 lipca 1808 roku i dowódcą pułku.—Odkomenderowany do Torunia.

Świetne zwycięstwa Napoleona w roku 1805 pod Austerlitz, a w 1806 roku pod Jeną i Auerstädt, uprzętnęły mu wszelkie przeszkody do postępowania dalej ku Północy. Jakoż w końcu października 1806 roku wkroczyły jego przednie strażę w granice nasze do województwa poznańskiego. Wiedział dobrze Napoleon, jakie dyspozycje umysłów znajdzie w tym kraju i dla tego wysłał naprzód generała Dąbrowskiego ze swoją awangardą do Poznania z poleceniem, aby tam, stosownie do danych mu instrukcyi i upoważnień, przy pomocy przednich strażę, które już wszelkie miejscowe przeszkody uprzętnęły, zapowiedział rychłe przybycie cesarza na czele zwycięskiego wojska, ogłosił powszechne powstanie Polski i wezwał wszystkich dawnych wojskowych do stawienia się w głównej kwaterze w Poznaniu. Sama tylko niemożność, pochodząca z wieku, stanu zdrowia, lub niepodobieństwa wymknięcia się z pod baczących strażę wojsk nieprzyjacielskich, zajmujących jeszcze cały prawie kraj, prócz części Poznańskiego, była wymówką niestawienia się.

Przemoc oręża francuskiego, upokorzenie całego kontynentu, prócz reszty Północy, — wszystkie te uwagi nie dały znikającym wątpić o przyszłej pomyślności i nadzieje zamieniły w pewność. Uwagi te wszakże były niepotrzebne: wrzała w sercach polskich pamięć niepodległości i żądza onej; dość było sposobności. Poświęcenie bez granic stało się pwszechnem. Spokojni obywatele i dawni wojskowi cisnęli się wszyscy do generała Dą-

browskiego, ułatwiając mu śpieszną formację siły zbrojnej narodowej.

Kiedy tak się poczynało w Poznaniu, pruskie i rossyjskie wojska, cofnąwszy się ku Warszawie, zajmowały forpocztami brzegi Bzury aż po Sochaczew, i pilnie strzegły wszelkiej komunikacji z Wielkopolską, grożąc śmiercią, wrazie ujęcia, tym, którzy-by z Warszawy do nowoformujących się wojsk dostać się usiłowali.

Ja bawiłem wówczas w Warszawie i żyłem w ścisłym związku z Aleksandrem Pocijem, Tadeuszem Tyszkiewiczem, Downarowiczem, oficerem z legionów, Wasilewskim, także legionistą, wyglądając pory połączenia się z naszymi, skoro o zwycięstwach pod Jena i Auerstädt wieści nas doszły. Wtem generał Dąbrowski, przybywszy do Poznania, zaczął działanie swoje od proklamacyi do wszystkich Polaków, jak wyżej powiedziano. Mimo wszelkie ostrożności straży przednich i policyi, proklamacya ta, lotem ptaka, wpadła do stolicy. Downarowicz pierwszy ją wynalazł i ranka jednego, kiedyśmy na zwyczajną radę naszą zebrali się u Pocija, rozłożył ją przed nami. Zostawiam czytelnikom do domyslenia się, jakie było nasze zdziwienie i radość. Wynikło z rady, że jeden z nas ma się jak najrychlej dostać do generała Dąbrowskiego, dać mu wiadomość o dyspozycyi umysłów polskich i razem o stanie i położeniu wojsk nieprzyjacielskich, zajmujących stolicę z okolicami. Rzuciliśmy okiem po sobie. Ja byłem najmocniejszy, najzdolniejszy przeto do tej trudnej i niebezpiecznej podróży, nadto najlepiej mówiący po francusku i najbardziej obznajomiony z obyczajami Francuzów; prosiłem o pierwszeństwo — zgodzili się. Chodziło tylko o sposób dostania się do Poznania, a szczególnie wymknięcia się z pomiędzy przednich straży prusko-rossyjskich, które wszystkie drogi ku tamtej stronie zajmowały i bacznie patrolowały. Milczenie było powszechne, jakby myśl ta była niepodobieństwem. Wtem odezwał się Pocij: „ja mam żydka zaufanego, który nam da pewno dobrą radę“. Posłano natychmiast po niego. Zwierzyć się mu z całego naszego zamiaru było rzeczą niebezpieczną, — tak myśleliśmy wszyscy, — ale Pocij zaręczył, więc odkryliśmy mu nasz zamiar i pytaliśmy o radę. Po niej jakim namyśle rzekł żydek: „ja odstawię pana, który chce jechać, aż do Łowicza, dokąd już straże rossyjskie, ani pruskie nie sięgają, ale pod warunkiem, że ten pan ściśle zachowa, co mu furman, dany przeze mnie, doradzi“. Tak sekret nasz stał się sekretem kilku żydów; wszelako przystaliśmy na wszystko. W parę godzin stanęła przed nami bryczka, trzema końmi zaprzęzona, młody żydek woźnica, nieco tylko słomy na dnie bryczki dla pozoru wracającego furmana z Warszawy.

Nie namyślając się zatem, wzięwszy tylko czapkę na głowę i trochę złota do kieszeni, pożegnałem moich przyjaciół. Droga prowadziła szczęściem przez gęste lasy. Żydek, postrzegłszy zdaleka patrol kozacki, idący ku nam, kazał mi zeskoczyć z bryczki i skryć się w las, a postępując, zasłonięty, w kierunku drogi, złączyć się z nim, skoro patrol się oddali. I tak pomyślnie się udało. Drugi raz stanął mój furman przy karczynie w lesie dla wytchnięcia koniom; wtem nadszedł wielki patrol kirasyerów pruskich i stanął przed tą karczyną. W tem krytycznem położeniu ledwo miałem czas schronić się za karcznię, gdzie oczekiwałem z biciem serca, co się dalej stanie; za małym ogródkiem był zaraz las gęsty, a zatem w ostatnim razie ucieczka dla mnie. Lecz, dzięki Bogu, dowódca patrolu pogadał tylko z żydkiem, który był bardzo przytomny i doskonale swojej roli pamiętny, wojsko oddaliło się, a my spokojnie dalszą podróż ciągnęliśmy, nie spotykając odtąd nikogo, a żydek wkrótce powińszował mi, że już wszystkie niebezpieczeństwa minąłem. Jakkolwiekby, do miasta Łowicza jeszcze niespokojny wjeżdżałem.

Tam naprzód spotkałem pułkownika Łączyńskiego, który wrócił z legionów i zapewniał mnie, że już tu spokojny być mogę, a uwiadomiony o celu mojej podróży, doradził mi, abym jechał z nim do jego wsi, Kiernozi, skąd obowiązał się odesłać mnie aż do Poznania. Przyjąłem z ukontentowaniem tę propozycję poczciwego Łączyńskiego, zwłaszcza że wielki wrzód na gardle zaczął mi okrutnie dokuczać. Przybywszy do Kiernozi, zastałem tam starego felczera domowego Polaka, i byłem starannie opatrzony, — a nie chcąc tracić czasu, przesilem, aby mię jak najprędzej wyprawiono. Podróż dalsza już nie była niebezpieczna, ale trudniejsza, niż odbyta, gdyż wojska francuskie, postępujące już wszystkiemi drogami (dla złych dróg, zimna i deszczów) zabierały wszędzie konie i wozy pod swoich chorych, nie oszczędzając i podróżnych. Wypadało zatem manowcami się przebierać. W tym celu uradził Łączyński ze swoim starym, że ja pojedę wózkami jednokonnym i że mnie powiezie ten stary felczer, który doskonale znał całą przestrzeń kraju aż do Poznania; był przytem wzgląd i na to, że ja potrzebowałem być opatrywany. Przenocowawszy zatem, ruszyłem z moim woźnicą, przewodnikiem i doktorem w dalszą podróż. Wązkie dróżki, kamieniste i korzeniste, odzywały się na gardle silnym bólem, ale trzeba było wytrwać. Postępując dalej, wypadło nakoniec wyjechać na wielką drogę. Zbliżając się do Sempolna, spotkałem przednią straż. Był to pułk szaserów konnych pułkownika Exelmans. Adjutant pułkowy, rozstawiający wedety poprzedzające miastem, przybiegł do mnie, a wypytawszy, bardzo grzecznie mnie pożegnał, przwdając mi szasera do przeprowadzenia do pułkow-

nika. Tam byłem uprzejmie przyjęty; wypytywał się pułkownik o wszystko, co go interesować mogło, potem zaprosił na obiad, a doktorowi pułkowemu kazał mnie opatrzyć. Dał mi wreszcie list do marszałka Davoust w Poznaniu, radząc, abym się zaraz do niego udał, i że w sztabie jego będę korzystnie umieszczony. Przenocowawszy w małej jakiejś izdebce w towarzystwie piętnastu szaserów, którzy mi całą noc oka zmrużyć nie dali, wyjechałem równo z dniem dalej. Z trudnością przebyłem tę resztę drogi, rozmijając się z wojskiem, parkami, bagażami etc. pod zasłoną mojego listu i stanąłem w Poznaniu około 11-ej rano, prosto przed kwaterą generała Dąbrowskiego.

Uszczęśliwiony byłem serdecznym przyjęciem generała; pomny na dawną przyjaźń z bracią moimi w Warszawie, oświadczył mi zaraz, że zostanę przy nim. Gdy mu powiedziałem, że mam list do marszałka Davoust, kazał mi go sobie podać, mówiąc, że go sam wręczy, ale dodał, że ma za złe młodzieży, lepiej wychowanej, że się ciśnie do sztabów francuskich wtenczas, kiedy formujące się wojsko polskie potrzebuje jej właśnie. Wiedziałem, co stąd wyniknie, że ani mój list nie dojdzie marszałka, ani ja go widzieć nie będę — i tak się stało. Generał, wiedząc, że byłem majorem w jeździe z nominacji naczelnika Kościuszki w 1794 roku, przedstawił mnie Napoleonowi na szefa szwadronu, adjutanta swojego. Otrzymał nominację natychmiast i od 20 grudnia 1806 roku zostałem adjutantem przy jego boku <sup>1)</sup>. Wystawić sobie trudno, jak wielką czynność piśmienną dzieliliśmy ze starszym adjutantem, Pakoszem: korespondencye, rozkazy, raporta zajmowały nam dzień i noc prawie.

Formacya wojska postępowała śpiesznie: jeńce pruscy, Polacy, byli wielkim dla nas zasiłkiem; mieliśmy między nimi podoficerów już wyćwiczonych i większą część oficerów; wszyscy tak chętnie szli do tej służby ojczystej, jak byli nieprzychylni, a przynajmniej obojętni w dawnej obcej służbie. Oficerowie wyżsi z legionów, którzy przybyli z doświadczeniem i znajomością nowych urządzeń służbowych francuskich, mieli sobie powierzony kierunek organuizacji szczegółowej i instrukcyę pułków formujących się. Sierawski, Downarowicz, Wasilewski byli najgorliwsi. Nadto, wraz z przybyciem Napoleona, uformowano gwardyę honorową z dwudziestu (?) młodych ludzi pierwszych familii dla pełnienia służby przy jego boku. Dowódczą onej był Jan Nepomucen Umiński. Po wyjeździe cesarza z Poznania gwardya ta była rozpuszczona i w większej części umieszczona na oficerów w jeździe formującej się.

---

<sup>1)</sup> P. annex.

Napoleon, mając na widoku, aby znakomitsi obywatele wielkopolscy wciągnięci byli osobiście w to ogólne powstanie, lub (jak mówili niektórzy) kompromitowanie się, nominował pułkownikami czterech formujących się pułków piechoty: ks. Sułkowskiego z Rydzyny, Łąckiego, Mielżyńskiego z Pawłowic i Ponińskiego z Wrześni. Ci nowi pułkownicy objęli dowództwo pułków porządkiem, jak tu wypisani. Młodzi ludzie, bez doświadczenia i zupełnie obcy temu zawodowi, obowiązek tylko mieli, aby każdy, ile możności, przyczynił się swoim funduszem do formacyi pułku. Wiadomo, jak świetnie usprawiedliwili ten nawiasowy wybór ks. Sułkowski i Mielżyński. Pułkownik Poniński dzielił trudy i niebezpieczeństwa swojego pułku aż do pokoju Tylżyckiego; Łącki tylko sam osądził się niezdolnym i pułku nigdy nie widział. Pułkowników z legionów: Axamitowskiego i Kosińskiego nominował Napoleon generałami brygady, poczem oni objęli dowództwo brygad, składających legię Dąbrowskiego. Kosiński był zaraz wysłany przez Dąbrowskiego do Bydgoszczy dla organizowania wojska tam i w okolicy.

Rozpoczęta przez generała Dąbrowskiego organizacya w Poznaniu była już prawie dokonana ku końcowi grudnia. Dywizya jego (którą wówczas nazywano legią) składała się z czterech pułków piechoty, zajmujących stanowiska w Lesznie, Zdunach, Pawłowicach i Rawiczu, oprócz mniejszych przybranych miasteczek. Każdy pułk składał się z dwóch batalionów, każdy batalion z sześciu kompanii, z których dwie wyborowe, — jedna grenadyerów, druga wołyżerów, cztery środkowe — fizylierów. Kompanie były znaczne: po 150 samych żołnierzy. Ubiór prawie kompletny: kurtka narodowa z abszlegami; płaszcze, lubo różnokolorowe, mieli wszyscy, niemniej bieliznę i obuwie. Nie było tylko ani patrontaszy, ani tornistrów; torby płócienne zastępowały miejsce tornistrów, ale, nie chroniąc od wilgoci, nie wielką oddawały usługę; ładunki zaś, których każdy żołnierz miał po kilka ledwo, mieściły się po kieszeniach kurtki. Ale doświadczony generał Dąbrowski umiał wzniecić zapał w piersi każdego żołnierza i takie zaufanie w bagnecie, że wszyscy dość mało dbali o resztę.

Prócz piechoty, uformowały się też zawiązki dwóch pułków jazdy: jeden staraniem Sokolnickiego, zwanego „krzykaczem“, majątnego starego człowieka, w mieście Kościanie, a drugi Garczyńskiego we Wschowie. Sokolnicki, uformowawszy oddział mniej więcej 180 koni, ustąpił go Janowi Umińskiemu, oddział zaś Garczyńskiego przyprowadził już ku Gdańskowi do M.... (?) kapitan Cielecki.

Napoleon, kazawszy wzmocnić dywizyę jedną baterią artyleryi polowej francuskiej pod dowództwem porucznika Charles, przysłał rozkaz generałowi Dąbrowskiemu, aby ze swoim całem wojskiem

ciągnął niezwłocznie przez Bydgoszcz, Świeć, ku Gdańskowi, i rozpoczął działanie na lewym brzegu Wisły. Generał wyprawił dywizję w kierunku nakazanym, a sam udał się do Warszawy. Pakosz i ja towarzyszyliśmy mu.

Pochód dywizyi był przykry; mrozy, czasem śniegi, to znów błota kujawskie utrudniały marsze, ale zapał wszystko zwyciężał ochotczo. Było to w pierwszej połowie stycznia 1807 roku. Generał, załatwiwszy się w Warszawie, wrócił do swego wojska, i kiedy ono przyciągnęło pod Bydgoszcz, przybył do tego miasta. Tu znaleźliśmy kompanię piechoty już uorganizowaną i ubraną kompletnie. Lecz pułk ułanów, formowany tam przez pułkownika Dziewanowskiego i jego kosztem, choć dotąd miał tylko dwie, i to niekompletne kompanie, był najważniejszym posiłkiem dla dywizyi. Oddział ten tworzył się z rozproszonego pułku pruskiego, zwanego pułkiem Towarzyszów, składającego się z samej szlachty, zwabionej do służby tem tak mile brzmiącym nazwaniem w uszach Polaka. Mimo nader małej liczby (gdyż w początkach tylko 80 koni liczyły) dwie te kompanie, połączone z postępującem wojskiem, stały się postrachem jazdy nieprzyjacielskiej. Męstwo nieustraszone, zręczność w walce, znajomość służby garnizonowej i polowej, ożywione zapałem serc szlachejnych, odznaczały tych bohaterów. Przez jakąś wzniosłą zuchwałość ci pruscy niegdyś Towarzysze nie chcieli zdjąć swoich przeszłych mundurów, lubo wiedzieli, jaki każdego z nich los czeka, gdyby był ujęty, — a to dla tego, aby nieprzyjaciel wiedział, z kim walczy. Do dawnych swoich szako dodali tylko końskie ogony dla ustrojenia kasków. Na czele tych kompanii stanęli niezrównani oficerowie: kapitan Łojewski i porucznik Radoszkowski, obydwaj z tegoż dawnego pułku.

Za przybyciem generała do Bydgoszczy, pułkownik Dziewanowski posunął się ze swoją jazdą i kompanią piechoty ku Świeciowi, formując tym sposobem przednią straż wojska. Już tu wzwiady, przechodzące Czarnąwodę (Schwarzwasser), rzekę, płynącą pod Świeciem, i patrolujące ku Grudziądzowi, zaczęły spotykać patrole nieprzyjacielskie i rozpoczęły się utarczki małych oddziałów prawie zawsze z korzyścią naszych. Generał Dąbrowski, dawszy spocząć wojsku w Bydgoszczy dni parę, wyruszył do Świecia, rozkazawszy przedniej straży posuwać się naprzód do Nowiu (Neuenburg), wysyłając dla wiadomości i bezpieczeństwa małe oddziały w prawo, wzdłuż Wisły, i w lewo, w głąb kraju.

Tak postępując wśród częstych mało znaczących utarczek patrolowych, dywizya stanęła w końcu stycznia w Nowiu, a przednia straż posunęła się do Gniewu (Mewe), dokąd rychło i dywizya pośpieszyła. Od tego punktu postępowanie naprzód było wolniejsze. Zbliżano się

już do twierdzy Gdańska, której dowódzca, generał Kalkreuth, mając 17,000 załogi, wysyłał częste i mocne oddziały na wszystkie trakty. W kierunku ku Gdańskowi, o dwie i pół mili od twierdzy, jest miasteczko Tczew (Dirschau), położone bardzo korzystnie i zdolne uporczywej obrony. Generał Dąbrowski osądził ten punkt ważnym i wzięcie onego niezbędnem dla zabezpieczenia postępu ku Gdańskowi. Przednia straż otrzymała przeto rozkaz zajęcia i uskuteczniła to bez wielkiej trudności. Prusacy jeszcze nie byli osadzili tego położenia dostateczną załogą, co dopiero później uczynili, jak następnie zobaczymy. Część przedniej straży, to jest szwadron Umińskiego i kompania Gołaszewskiego, zajęły Tczew, a w tymże czasie kompania piechoty Bystrama zajęła miasteczko Starogród (Stargardt). Twierdza Gdańska podwajała baczność, wysyłając znaczne siły, które wstrzymywały postępowanie naszej przedniej straży; walczone jednak vario Marte mimo szczupłości naszych.

W Tczewie szef szwadronu, Umiński, uwiadomiony przez mieszkańców, że oddział nieprzyjacielski, złożony z różnej broni, znajduje się w Amt Sobbau (?), o milę od Tczewa, na pół drogi do Starogrodu, wysłał tam kapitana Suchorzewskiego z kompanią swego szwadronu, i dodał mu Gołaszewskiego ze strzelcami pieszymi, których, dla pośpiechu, wieziono na saniach. Kapitan (później generał) Suchorzewski, służąc kiedyś w legionach, mimo wielkiej młodości, nie był bez doświadczenia: spokojne i rozważne dyspozycye, niezachwiane w żadnym razie męstwo, zawsze go odznaczały. Spełnił to poruczenie: wpadł do Amtn, zabrał kilku jeźdźców nieprzyjacielskich i odbił kilku naszych jeńców, ale oddziału, o którym była mowa, już w Amcie nie zastał, powziął tylko wiadomość, że się udał nagle do Starogrodu dla napadnięcia tam kompanii Bystrama. Wkrótce potem nadeszła wiadomość, że nieprzyjaciel dokonał swego zamiaru i że rozbrojoną kompanię Bystrama uprowadził ku Gdańskowi. Kiedy się to stało, przybył do Starogrodu pułkownik Dziewanowski ze swoją jazdą. Gonić za nieprzyjacielem było pierwszą myślą, lecz uwaga, że już za późno, a twierdza blisko, skłoniła pułkownika do wrócenia z całym wojskiem do Tczewa. Lecz w marszu, o pół mili od tego miasta, postrzeżono ten cały oddział nieprzyjacielski z zabraną naszą kompanią, ciągnący przez pola ku wielkiemu traktowi Gdańskiemu. Nie namyślając się, porwał pułkownik swoją jazdę i ruszył ku niemu. Nieprzyjaciel, zagrożony tym gwałtownym ruchem, zatrzymał się i uszykował do boju, a dla przedłużenia swojej linii, postawił w niej naszą zabraną kompanię. Nie dać się rozpatrzyć nieprzyjacielowi, rzucić się zapamiętale na niego, zmusić go do złożenia broni, było czynem jednego momentu dla Dziewanowskiego, który namyślać się nie lubił.



Dwie kompanie piechoty, kilkadziesiąt jeźdźców (gdyż reszta jazdy pierzchnęła) i dwa lekkie działa dostały się w ręce zwycięzcy, — ale co jego tryumf chlubniejszym i miłszym wojsku czywiło — to odbicie własnej utraconej kompanii w zupełnej całości. Siła nasza, która tego dokonała, nie dochodziła stu jeźdźców, licząc w to i oficerów,

To pomyślnie zdarzenie sprawiło najpożądanwszy skutek na moralność naszego nowego żołnierza, ale obok tego wznieciło w pułkowniku Dziewanowskim taką przesadną zarozumiałość i taką pogardę nieprzyjaciela, że wszelkich zaniechał ostrożności. I tak, zamiast odesłać spieszenie jeńców i zboczyć do głównej kwatery do Gniewu, niepomny na bliskość twierdzy, wrócił ze wszyskiem do Tczewa, a rozkazawszy jeńcom broń złożyć i zostawić w kozłach na rynku (przez niepojętą niebaczność!) kazał wszystkich wraz z własną odbitą kompanią umieścić w ratuszu, wojsku zaś swojemu rozkwaterować się po mieście, jak n najwygodniej, bez wszelkiej ostrożności, prócz małej placówki, wystawionej tuż przy bramie na drodze ku twierdzy. Zarozumienie, ta najzgubniejsza bojowników przywara, doszło w Dziewanowskim do tego stopnia, iż gdy go, wśród tego nieporządnego spoczynku, przychylny nam wieśniak ostrzegał, że od Gdańska idzie wielka siła, odpowiedział mu: „Ja czekam tych... niech przyjdą!“ — i żadnej nie przedsięwziął ostrożności. Jakoż w rzeczy samej marszałek Kalkreuth, uwiadomiony zepewne przez szpiegów o naszym nieładzie, wysłał spieszenie parę batalionów piechoty z kilku szwadronami jazdy, które, nie spotykając żadnych wzwiadów, cicho i nagle zbliżyły się pod same miasto. I dopiero kiedy placówka zaczęła się ucierać z pruskimi flankierami, zatrąbiono na alarm, ale po czasie. Żadna rozsądna dyspozycya miejsca już mieć nie mogła. Konie rozsiodłane, ludzie porozbierani zrywali się, jak w gorączce. Ci, którym się udało prędzej wyskoczyć, biegli pojedynczo ku nieprzyjacielowi. Kapitan Gołaszewski stanął z częstką strzelców przed bramą pod wiatrakiem, kapitan Suchorzewski, zebrawszy kilkunastu jeźdźców, ruszył także naprzód; reszta w największym nieładzie uchodziła w tył za miasto i formowała się, jak mogła. Tymczasem zapomnieni jeńcy, postrzęgliszy to zamieszanie, z otwartych drzwi niestrzeżonych wybiegli na rynek i znaleźli tam zostawioną broń swoją i lederwerki. To zdarzenie pozbawiło ostatki możności zebrania rozproszonych po domach żołnierzy. Nieprzyjaciel z przeważnemi siłami wszedł do miasta. — Gołaszewski, który z rozpaczą bronił bramy, poległ bohaterską śmiercią ze wszystkimi swoimi strzelcami na swoim stanowisku. Suchorzewski, który go wspierał, utracił połowę swojego oddziałku, zmuszony był do odwrotu, który po za miastem uskutecznił i połączył się z resztą. Cofano się ku Gniewowi, już porządnie i z należytymi ostroż-

nościami. Między tymi, których Prusacy w kwaterach ujęli, znajdował się szef szwadronu, Umiński.

Tak pomyślnie zaczęty dzień skończył się smutnym wieczorem; strata całej zdobyczy dzisiejszego ranku i kompanii Bystrama napowrót—były skutkiem tej porażki. Co do liczby utraciliśmy nie wiele, ale całe wojsko nie przestało żałować Gołaszewskiego, młodzieńca największych nadziei, tak dalece, że więcej opłakiwano stratę jego, jak całą kompanię Bystrama.

Obecnem mi jest zmartwienie generała Dąbrowskiego z odebranej wieczornej wiadomości; czuł on, że to zdarzenie, mało działające na umysły starego wojska, wielkie zrobi wrażenie na naszym młodym i niedoświadczonym żołnierzu. Chąc dać przeto czas do ochłonięcia z tego pierwszego wrażenia, a razem usunąć się z położenia, w którym przez osmielonego nieprzyjaciela przeważnemi siłami mógł być napađnięty, cofnął się z całym wojskiem o mil kilka w tył, oddalając się nieco od Wisły,—w leśne i trudnego przystępu strony. W tem stanowisku zatrzymał się generał dni parę, oczekując wiadomości od wojska, które pod dowództwem gen. Ménard'a ciągnęło z Niemiec i przeznaczone było do działania pod rozkazami Dąbrowskiego.—Wojsko to składało się z „legii północnej“ (o której wyżej była mowa), mocnej 3 do 4 tysięcy starych i wyćwiczonych żołnierzy, z samych Polaków z pruskiej służby złożonej, i brygady wojska Badeńskiego. Generał Dąbrowski nadał temu wojsku kierunek taki, aby zajęło stanowisko na drodze między Tczewem a Gdańskiem i tym sposobem zabezpieczało od strony twierdzy atak na Tczew, który został polecony gen. Dąbrowskiemu rozkazem marszałka Lefebvre, dowódcy korpusu. Po tem urządzeniu i porozumieniu się z generałem Ménard, ruszyliśmy naprzód do Gniewu, a następnego dnia 22-go lutego, stanęliśmy w Amt Sobbau o milę od Tczewa. Chcąc utaić ten pochód, przednie strażę miały rozkaz przecięcia komunikacyi z tem miastem, nie puszczając nikogo ani tam, ani napowrót. — Przypadek wszakże wyjawil nasze zamiary zagrożonemu miastu: w Amt Sobbau, gdzieśmy się na noc zatrzymali, zapaliła się stodoła, w której ja właśnie z całym sztabem generała nocowałem. Zdaje się, że ten ogień był podłożony przez dzierżawcę Amtu, Francuza, najzawziętszego nieprzyjaciela Francuzów. Całą noc pracowaliśmy około ugaszenia pożaru, a bliskość Prusaków kazała nam być ostrożnymi. Niewyspani zatem ruszyliśmy równo ze dniem pod miasto.

Położenie Tczewa jest mocne: na wysokim brzegu nad Wisłą, otoczone szerokimi parowami, opasane dokoła starym murem z basztami, krzyżackim jeszcze podobno, przystępne tylko jedną drogą od ładu, wzdłuż której ciągnie się przedmieście. Spędziwszy zewsząd

nieprzyjaciela do murów miejskich, rozkazał generał postępować ową ulicą ku bramie, której broniła baszta osadzona strzelcami, oddział piechoty na dole i dwie armaty. Ruszyło zatem naprzód parę naszych armat na tę ulicę i tak skutecznie podziałało, że brama została wybita, działa przewrócone. Nie bardzo się chciało naszym świeżym ludziom iść do szturm. Ks. Sułkowski z majorem Moraczewskim stali na czele batalionu zwiniętego w kolumnę za domami i nie zdołali zmusić kolumny do rzucenia się na bramę. Ja przybiegłem i naprzóno zachęcałem; w tem postrzegłem, że batalion badeński zabierał się do ataku—zawołałem więc do wahających się żołnierzy: „Cóż, dacie się uprzędzić tym Niemcom?!“ Ta apostrofa taki wywarła skutek, że cały batalion ruszył natychmiast mimo gradu kul i wparł się do bramy. Warta jej cofnęła się do miasta. Zastaliśmy tylko jednego oficera, który ze szpadą w ręku czekał nieustraszony! Zawołałem, aby mi oddał broń; odpowiedział z pewną determinacją: „nie będę—ż krzywdzony?“ Zapewniłem go, a wtenczas oddał mi szpadę i odesłałem go pod opieką podoficera do generała Dąbrowskiego.

Kiedy czoło naszej kolumny już weszło na rynek, znaleźliśmy tam uszykowany garnizon, a szef batalionu, Hauke, przybyły z legionów i pełniący służbę szefa sztabu przy gen. Dąbrowskim, zawołał na dowodzącego, aby się poddał. Nie robiono żadnej trudności: żołnierze złożyli broń i oddali się w niewolę. Oficerom przydano eskortę i z wielkimi względami odprowadzono do generała Dąbrowskiego. Ustanowiono komendanta w mieście i załogę, reszta wróciła do obozu. Tak się zakończył ten dzień 23 lutego 1807. Kilkaset jeńców, kilka sztuk dział (nie licząc tego, co zabrała legia północna pod Milb, odpierając oddział jazdy, idący na pomoc Tczewowi) i mocne położenie—były korzyścią onego.

Utraciliśmy w tej walce kilku oficerów i kilkudziesięciu żołnierzy. Między rannymi był sam dowódzca gen. Dąbrowski, który odjechał zaraz do Gniewa, zostawiwszy dowództwo generałowi Kosińskiemu. Zabrał też z sobą syna swojego, któremu kula armatnia urwała koniec łokcia. Odjechał z nim razem Hauke i Pakosz, a Hurting<sup>1)</sup>, kapitan od artylerji, Szembek, kapitan ze sztabu, i ja, wraz z kilku młodymi ludźmi z dawnego sztabu, zostaliśmy przy nowym dowódcy. Mnie powierzono obowiązek szefa sztabu w nieobecności Haukego. Po skończonej pracy dnia tego, rzuciłem się na słomę i zasnąłem.—Wtem wszedł gen. Kosiński, obudził mnie i, oddając szpadę pruskiego oficera, który mi ją wręczył w bramie, oświadczył imie-

<sup>1)</sup> Zapewne Józef Hurtyg.

niem generała Dąbrowskiego, że ona do mnie należy, jako trofeum tej bitwy, której pomysłny skutek przypisywał mojej gorliwej czynności.

Wypocząwszy dni parę, ruszyliśmy pod Gdańsk, który już zewsząd był ściskany. Generał Ménard z legią północną i badeńskim wojskiem odebrał rozkaz zajmując wsie naprzeciw prawego (?) fortyfikacji twierdzy, a my naprzeciw lewego t. j. naprzeciw Bischosbergu. Nasza kwatera była w Wannenbergu, a generała Ménard'a w Oliwie.

Nie będę opisywał oblężenia Gdańska. Tyle dzieł dokładnych uczyniło temu zadość, a mianowicie „Précis des événements militaires par le C-te Mathias Dumas“<sup>1)</sup>. Wreszcie wcale nie mam pretensyi pisania tu historii wojen, do których należałem, zawieram się tylko w małym zakresie tyjących się mnie, działań i rzeczy, których byłem naocznym świadkiem i współdziałającym.

Po niejakiem czasie marszałek zezwolił na naleganie naszego niespokojnego gen. Kosińskiego i z nieukontentowaniem szefa sztabu jego (tj. marszałka Lefebvre), generała Drouet, na to, abyśmy opanowali przedmieście Stolzenberg. Dokazaliśmy tego, ale nie bez strat, zwłaszcza, że przez pośpiech naszego generała, my tylko sami zostaliśmy pod działaniami twierdzy i wystawieni na ustawiczne wycieczki załogi. Wtenczas dopiero upamiętał się Kosiński i wysłał mnie do marszałka z przełożeniem, że będąc sami tylko wystawieni na codzienne straty z powodu zajęcia przedmieścia, prosi o pozwolenie opuszczenia onego i cofnięcia się na ogólną linię blokady. Marszałek się wahał, ale szef sztabu Drouet wyrzekł. „Nie.—Ponieważ generał napierał się wziąć to przedmieście przeciw uwagom jemu robionym, niechże je teraz trzyma; bliższe ściśnienie twierdzy wkrótce nastąpi“. Z tem zostałem odprawiony.

Jakoż w dni kilka potem wszyscy podstąpili bliżej. Wojsko badeńskie zajęło bez wystrzału przedmieście Szydlic<sup>2)</sup> i zakryło nam lewe skrzydło, a legia północna wzięła Langenfurth. Chociaż zajęcie Szydlic powinno było nas zupełnie zabezpieczyć, strzegąc najdogodniejszego otworu do wycieczek, nie wiele skorzystaliśmy, gdyż Badyński tak się mało strzegł, tak rychło się wynosił przed oddziałami nieprzyjacielskimi, że po razy kilka Prusacy bez wystrzału wpa-

<sup>1)</sup> Paris 1826 r.—Campagnes de 1806 et 1807.—p. tom 4-ty, str. 123—199.

<sup>2)</sup> Scheidlitz.

dali do Szydlic, a Badeny, umykając bez dania znaku, wystawiali nas na klęski.

I tak w dzień wielkiego czwartku (jeśli się nie mylę) silna wycieczka, wpadłszy przez Szydlic z boku na Stolzberg, zabrała nam dwie kompanie piechoty i kilku oficerów, między innymi Dezyderya Chłapowskiego, a widząc wtedy pole otwarte, nieprzyjaciel z wielką siłą zbliżył się do naszych leż. Zerwaliśmy się śpiesznie. Ja, porwawszy konia ułańskiego, z gołą głową pobiegłem naprzód; pułkownik Dziewanowski zbierał swoich jeźdźców; reszta dywizyi wystąpiła. Posłałem do kapitana Charles, aby jaknajprędzej przybywał z baterją artyleryi, a sam, zebrawszy uchodzącą bez ładu piechotę, uszykowałem ją nieco i postąpiłem naprzód. Ten ruch w pomyślnem położeniu wstrzymał zapęd nieprzyjacielski: linie jego stanęły, — a w tem artylerya przybyła do mnie. Wojsko nasze z kantonamentów zaczęło postępować w porządku, a marszałek, dopadłszy sam, stanął na czele batalionu pułku 2-go, dowództwa Downarowicza, zsiadł z konia, a odpiąwszy surdut, odkrył hafty munduru i gwiazdy, kazał dobozom bić szarżę, a znajdując, że nie dosyć żwawo biją, sam bęben porwał i tak przyspieszonym krokiem pędził ku nieprzyjacielowi. Cała linia postępowała śpiesznie; artylerya rozpoczęła ogień w marszu. Nieprzyjaciel zaczął śpiesznie cofać się, ale marszałek tak nagle gonił, że mu odciął dwie kompanie piechoty i wziął w niewolę. Gdyśmy weszli już pod ogień dział twierdzy, marszałek zawołał: — *Montrons leur, que les polonais ne craignent pas le canon!*"

Stanęliśmy pod wałami w przedmieściu. Tam przyjechało do marszałka dwóch oficerów badeńskich. Marszałek, robiąc im wyrzuty braku odwagi i ostrożności, używał wyrazów, których tu powtarzać nie śmiem. Potem, urządziwszy strażę, wróciliśmy na nasze kwatery, a marszałek tak był strudzony, że zajechał do mnie w Wannenburgu, położył się na mojem łóżku i tak kilka godzin spoczywał, kiedy niekiedy przemawiając do mnie z pochwałami o Polakach.

Już też zaczęto ścisłą blokadę twierdzy a dla dokonania tego po drugiej stronie Wisły, przecięcia komunikacyi z Pilawą<sup>1)</sup> i strzeżenia się napaści nieprzyjaciela od tamtej strony, wzmocniono brygadę generała Schramm naszymi dwoma pułkami: 2-gim Downarowicza i 4-ym Ponińskiego.

Wtenczas właśnie przysłano mi nominacyę na drugiego pułkownika (Gros-majora) pułku 4-go i rozkaz abym z nim maszerował za Wisłę. W rzeczy samej, pułkownik Poniński, lubo był zawsze z puł-

---

(<sup>1</sup> Pillau.

kiem, mało się trudził nim i służbą, cała zatem władza i odpowiedzialność dowództwa spadła na mnie.

Tak, dopełniając obwód oblężenia, stanęliśmy na prawym brzegu Wisły: ja w Heubuden, a pułk w okolicach. W ciągu całego oblężenia cztery tylko ważne mieliśmy wypadki: 1-o usypanie reduty na przeciwko cypla wyspy Holm, 2-o obronę tej reduty, 3-o wycieczkę rosyjskiego generała z Weichselmünde i Neufahrwasser i 4-o wzięcie korwety angielskiej „Sans peur“.

Usypanie reduty nad prawym brzegiem Wisły zadziwiło nas wszystkich, mniej doświadczonych takich robót. Las, w którym koczowało całe nasze wojsko, był o kilkaset sążni od rzeki, przedzielony od niej płaszczyną, wystawioną na ogień dział twierdzy Weichselmünde. Wykopano przeto rów komunikacji (boyeau), aż ku rzece i zakończono tę robotę wielką redutą nad samą wodą.—Generał Gardanne przybył wieczorem i rozkazał, aby, skoro się zmierzchnie, całe wojsko było w pogotowiu; nikt z nas ani się domyślał celu tego alarmu. Skoro się ciemno zrobiło, kazano stanąć pod broń piechocie, niewidziane dotąd pontoniery zjawily się i rozdały żołnierzom narzędzia do kopania. Dopiero objawiono, co mamy robić, i pod dyrekcją inżynierów zaczęto. Żołnierz kopał, mając broń na plecach na wypadek napadu. Nim dobrze rozedniało rów szeroki na 6—8 łokci, tak, że zakrywał żołnierza, był skończony, a reduta tak posunięta, że już była schronieniem, lubo niedostatecznem. W dzień, kiedy nieprzyjaciel rozpoznał całe dzieło, okropny wszczęto ogień z Weichselmünde, a jednocześnie silna wycieczka z Gdańska rzuciła się na wojsko będące w reducie. Wycieczka została odparta, a ogień z Weichselmünde, zrobiwszy wielką szkodę w oficerach i żołnierzach, ucichł nareszcie. Straciliśmy tu dwóch kapitanów i kilku młodszych oficerów. Generałowie Gardanne i Schramm byli niewypowiedzianie zadowoleni z wytrzymałości naszego żołnierza. Następnęj nocy dokończono reduty i zrobiono réduit tak wyniosły, że już żadna kula nieprzyjacielska szkodzić nie mogła. To się dzieło około 1-go maja. Tajemnica i szybkość wykonania tego dzieła były podziwienia godne.

Wieczorem dnia 6 maja odebraliśmy rozkaz przesłania naszych grenadyerskich kompanii na lewy brzeg Wisły, wojsku zaś kazano przez całą noc być pod bronią. Generał Gardanne kazał mi objąć komendę w reducie i uwiadomił, że wyspa Holm ma być wzięta tej nocy, że trzeba wielkiej czujności, gdyż nieprzyjaciel będzie zapewne usiłował zrobić dywersję w stronę reduty. Jakoż równo ze dniem wyspa już była wzięta, nieprzyjaciel nic nie przedsięwziął, a strata całego wojska atakującego wynosiła kilku żołnierzy. Wyspa była broniona przez dwa bataliony wojska rosyjskiego. Sam tylko ko-

mendant uszedł i był, jak powiadają, w Gdańsku bardzo źle przyjęty przez swego dowódcę. Niewolnika nie wzięto, wszystko zginęło, ale dostało się nam 16 armat wielkiego kalibru i mnóstwo narzędzi saperskich.

Kamiński, generał rosyjski, który już od niejakiemu czasu przybył morzem w celu odsieczy, a przynajmniej pomocy twierdzy, wahał się długo, nakoniec 15 maja atakował oblegających, usiłując przedrzeć się do twierdzy, ale waleczny odpór i miękkość natarcia sprawiły, że został odparty z wielką stratą; wkrótce potem napowrót się ambarkował i wrócił do Memla. My, Polacy, ponieśliśmy znaczne straty w tym dniu: szef batalionu z 2-go pułku, Parys, dwóch kapitanów i dość znaczna liczba podoficerów i żołnierzy poległa.

Gen. Gardanne, zadowolony sprawowaniem się swojego wojska, zaprosił nas tego dnia na obiad, którego pasztety sam przyrządził. W ciągu obiadu przybył podporucznik saski z drugiej strony Wisły z powinszowaniem generałowi pomyślności bitwy. Generał odpowiedział, że gdyby nie tchórze Saksony, toby wypadek dnia tego był daleko ważniejszy, gdyż nawet dowódca nie byłby nam uszedł.

Mathieu Dumas w swojej relacji powiada, że marszałek Lannes, przybywszy ze swoim oddziałem, wszystko zrobił. Inaczej było w rzeczywistości. Marszałek przybył w swojej osobie i ze sztabem, wojsko zaś jego jeszcze nie doszło, gdy już nieprzyjaciel uchodził. Wtedy Lannes z nienkontentowania sam ze swoimi oficerami szarżował uchodzącego nieprzyjaciela. W tym ataku został raniony szef batalionu, Zienowicz, ze sztabu marszałka. Gen. Gardanne powtarzał, że, gdyby batalion Saksonów spełnił swą powinność, toby wojsko Kamińskiego co do nogi naszych rąk nie uszło.

Dnia 19 maja około południa, kiedyśmy najbezpieczniej w okopach spoczywali, gdyż garnizon Gdańska nie mógł już robić żadnej wycieczki tak był ścieśniony,—ujrzeliśmy prawie pomiędzy nami ogromną budowę, wysokości zadziwiającej. Była to korweta angielska, wszystkimi rozwiniętymi żaglami pędząca z wiatrem naprzeciw wody. Brzeg Wisły, nizki z naszej strony, odsłaniał cały ogrom tej budowy; tak rączo szła wiatrem pędzona, żeśmy ją nagle postrzegli już wśród nas. Zerwać się bez komendy do broni, biedz na brzeg Wisły i strzelać do majtków, którzy manewrowali na pomoście—było czynem jednego momentu. W tej okazji batalion gwardyi paryskiej, który leżał pomiędzy nami, dowiółd największej przytomności i odwagi (nie zadziwiającego, gdyż te grénadyery miejskie były zbiorem wysłużonych, dymisyonowanych żołnierzy z wojska).—Ogień ich był tak rżęsiasty i tak trafny, że w okamgnieniu wszyscy majtkowie byli spędzeni z pomostu, a korweta, zaraz przy brzegu naszym uwięzła na

piasku. Komendant jej wywiesił biały pawilon i kapitulował. Zapewniał nas potem, że nie miał majtków Anglików, tylko nieoswojonych z podobnemi wypadkami Prusaków, że byłby pewnie swoim statkiem mosty pogruchotał, wszystkie przeszkody przebył i stanął w Gdańsku z zasilkami amunicyi i żywności. Dziwiliśmy się nadewszystko żonie kapitana Anglika, która w tak niebezpiecznej wyprawie z największą spokojnością umysłu towarzyszyła mężowi. Gdy wysiedli na brzeg, marszałek Lefèbvre przyjął ich z największemi względami i, podawszy rękę kapitanowej, oddalił się z nimi do swojej kwatery. Francuzi, admirując odwagę kapitana, mówili, że tak hazardownego przedsięwzięcia zdolne były dwa narody: francuski i angielski. Korweta nazywała się „Sans peur“.

Utracona już nadzieja wszelkiego posiłku, wreszcie opanowane stoki (glacis) bastionu Hagelsbergu, ukoronowana skryta droga (chemin couvert), zrobiona grobla przez fossę i bresza blizka końca — skłoniły feldmarszałka Kalkreuth do kapitulowania. — 24 maja układ był podpisany i wojsko pruskie z rossyjskiem zaczęło nazajutrz ustępować z twierdzy przez Na... (?) dla połączenia się ze swoimi. Ponieważ droga prowadziła przez nasze stanowiska, marszałek kazał nam wystąpić jak najparadniej i formować aleję, przez którą garnizon defilował. Feldmarszałek Kalkreuth szedł piechotą; czyniliśmy mu honory, jego stopniowi i waleczności winne; on zaś ze swojej strony, przeglądając nas, oświadczał zadziwienie, że w tak krótkim czasie tak się uformowało wojsko nasze. — Po przejściu feldmarszałka defilował garnizon, bataliony rossyjskie na czele. Z podziwieniem widzieliśmy oficera na czele postępującego, śpiewającego z całego gardła i różne oklaski rękoma i figle wyrabiającego. Dalej Prusacy maszerowali bez śpiewu, dość znękaney postaci; Polacy, będący w ich szeregach, zaczęli się wymykać i chronić się za nasze linie. Generał pruski, prowadzący oddział, wołał o gwałcenie kapitulacyi i dobył pistoletu, chcąc strzelić do uchodzącego; ale kapitan z mojego pułku, Nepomucen Płaszczycki, dopadł do niego i zawołał że, jeżeli się odważy strzelić pomiędzy nasze szeregi, to on nie odpowiada za jego bezpieczeństwo. Generał udał się śpiesznie na czoło swego wojska, a porwawszy dwie swoje kompanie, prowadził je nazad ku naszym liniom w porządku, grożąc, że siłą wymoże na nas wydanie zbiegów. Ja właśnie przybiegłem na to, a ponieważ my staliśmy bardzo szeroko żołnierz od żołnierza, i po jednym szeregu z każdej strony drogi, kazałem jak najspieszniej zebrać kompanię woltżerów, która właśnie stała na skrzydle, a uformowawszy ją, postąpiłem naprzeciw oddziałowi pruskiemu, z którym generał się zbliżał. Gdyśmy stanęli naprzeciw sobie, posłałem adjutanta pułkowego



aby powiedział generałowi, że ja nie jestem zobowiązany robić politykę pruskiemu wojsku, że nie wiem o żadnym kartelu, że zbiegów wydać nie myślę, że jego oddziałowi dalej postępować nie pozwolę, a jeżeli się poważy, że go siłą odeprę. Na to generał, rozmyśliwszy się, kazał swoim kompaniom prawo w tył zrobić i dalej maszerować. Tak się zakończyła scena, z której się zanosilo na kłótnię. My zaś zyskaliśmy kilkuset żołnierzy Polaków od jazdy i piechoty, którzy do nas przeszli.

Skoro załoga ustąpiła zupełnie z twierdzy i ta francuskiem wojskiem osadzona została, Napoleon sam przybył; oglądał roboty oblegających i oblężonych, dekretował gratyfikację dla wojska, z szczególną zaś uwagą lustrował legię północną, zostającą podówczas jako pułk, pod dowództwem Michała księcia Radziwiła, pułkownika świeżo nominowanego; pułk ten odznaczył się nieraz w szczegółowych atakach dzieł twierdzy. Napoleon był przez marszałka korzystnie uprzedzony i dla tego, wszedłszy w ich szeregi, rozmawiał przez tłumacza z żołnierzami, a że byli zbyt obdarci i osmoleni biwakowym dymem, rozkazał pułkowi zostać w Gdańsku, przeznaczył na umundurowanie i oporządzenie onego hojne fundusze, a sam wracał do swojej armii, która stała naprzeciw nieprzyjaciela.

Dywizya generała Dąbrowskiego otrzymała asygnację na gratyfikację i razem rozkaz ruszenia natychmiast do wielkiej armii. Generał Dąbrowski, który, wyleczony z ran, już był wrócił do wojska, zebrał jak najspieszniej rozrzuconą po przykopach dywizję i ruszył na Kwidzynę ku Saalfeld, gdzie wtenczas znajdowała się wielka armia i cesarz. Szło jeszcze o odebranie gratyfikacji dla dywizyi. W tym celu rozkazał mi zostać w Gdańsku, śpieszyć z odebraniem i dogonić dywizję. Udawszy się do naczelnego inspektora, który wydawał asygnacje do kasy, spotkałem tam niemałą trudność, a mianowicie, iż bez listy imiennej podoficerów i żołnierzy każdego pułku dywizyi (dla nich tylko bowiem była przeznaczona gratyfikacja), wizowanej przez generała Gardanne, asygnacja wydana być nie mogła. Nadto listy te powinny były podług wzoru być pisane po francusku.—Mając przy sobie jednego tylko oficera, który nietylko po francusku, ale i po polsku nie biegle pisał, szukałem po mieście pisarza, ale gdy, pomimo wielkiej nagrody ofiarowanej, nie znalazłem żadnego, musiałem sam swoją ręką wszystko pisać. Tu zaszła jeszcze większa trudność: nazwiska podoficerów i żołnierzy całej dywizyi, artyleryi i pościgu. Kłopot ten zwyciężony został śmiałym pomysłem, żeby zachować wiernie ilość, a nazwiska pisać, jakie się nawiną. Była to hazardowna, bo naczelnny inspektor mógł mieć listy imienne od podin-

spektorów,—co się tyczy ilości, tej byłem pewien z raportów sobie powierzonych. Dwa dni i nocę z rzędu pracując, uformowałem nakoniec żądane listy, chociaż już i nazwisk brakło i do powyższych wracać trzeba było. Porucznik Murzynowski zmyślał nazwiska, podczas gdy ja pisałem. Ukończywszy tym sposobem robotę, udałem się do gen. Gardanne, który bez namysłu podpisał, poczem otrzymawszy asygnację, odebrałem sumę w grubej srebrnej monecie; suma była znaczna, gdyż każdy podoficer i żołnierz otrzymał po 12 franków. Z ciężarem takim i bez straży nie łatwo było udać się w drogę pełną dochodzących oddziałów, a co gorsza, maruderów. Dostawszy wreszcie wóz i cztery konie, po wielu trudnościach i niebezpieczeństwach, dogoniłem dywizję pod Heilsbergiem.

Znalazłem wojsko swoje i francuskie znacznie zmniejszone codziennymi bitwami i marszami dzień i noc, bez spoczynku, ani dystrybucyi. Napoleonowi szło o to, aby zmusić uchodzącego nieprzyjaciela do stanowczej bitwy, ale wojsko już ostatniemi dążyło siłami.

13-go czerwca przyszliśmy późno wieczorem pod Preussisch-Eylau. Gen. Dąbrowski otrzymał tam rozkaz do przejścia przez to miasto i maszerowania ku Domnau. Mimońniewypowiedzianego znużenia dywizyi, skuteczniliśmy ten pochód, przechodząc w mieście popod oknami cesarza w porządku i cichości, aby nie przerwać jego spoczynku. Przybywszy do Domnau, stanęliśmy na piaskach, a głodni i zmęczeni żołnierze upadli śpiący, każdy w swoim miejscu. Rychło i dzień się zrobił i zamiast jakiegokolwiek spoczynku, zawołano dowódców pułków do gen. Dąbrowskiego, którego już znaleźliśmy ubranego starannie, przy szarfie. Rzekł do nas:

— „Nieprzyjaciel jest z całą siłą o 1½ mili stąd. Cesarz się spodziewa, że bitwę przyjmie tym razem; wojska już ciągną śpiesznie; honor i widoki dalsze każą nam być uczestnikami tej bitwy. Budźcie więc wasze pułki i każdy niech śpieszy, aby wstąpił w szeregi ciągnącej armii, nie zważając na miejsce.“

Generał przewidywał, że będziemy mieli wielką trudność w podniesieniu żołnierza przywalonego snem i trudem — i dla tego rozkaz jego miał cechę dowolności. W rzeczy samej napróżno wołaliśmy, napróżno oficerowie francuscy biegając wołali, że cesarz będzie wszystko oglądał,—niewiele to pomagało. Ja, udając się do pierwszego swojego grenadyera, Jabłonowskiego, wezwałem go, aby zawołał na swoją kompanię. Ten stanąwszy z bronią przed frontem, wykrzyknął swym tubalnym głosem:

— „A cóż to, kiedy wszyscy bić się mają, to wy, bestye, spać będziecie?!“

Ten głos żołnierza dokazał, czego wszystkich oficerów usiłowania dokazać nie mogły: wszystko się zerwało, uszykowało do broni i, jakby najlepiej wyczęte, żwawym krokiem wstąpiło w kolumny ciągnącego wojska.

Maszerowano żywo i niebawem wystrzały armatnie słyszeć się dały: czoło naszego korpusu, to jest marszałek Mortier, już stanęło wobec nieprzyjaciela. — Pułk jazdy dywizyi Dąbrowskiego pod dowództwem pułkownika Turno otrzymał rozkaz gwałtownego natarcia na strzelców nieprzyjacielskich, licznie rozsypanych po zbożu przed frontem naszej linii. Pułkownik Turno, chętny i odważny, ale nie-doświadczony, miał biegłego doradcę, gros-majora, Konopkę, legionistę. Za jego radą urządziwszy atak, Turno z takim impetem wpadł na owych strzelców, że wszystkie zboża oczyścił i dał linii głównej spokojnie formować się.

Gdy już cały korpus się uszykował około 9-ej rano, staliśmy przecie do 4-ej po południu. Nieprzyjaciel, stojąc z całą siłą na tej stronie Alle, rzeki pod Friedland, lubo mógł nas zaraz rozbić swojemi przeważnemi siłami, stał przecie spokojnie, przestając na posłaniu do nas kiedy nie kiedy kuli lub granata działowego. — Napoleon, profityjąc z nieczynności nieprzyjaciela, kazał innym korpusom przyspieszyć kroku, a szczególnie Lannes'a i Ney'a, i te w ściśniętych kolumnach skupił na naszym prawem skrzydle. Gdy tak bez przeszkody wszystkie swoje dyspozycje ujrzał uskutecznione (była już 4-ta po południu), zwołał do siebie marszałków i wskazując im miasto Friedland za środkiem kolumn nieprzyjacielskich, rzekł, pewien zwycięstwa:

— *Voilà où il faut marcher*“.

A tymczasem rozkazał artylerji ruszyć cwałem z 60 działami, zbliżyć się na mały strzał i pozpocząć ogień. Do marszałków zaś razem wyrzekł:

— „Partez!“

Łatwo się domyślać, co za wrażenie zrobił w wojsku nieprzyjacielskiem ten nagły ruch, w wojsku, które stało ścieśnione we wklęsłym kolanie, utworzonym przez rzekę Alle i staw z młynem, nie mogącym, ani się rozwinąć, ani posunąć naprzód. Okropny ogień artylerji francuskiej, bijąc w piechotę, jazdę, artylerję, stłoczoną prawie bezładu na ograniczonej przestrzeni, straszliwe robił spustoszenia, a piechota, dopadłszy, dokonała nieładu. Tu już postrzeegliśmy nieprzyjaciela zmieszanego i uchodzącego w nieporządku. Most jeden przez Allę do miasta nie był dostatecznym otworem dla wojska, które w odmgęcie, wszystkie bronie razem, cisnęło się w tył. Pędzony morderczym ogniem, nieprzyjaciel nie zważał już na stromy brzeg rzeki:

rzucalo się wszystko, gdzie mogło, i ginęło, wraz z końmi i działami w nurtach nie szerokiej, ale głębokiej wody.

Korpus 8-my był tylko świadkiem tego jednochwilowego zwycięstwa. Dywizya Dąbrowskiego otrzymała tylko wśród samej wrzawy rozkaz, aby przepuścić pomiędzy swojemi lukami dywizyę dragonów i iść frontem za nią tak, aby w przypadku odparcia dragonów, oni się cofnęli za nas, a dywizya Dąbrowskiego natychmiast uderzyła z bagnetem w rękę na opierającego się nieprzyjaciela. Ta dyspozycja stała się zbytęzną, gdyż ani dragoni, ani dywizya Dąbrowskiego nie miały już sposobności przyjścia do boju, tak śpiesznie nieprzyjaciel był zniesiony.—Mnóstwo niewolnika, dział, chorągwi było korzyścią tego zwycięstwa, dnia 14 czerwca 1807 pod Friedland odniesionego.

Stojąc od rana pod ogniem armatnim, lubo mało szkodzącym, miała dywizya Dąbrowskiego straty kilkunastu ludzi, a na czele rannych był sam gen. Dąbrowski urywkim od granatu lekko skaleczony. Nocowaliśmy na pobojuwisku, a nazajutrz rano cesarz objeżdżał wszystkie pułki. Zwycięzca był godnie powitany przez szczęśliwe wojsko.

Poczem z wyborem wojska cesarz pomaszerował ku Niemnowi, a wojskom bardziej znużonym kazał zająć pobliskie Friedlandu stanowisko dla wypoczynku. Dywizya Dąbrowskiego zajęła miejsce w zamku Kloschen, zaraz na drugiej stronie Alli, patrząc na pobojuwisko. Zamożne państwo dostarczyło dostatek żywności, a żołnierz mógł po raz pierwszy od przeszłej jesieni wypocząć i oczyścić się.—Oddawszy noc spoczynkowi, a cały następujący ranek ochędóstwu, po obiedzie uczuliśmy potrzebę świeżego powietrza, którem jednak ciągle żyliśmy. Wyszło więc wszystko nad brzegi Alli, pierwszy raz oddawna swobodnym przechodząc się krokiem. Widok pobojuwiska okrytego trupem, potrzaskanemi wozami itd., nie czynił na nas odrażającego wrażenia; dzikość nabrana w długiej wojnie przez ciągłe własne cierpienia i niebezpieczeństwa przytłumia uczucie litości w sercu żołnierza. Rzeka zawałona była, jak i pobojuwisko; wśród niej świeciły się działa na dnie. Nie mającym nic do roboty żołnierzom kazałem dobywać zatopione działa; z wielką pracą wydobyto sztuk sześć, które zostały własnością dywizyi. Generał Dąbrowski kazał na nich wryć, kiedy i gdzie były zdobyte.

W kilka dni odebraliśmy rozkaz postępowania z wielką armią, ale skoro się rozpoczęły negocjacje w Tylży, rozesłano nas szeroko po Prusiech. Zajęliśmy miasta: Goldap, gdzie była kwatera generała Dąbrowskiego, Oleck, Rastenburg i Lyck, gdzie stanąłem ze swoim pułkiem, wówczas 4-ym piechoty. Tu musieli miejscowi dostar-

czać nam żywności i materyałów do ubioru i oporządkowania. W harmonii z mieszkańcami, używaliśmy obfitości i przyjemnych chwil. W rzeczy samej pouieważ wszelkie dostarczania były kosztem skarbu królewskiego, mieszkańcy mało cierpieli i nie nadużywających wojskowych przyjaźnie przyjmowali.

Tymczasem pokój w Tylży został podpisany, a poseł rossyjski, ks. Kurakin, już jechał do Paryża. Przypadek chciał, aby w czasie, gdy przejeżdżał przez stanowisko pułku 4-go, powóz mu się zepsuł pod samem Lyck. Stosując się do odebranych rozkazów, kazałem mu czynić honory, sam z korpusem oficerów oddałem mu wizytę powitania i kazałem mu dostarczyć wszelkich potrzeb. Ujęty tem obejściem, książę zabawił w Lyck 24 godzin. Długie z nim prowadziłem rozmowy. Między innymi, ubolewał z całą Rossyą, jak powiadał, nad upartą niezdolnością generała Bennigsen.

— „Nous aurions eu,—mówił—il y a six mois la même paix, aux mêmes conditions, mais Bennigsen voulait absolument se mesurer avec le Grand Capitaine et nous a gratifié de la perte de plus de 100,000 hommes, de frais incalculables et par dessus tout de l'humiliation en face de l'Europe“.

Już też wojsko francuskie ciągnęło od Niemna i my otrzymaliśmy rozkaz wracania do kraju. Wszystkie cztery pułki dywizyi Dąbrowskiego dostały każdy osobną marszrutę, tak, aby różnemi drogami ciągnęły ku wyższej Wiśle. Przeworność ta nie była zbyt uczynna, gdyż cały kraj przy Wiśle między Toruniem a Warszawą był zupełnie spustoszony. W niewielu wsiach znaleźliśmy nieco mieszkańców; po większej części były zupełnie opuszczone i ulice wielką trawą zarosłe. Maszerowaliśmy prawie bez żywności i gdybym dziś był zapytany, czem żył żołnierz, nie umiał-bym odpowiedzieć. Aleśmy ciągnęli żwawo i wesoło, gdyż myśl, żeśmy się przyczynili do pokoju i do odzyskania choć części kraju, krzepiła głodnych i strudzonych. Przytem wszyscyśmy żyli nadzieją, że za tak dobrym początkiem pójdzie reszta sama z siebie. Któż wątpił naówczas, że Francya i jej naczelnik są niezwyciężeni, że będą dyktować prawa całemu stałemu łaadowi, że Polska, gorąca i interesowana aliantka Francyi, będzie wzniesiona do przyzwoitej potęgi, że nakoniec nową zaczniemy erę, naszym ramieniem zakreśloną?—O tem byliśmy przekonani.—Później, gdy nowe wypadki nas przewróciły, detraktorowie przeszłości odmawiali nam przeworności, a nawet patriotyzmu; byliśmy, według ich zdania, zaślepieni sławą wielkiego wojownika i jego skinieniom oddani, nie szukaliśmy innych powodów, ani celów. Wielu bohaterów łaawkowych, czyli izbowych, tak utrzymywało, sądząc po dokonanych już klęskach, a nie biorąc ówczesnego stanu rzeczy pod rozwagę.

Maszerując podług rozkazów, trochę głodno, trochę wesoło, zeszła się cała dywizya Dąbrowskiego pod Zakroczymem. Mieszkańcy witali nas serdecznie, a prefekt Płocka, pan Lasocki, przyjął nas, jak mógł najlepiej: pierwszy raz po długiej podróży jedliśmy obiad za stołem. Tu przyszło ostateczne rozrządzenie leż zimowych. Dywizya księcia Poniatowskiego, pełniącego obowiązki ministra wojny, zajęła Warszawę i okolice, generała Zajączka—Kaliskie, a dywizya Dąbrowskiego—Poznańskie. Radosna to była nowina dla naszych żołnierzy, że po znojach wojennych, z niejakim tryumfem wracają do własnych okolic. Ruszyliśmy więc razem całą dywizyą.

W drodze, około Łowicza, zaskoczył nas rozkaz, aby się dywizya wstrzymała: ksiązę Poniatowski, minister wojny, miał jej przegląd robić. — Rzuciliśmy po sobie oczy zadziwienia: pierwszeństwo Dąbrowskiego było zatem zaprzeczone! Sam generał nie mógł ukryć nieukontentowania. Ksiązę przybył, odbył zwyczajny przegląd, przyjął obiad dość posępny i odjechał. Zwiększył jeszcze nieukontentowanie nadesłany wkrótce po lustracyi rozkaz ogólny, obejmujący organizację całego wojska. Dotychczasowy porządek został przewrócony: dywizya księcia Józefa dostała № 1-szy, generała Zajączka № 2-gi, a Dąbrowskiego—№ 3—i numera pułków, ciągle przez wszystkie dywizje, tak się u nas zmieniły, że pułk 1-szy ks. Sułkowskiego dostał № 9-ty, pułk 2-gi Downarowicza — № 10-ty, pułk 3-ci Mielżyńskiego № 11-ty, a 4-ty Ponińskiego—№ 12-ty.—Nasi oficerowie byli zasmuceni; każdy mówił: „Dowódczą naszym jest Dąbrowski; któż zachował imię polskie od zguby?—myśmy się już bili, już się czemś odznaczyli,—tamci nie mają nic do cytowania“. Ale na chlubę dywizyi, a bardziej ducha czasu, stało się, iż rychło miłość dobra powszechnego i dokładne pojęcie uległości i porządku zatarły te niesmaki w dywizyi i pułki bez wstrętu przyjmowały nazwy podług nowej organizacyi.

Za przybyciem na nasze stanowiska witani byliśmy chórem tychże obywateli, którzy się do naszej formacyi przyczynili. Któż wliczy ofiary, jakie obywatele poznańscy robili i robić byli gotowi jak najchętniej. Opłaty pieniężne, dostawa produktów w naturze, przechody i stanowiska ogromnych wojsk, transport—nic ich nie zrażało. Widziałem damy pierwszych familii w Poznaniu, zajmujące parę najlichszych pokoików, a czasem przedpokój we własnym wielkim domu, oddając resztę na kwatery dla marszałków, generałów itd.; ta ofiara zwyczajnych wygód nie frasowała ich. Zgodność chęci i nadziei wszystko ułatwiła. Wymawiają Wielkopolanom chępliwosć — może coś jest w tem prawdy, ale kto ich widział działających, wyzna, że ich chępliwosć jest skromnym tylko wyrazem ich działania.

Pułk 12 przybył już na swoje stanowisko; sztab z 1-ym batalionem stanął w Rawiczu, a 2-gi batalion w Bojanowie, o 2 mile od pierwszego. Skoro się rozlokowałem i wypocząłem, przystąpiłem zaraz do organizowania i uczenia pułku. Nadesłano też z ministerjum wojny wszelkie potrzebne instrukcje i urządzenia. Ponieważ przeznaczeniem naszym było długo jeszcze działać wspólnie z wojskiem francuskim, najlepszej przeto jęto się drogi: przysłano wojsk francuskich regulamin musztry, kodeks administracyi, kodeks karny wojskowy i postępowania sądowego. Składaliśmy dzięki temu pomysłowi, gdyż wątpię, aby można ułożyć coś mędrszego i logiczniejszego stosownie do bieżących okoliczności. Wreszcie już sama jednostajność normalna w całej piechocie zapewniała rychłość jej postępów i harmonię w działaniu.—Na przedstawienie generalnego inspektora piechoty, gen. Fiszera, wódz naczelny i minister wojny, ks. Józef Poniatowski, wydał te wszystkie urządzenia i ściśle do nich stosowanie się surowo zalecił. Inspektor jazdy, gen. Roźniecki, inaczej myślał: zakładał sobie jakieś odmiany i poprawki w ćwiczeniu jazdy, ale nie miał nigdy czasu do przedstawienia ministrowi coś ułożonego w tym względzie. Każdy pułkownik uczył podług swojej myśli lub wedle niezrozumiałych instrukcyi ustnych p. inspektora jazdy. Co się tyczy innych urządzeń, te lubo były i jeździe posłane, nigdy nie weszły w porządne wykonanie, gdyż inspektor wolał stan niepewny, w którym łatwiej mu było decydować podług swojej myśli, a w szczególności podług swojej korzyści. Z tego powodu jazda była, co do administracyi, zgorzeniem dla piechoty, a co do porządku i nauki daleko za nią.

Wracając do nas — wydane rozporządzenia narzuciły wielkie trudności na dowódców pułków; gorliwa czynność inspektora piechoty, gen. Fiszera, ułatwiła je nieco, przysyłając pułkom urzędowe tłumaczenia przepisu musztry i zaprowadziła jednostajność komeudy. — Ale została część administracyjna, prawna; tu trzeba było czerpać z obcego języka. Wiadomo, pułki nagle formowane nie wielu miały oficerów z dobrem pierwiastkowym wychowaniem, którzy-by lotnie pojęli nieco trudną rachunkowość korpusową. Wszystko trzeba było wykładać i tłumaczyć systematycznie, jak w szkołach. Na ten koniec oznaczyłem godziny w dniu, kiedy się wszyscy oficerowie i zdaniejsi podoficerowie zbierali u mnie na lekcye, często elementarne. Trzeba było dać wyobrażenie o rachunkach i aplikacyi onych do ustaw. Francuska instrukcja musztry jest określona geometrycznemi wyobrażeniami,—trzeba było zatem dać dokładne pojęcie linii, kątów i t. d.

Około maja 1808 przyjechał do Rawicza inspektor, gen. Fiszer, dla lustrowania pułku. Chlubny raport inspektora do ministra i wskutek tego rozkaz dzienny podobnej treści był pierwszą i najmiłszą osłoda moich usiłowań. Po wyjściu ze służby pułkownika Ponińskiego, nominowany został dowódcą pułku pułkownik Zieliński, ale zaraz po lustracji powyższej zostałem uprzedzony, że ten pułkownik był tymczasowy, a że mnie słusznie należący się pułk będzie wkrótce ze stopniem pułkownika oddany. Jakoż dnia 29 lipca tegoż roku otrzymałem patent królewski na pułkownika i dowódcę pułku 12, którego byłem reorganizatorem i instruktorem<sup>1)</sup>. Wkrótce potem król saski, nasz panujący, jako księżę warszawski, dekretował, iż wszyscy dowódcy pułków mają być dekorowani krzyżem „virtuti militari“ — i ja byłem wówczas zaszczycony tą ozdobą<sup>2)</sup>.

Gorliwość moja nie mogła być powiększona temi pomyślnościami, ale niepodległejsze położenie otworzyło mi prostsze drogi i upoważniło do energiczniejszego przedstawienia potrzeb pułku. Brakowało nam ubioru, obuwia, oporządzenia; od kilku miesięcy pułk nie był płatny. Wszystkie te niegodności gorący duch czasu zwyciężył. Mielśmy broń i patrontasze, więc musztra szła z największym zapalem. Ministerjum nasze widziało się zmuszonym do wynalezienia choć części funduszów na gwałtowniejsze potrzeby i w porozumieniu z wydziałem skarbowym obdarzyło nas, choć niedostatecznie. Wreszcie byłem upoważniony listem ministra do sprawunków na kredyt, na rachunek ministerjum. Zwołałem wtenczas fabrykantów miasta Rawicza i przeczytałem swoje upoważnienie; odpowiedzieli jednomyślnie, że ubiorą i oporzadzą pułk kompletnie, ale nie poprzestając na zapewnieniu ministerjum, żądali aby pułkownik dał słowo, że im opłaty zatrzymane nie będą. Nie wahałem się dać żądane słowo; zaraz wzięto się do roboty i w parę miesięcy pułk został we wszystko opatrzony. Wypłaty były w rzeczy samej regularnie czynione i wszystkie zaspokojone.

Pułki francuskie z korpusu marszałka Davoust ruszyły do armii hiszpańskiej; trzeba było w pogranicznych miastach zastąpić opuszczone garnizony naszym wojskiem. We wrześniu otrzymałem rozkaz maszerowania z pułkiem do Torunia, dla zastąpienia tam 8-go pułku lekkiej piechoty francuskiej. — W Toruniu zastaliśmy jeszcze ten pułk, który czekał tylko na nasze przybycie i w kilka dni potem wy-

<sup>1)</sup> P. annex.

<sup>2)</sup> P. annex.



maszerował do Hiszpanii.—Komendantem miasta był gen. Woyczyński.—Wkrótce przysłano mi na gros-majora do pułku pana Darewskiego (później członka komisji wojny). Niezrównany ten administrator stał mi się wielką pomocą; odtąd więcej mogłem się zajmować służbą i nauką. Pułk zatem wielkie czynił postępy we wszystkim i nie tylko łatwo i regularnie manewrował, ale ozdobnie występował. Tak się przebyło w Toruniu z korzyścią aż do wiosny 1809 r.

---

# TWORCZOŚĆ POETYCKA MARYI KONOPNICKIEJ

W CIĄGU DWUDZIESTU PIĘCIU LAT <sup>1)</sup>.

## VIII.

Ale za to Bogu chwała,  
Żeś nie z dębu, nie z wawrzynu,  
Ale z wierzby wylała  
Tę fujarkę, co ci grała

Piosenkę gminu.

(Echa florenckie).

Dwa zbiory nowel: *Na drodze, nowele i obrazki* (Warszawa, 1893 r.) i *Nowele* (Warszawa, 1897), nie różnią się zasadniczo ani charakterem, ani wykonaniem od *Moich Znajomych*. Tylko artyzm jeszcze głębszy, jeszcze doskonalszy, tylko jeszcze tu mniej utworów, które-by można było nie zaliczyć do niepospolitych.

Typy kobiet cichych, niepozornych, które wszakże w żółklej piersi kryją serce złote, snopami blasków gorejące, jak w *Moich Znajomych*, stanowią najprzedniejszą część tych utworów. Galerya tych typów liczna i wieloraka; na pierwszy plan wszakże wysuwają się: *U źródła* i *Panna Florentyna*.

Drobna, zgarbiona staruszka, pątnica, wędrująca po świętych miejscach, co „szarością swoją” zlewa się z perłowym tłem wiosennego poranka, oto postać główna pierwszej z tych nowel.

Formą zewnętrzną i postacią tytułową *U źródła* przypomina ludzko *Banasiową*. Ale jest też i znaczna pomiędzy obiema staruszkami różnica: Banasiowa uosabia prostotę i wielkiego uczucia, pątnica z *U źródła* prostotę wielkiego rozumu; Banasiowa wdycha do śmierci, jak do spokojnej przystani po nawałnicy życia, spotkana na drodze staruszka już za życia obcuje ze światem zaziemskim; tamta wyobraża stoicyzm ludu naszego, ta wypowiada głębie jego mistycyzmu.

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lipcowy, str. 104.

A kiedy autorka, zdziwiona, zapytuje staruszkę, skąd jej wiadome są rzeczy, oku śmiertelnemu niedostępne, ta odpowiada poprostu: „A cóż to? Nie żyjąca jestem bez taki wiek? A to pod siedemdziesiąt mi będzie, głodowe lata pamiętam“.

Jakże to? nie wiedziała-by, że „morze to te węgły ziemskie strzymują“? że na „zwiosnę“ to „te duszyczki kwiatem w niebo idą, i że pachną Panu Jezusowi; a zimą, to jak ten ogienek tłący?“; że „na Janielską żaden grzesznik nagłą śmiercią ze świata nie schodzi“, i jastrząb skowronka nie chwytą, i macocha sierot nie bije, a i „pokrzyk, choćby go od serdecznego korzenia kopać — nie krzyczy.“

Nie wiedziała-by? toć ją „jamiol“ na „groszówce“ czytać uczył i wszystkie „lutery“ pokazywał. Bo i któżby inny? kiedy po śmierci matki, co „ciutko“ skonała, pojęła ją do się „ujna“, nikt o nią nie dbał, a chłopczyska—to odpędzali ją od książki, gdy sami czytali. To i jamiol jej „precz wszystko dopowiadał“, kiedy na pastwisku pod krzakiem lub nocą przy miesiącu „luter“ na swojej „groszówce“ szukała. I wszystko „spotrafiła“.

To też umie cenić naukę, tak cudownym sposobem zdobytą: „Bo to chleb dobre posilenie jest, a nauka jeszcze lepsze.“ „Miał-by człowiek naukę dobrą — powiada — nie było-by po świecie tych morów, tych głodów, tych powodzi, tych smutków i ciężkości dusznych. Samoby się niebo bliż ziemi nakłoniło, i człowiek świętym-by się ostał.“ Ale nie każdy widocznie ma tak łaskawego na się „jamiola“.

I wszystko to opowiada się z tą niezrównaną prostotą, wobec której niktą wszelkie granice między ziemskim a niebieskim, cudownem a pospolitem, aż gotowiśmy sami uwierzyć w „jamiola“, co uczy sieroty po miedzach litery składać. Cóż „jamiol“! i z samym Panem Jezusem obcuje się po przyjacielsku, i po sześciu niedzielach niemocy idzie staruszka do Niego, do Kalwaryi, jak do druha serdecznego w gościnę, bo „utęskniła się“ za Nim.

Niema też dla niej rzeczy, któraby ją zabobonnym strachem przejmowała. Upiory?— „co tam ludzie powiadają, tak, albo tak, że straszy, że przeszkadza, to wszystko chfalsz!“ Ma na to dowód oczywisty: kiedyś w lata morowe przespała do rana na mogiłkach i „te ludzkie kosteczki bez całą noc cisła“—i nic! „nijakich przeszkód“ nie było.

A i ziemskich strachów się nie lęka. Nie takie bowiem pamięta czasy; głodowe lata pomni, kiedy „to, pani moja, ludzie sieczkę drobno rzli, mech suszyli i tłukli, ości z owsa przyczyniali, kto miał sól, to solił, a kto ni, to ni, dopiż „kuleszę“ taką na wodzie warzyli, dopiż tę warzę jedli... To psi, pani moja, do trzeciego dnia po niej wyli, a ludzie nie!.. To, pani moja, ludzie tak po tem jadły puchli, ta-

kich dostawali słabości, takich ziąbów, że to całemi chałupami marło. O księdzu, o spowiedzi ta i rzekania nie było. Ledwo się drugi w piersi uderzył, jeszcze: Boże, bądź miłościw, nie przerzekł, już duch z siebie puścił. Gdzieniebądź to ułapiło“...

Taki to skarb ducha znalazła poetka na drodze między Żyw-  
cem a Kalwaryą!

*Panna Florentyna* — to cichy dramat nędzy, którą duma każe ukryć przed okiem ciekawych a obojętnych. To dzieje ubogiej szwaczki „z dobrego rodu“. z matki szlachcianki nawet, dzieje przeraźliwie szare i bolesne; to „lata głodu, zwalczanego nieugiętą dumą, nędza odzieży, osłaniana skrzątnie przed oczyma ludzi, cała ta smutna walka, podjęta z losem, aby tylko utrzymać się ponad hołotą“; ta duma każe się wyrzec wszystkiego, nawet uczuć najdroższych i najświętszych. Panna Florentyna, choć żyje z igły, a raczej przy igle głodem przymiera, nie daje się poniżyć i upokorzyć losowi: za wdowę się do meldunku podaje, bo to „zawsze porządniej“, i przed „hołotą“ powiada, że na lekcye chodzi, bo i to „zawsze porządniej, niż szycie“. I przed nikim nie przyzna się do nędzy; choć się czasem pod obuchem losu wszystko przed nią zakołuje i nogi dygotać zaczną — nie „po sobie nie pokaże“. Nie naprózno rok cały na pensję na Leszno chodziła! Tak! „jak bieda. to ją zakryć, zataić, ale nie przed ludźmi z nią wyjeżdzać.“

Pyta ją kiedyś pani naczelnikowa, u której kilka dni szyła, czy jej nie potrzeba pieniędzy — a nie miała grosza przy duszy; ale w tej-  
że chwili weszła młodsza ze stołu sprzątać, zacięła więc zęby i odrzekła: „To już w poniedziałek, jak przyjdę“. I zaraz stamtąd do faniarki — chustkę włóczkową zastawić...

I niktby może nie dowiedział się o srogiej biedzie panny Florentyny, gdyby — nie jej matka. Bo matka inne zgoła miała pojęcia: „Podupadła strasznie na honorze“: pić, nie piła, ale „w kruchcie u Bernardynów z babami siadywała“. W kruchcie! to okropne! Naprózno ją córka sprowadzi raz i drugi do siebie, upieści, uczesze, w czystą bieliznę i odzienie ubierze, jeść da i wdowę po urzędniku przy ludziach nazywać będzie, byle pozory utrzymać: starowinę ciągnęły „hadry żebrackie“ i żywot włóczęgi... I ona ma swoją ambicyę zawodową i argumenty silne na usprawiedliwienie swego rzemiosła: „Co ty, córko, przeciw temu żebrackiemu żywotowi masz? Co ty nim gardzisz, za taką hańbę go liczysz? Co ty się tak tym miłosiernym groszem, córko, brzydzisz? Toć i w żywotach świętych pańskich pisze, że ubogie wdowy zawsze przy kościele siadały, modliły się i jałmużnę brały“...

Niel nie mogą żyć razem te dwie kobiety, mimo wzajemną ku sobie miłość. Więc rozstaną się — i śmierć ich nawet nie pojedna. Dowiedziawszy się, że matkę wzięli do szpitala, panna Florentyna biegnie, lecz przychodzi za późno; właśnie wczoraj pochowano starowinę. A widząc wzruszenie pytającej, zakonnica dodaje: „Czy może się pani pyta o kogo innego? Bo ta staruszka, ta Brońska, co ja o niej mówię, co tu zmarła u nas, to była taka babka z pod kościoła... od Bernardynów ją tu przynieśli... żebraczka“..

Pana Florentyna od razu odzyskała zimną krew, tembardziej, że „wszystkie głowy obróciły się w jej stronę“.

— To nie to! Ja się pytam o panią Brońską, wdowę po urzędniku.

— To takiej nie było tutaj!

— Przepraszam...

„Wyżej jeszcze podniosła głowę i wyszła“.

„Toć to szczęście od Boga, że umarła!“ powie potem panna Florentyna i kwiatu żalu na mogiłę żebraczki, co „podupadła na honorze“, nie rzuci.

Rzekłby kto, iż panna Florentyna, którą grzeszna duma uczyniła wyrodną córką, należy do mniej szlachetnych typów nowel Konopnickiej. Ale niel kto widział choć raz w życiu pokryte pokrowcami meble, na których zdarło się w strzępy pokrycie i powysterkały sprężyny, kto choć raz, gościem w domu „obywatelskim“ bawiąc, dojrzał wzrok gospodarza, lęku pełen, by gdzieś z kąta nie wyszczerzyła zębów żebraczka - nędza, kto wypił choć jedną kroplę z oceanu biedy ludzkiej, wstydliwie kryjącej się ze swoją nagością, ten zrozumie szczyfowe wysiłki panny Florentyny ku cerowaniu i łataniu rwącego się w kawały „honoru“ i sercem ją odczuje.

Podobny ciężar, jak pannie Florentynie, przypadł w udziale *Józefowej*. I jej chodzi o podtrzymanie honoru, staranne ukrycie braków kłamstwem i obłudą.

Jedyną troską i jedynym celem jej życia było zasłonić przed ludźmi fizyczną nędzę swego męża, i „całej kamienicy, ba, ulicy nawet, dać o jego dużości, energii, sile i innych męskich przymiotach, jak najlepsze pojęcie“. To niedołęstwo „władcy i pana“ stanowiło tragiczność jej życia. Jej ideałem było mieć dzieci, których nie miała, i męża, co ją „od czasu do czasu wybić może“, ale były to marzenia niedościgłe. Przedmiot jej wyjątkowej zazdrości stanowiła stróżka Pawłowa, którą nieraz mąż dobrze wyszturchał, która niedawno matką została... Ona nigdy takiego szczęścia doznać nie mogła. Lecz niel miała *Józefowa* jedną chwilę rozkoszną w życiu: kiedyś mąż naprawdę potracił ją w gniewie, gdy mu lodową wodą na łysinę chlusnęła, a że stopnie na schodach były oślizłe, *Józefowa* osunęła się i runęła głową na dół; i potem, leżąc nawpół martwa na pościeli

z „wielkiem rozpromienieniem w twarzy,“ wyszeptła: „zawsze to co chłop, to chłop... chłopu niewiasta nijak nie uradzi... Tak już... Pan Jezus postanowił... A jeszcze kiej się taki trafi, co w sobie taką moc... ma...“

Niepośledni również typ kobiety z ludu stanowi *Maryanna w Brazylii*; jak Banasiowa i staruszka z *U źródeł* są wcieleniem filozofii ludu naszego, tak Maryanna jest wyobrazicielką jego zmysłu praktycznego, jego sprytu i rzutkości, które wbrew utartym mniemaniom o niezaradności chłopskiej pozwalają wyjść zwycięsko z każdej najtrudniejszej okoliczności. Sama, bez przewodników, bez Baedeckerów, bez znajomości żadnego języka. bez dokładnego pojęcia, dokąd i którędy jedzie, Maryanna dostaje się z Dąbrówki gubernii Smoleńskiej do Brazylii i wszędzie daje sobie radę: kiedy w Rio potrzeba jej było np. lazurku do bielizny, pobiegła do sklepu, a gdy jej nie mogli zrozumieć, łap za kawałek papieru niebieskiego od cukru, rękaw od koszuli wyciąga, jedno do drugiego przykłada i woła: tego do tego --- no i pojęli od razu; przecież wyraźnie po polsku mówiła!

Największym tragizmem odznaczają się losy *Krysty*. Męża jej, Antka, do wojska wzięli: oto już dwa lata minęły, jak od niego listu niema, już pewno zmarło się chudziakowi. A Krysta—nie dotrzymała mu wiary, choć ją kochał tak czule, choć jej tak ślepo zawierzył i ani przypuszczał, by mu niewierną być mogła. Ale ją też wyrzuty sumienia dręczą i serce ją boli za tego, którego prawdziwie kochała, którego skrzywdziła tak bardzo. Tragedya jej losu rozwiązuje się z chwilą, kiedy niespodziewanie, w dzień zaduszek, powraca Antek do chaty. Teraz zaczęło-by się dla niej życie pełne kłamstwa, obłudy, brudu moralnego i męki serdecznej; jej szlachetna, bądź co bądź, natura burzy się przeciw fałszowi i zgniliznie, i zanim Antek przestąpi próg chaty i przekona się o jej upadku, ona rzuci się w nurty rzeki, śmiercią własną okupując winę.

I znowu mamy do czynienia z temi subtelnościami psychologicznymi, które wykazaliśmy powyżej przy rozbiórce *Moich Znajomych*. Krysta, choć występna, wyrosła w naszych oczach niemal na bohaterkę, tyle w niej, mimo upadku, przewagi pierwiastku etycznego, mimo złamania wiary, tyle głębokiej miłości ku nieobecnemu „chudziakowi,“ tyle bolesnego poczucia winy i płomiennej żądzy odkupienia. I dlatego Krysta stoi pod względem moralnym nierównie wyżej od *Mariuszki z Moich Znajomych*.

Inny jeszcze portret staruszki, przypominający nieco matkę z *Ultimusa*, przedstawia nowelka p. t. *Dym*; tutaj tylko jest ten typ niezmiernie wyszlachetniony, starannie odczyszczony z najdrobniejszych pyłków niedostrzegalnych prawie śmieszności, od których

tamta nie była wolna. Ta matka, wielką miłością ku synowi, „kotłowemu“ w fabryce, wypromieniona, przymierająca głodem, byle on tylko posilił się dostatecznie i dobrego humoru i ochoty do pracy nie stracił, otoczona blaskami tragicznej jego śmierci przy wybuchu kotła w fabryce, głębokie wywiera wrażenie. I długie jeszcze lata osierocona staruszka patrzyła mętnym wzrokiem na dym, buchający z kominu fabrycznego, chociaż to już kto inny, nie jej ukochany Marcyś, „fasował“ w kotłowni.

Nastrojem dziwnego smutku, ale zarazem nieziemskiego ukojenia, tętni obrazek p. t. *W dolinie Skawy*. Pogrzeb włościański, ukazujący się na drodze z gór w dolinę, prosty wóz, wysłany ciemną zielenią świerkowych gałęzi, na nim trumna, ze smolnych tarcic zbita, a obok trzęsąca się głowa przeddziada nieboszczykowego, co „nie gwałtem już mocny w nogach, więc go wiozą“, a przede wszystkim owa pieśń, którą ze starcem śpiewa cały orszak pogrzebowy, pieśń prastara, dysząca bólem życia i pogodą śmierci, wszystko to składa się na całość, silnie przemawiającą do serca i wyobraźni, pomimo, iż tego, co się pospolicie nazywa treścią, brak tu najzupełniej.

*Głupi Franek* zgruba przypomina *Ksawerego* z *Naszyci znanych*, ale jest o całe niebo wyższy i niepospolitszy. Ksawery, bądź co bądź, to dusza mialka, „Głupi Franek“, choć powszechnie za durnego uchodzi, głębszy i czystszy od tych, którzy sami siebie mają za rozumnych; Ksawery jest poczciwym głuptakiem, „Głupi Franek“ — filozofem i poetą zarazem, ma serce kryształowe i wyobraźnię ogniastą i widzi rzeczy, oku ludzi przeciętnych ukryte. Jest filozofem - panteistą i filozofem - moralistą zarazem. Trzeba go widzieć nad brzegami Narwi, jak duszą przejasną roztopia się w duszy przyrody, jak „ręką chudą, czarną, głaszcze aksamitne pałki trzciny i zielone wstążki tataraków, jak w słońce, albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzami prósząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzuca i tak się do niej tuli, jak owe dziecko do matczynej piersi!“ „Głupi Franek“ — to filozof epoki jaskiniowej, człowiek, którego kultura lub pseudokultura nie wyodrębniła z wielkiego hymnu natury i nie uczyniła na jej tle brzydką, szarą plamą. Dookoła niego roją się i świergoczą swobodnie ptaki, a nawet drobna pokrzywka krąży wesoło nad jego głową i nie boi się ludzkiej twarzy, bo i „czego się bać? to jest głowa głupiego Franka... nic więcej... czego się bać?“ A kiedy słońce wzejdzie i rzuci w rzekę snop ognia, głowa ta, „zakolysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwie“, niknie „wśród mieniących się, nawskroś srebrem zroszonych kiści mietlic i trzciny“, jakby z tem tłem jedną stanowiła całość.

Dziecię to natury nieodrodne i uczuciem miłości synowskiej przejęte. Słuszniej też, niż ktokolwiek inny, „głupi Franek“ rzekę, nazywa „matką“, a las „ojcem“, i dziwy o rodzicach swoich opowiada, kiedy go „rozumni“ gospodarze pytają. I tu potęgą jego wyobraźni poetyckiej występuje w całej pełni, a wyobrażenia ta pełna wcieleni i widzeń czarownych. Kiedy mówią mu ludzie: „Nie tego matka cię wyprawiła w świat“... on powie: „Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle tratwy nieść... tera tyli ziemi szmat obejść... Oj, nie letki jej żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po ziemi zbierając, a na srebrnem wrzecionie przędąc.“

A w lesie więcej bodaj jeszcze dziwów, bo tam trzej królowie z wojskiem chodzą i patrzą za robotą. Widział ich „głupi Franek“ we własnej osobie: króla Balcera ujrzał, jakby „cośie ogromnego we złocie“— „płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach mieni od drogości, bogactwo takie, że to ha! Broda po pas, srebrzy się, jako ten mech siwy, jedną ręką w bok się podparł, w drugiej berlica godna i parada taka, co strach,—zwyczajnie królewska osoba! A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni...“

Wszystko to może widzieć ten tylko, kto słyszy, jak „ziemia ga-da“; i dziwić się „głupi“ będzie, że inni, co grunty i chałupy mają, gospodarzami się opisują po wójtach, po urzędach, nie o Trzejkrólowem wojsku nie wiedzą.

Raz tylko „głupi Franek“ styka się ze światem realnym: kiedy jeden z gospodarzy grunt i wszelkie ruchomości „Miemcom“ sprzedaje, „głupi“ z całą mocą miłości i rozpaczy broni tę ziemię ukochaną od obcego najazdu. I kończy się ten obraz wspaniałą sceną: na strzesze sprzedanej ojcowizny siada bocian, by tu uwić sobie gniazdo; a „głupi Franek“ z bolesną ironią, z której sam sobie sprawy nie zdaje, woła: „Oj głupi, głupi! Oj głupi ty, ptakul.. Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego, gdzieś bocianięta swe hodował, i słońcu się radował, i ludzi cieszył, i odpocznienie swoje miał. Oj przylecisz ty tu i na bezrok jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie, jak tu nas i gniazd naszych nie będzie... Miemce tu obsiadą—Miemce tu gniazda swoje założą, a ty głupi, precz... za morza... za morza!.. Panie Gotlib!—panie Miemiec, bliżej tu sam, bliżej!.. Jeszcze się tu niejedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie. Widzita te jaskółki nad wodą? Widzita tę modrość niebieską?.. Widzita ten krzyż nade drogą?.. Widzita het one górki, one mogiłki nasze? Dalej! Wszysciutko sprzedajem! Kupujta tę modrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki!..“



I „głupi Franek“ wyrasta na wcielone sumienie ludu nieszczęsnego, który niedola czyni nieraz występny i wyrodnym; bierze na siebie rolę chóru greckiego, pełnego współczucia i potępienia dla przyszłych bohaterów *Panu Balcera*.

Są jeszcze dwa obrazki w zbiorze *Na drodze*, w których autorka *Czterech nowel* potrąca znowu tę strunę, na której wygrała już niegdyś *Michała Duniaka*, lecz dobywa z niej ton o wiele czystszy i bardziej harmonijny. Są to nowele: *Jakton* i *Mendel Gdański*, gdzie Konopnicka usiłuje raz jeszcze nawiązać nić sympatyczną wspólności i celów, praw i obowiązków dwu obcych i wrogich sobie społeczeństw: chrześcijańskiego i żydowskiego. Zwłaszcza *Mendel Gdański* rzuca na tę ciemną sprawę cały snop promieni, których nawet żrący dym nienawiści plemiennej śmieć nie zdoła.

Stary, bardzo stary Mendel jest introligatorem; od dwudziestu siedmiu lat przemieszkuje w tej samej izbie w zaułku Warszawy, wszyscy go tu znają i on zna wszystkich, żył się z tym kawałkiem ziemi, na który patrzą codziennie jego oczy, pracą zmęczone, i wyobrazić-by siebie nie umiał w innem miejscu i wśród innych ludzi. Wnuka ma w szkole, w znoju i w pocie pracuje na jego kształcenie, otacza go, sierotę, najczulszą i najstaranniejszą opieką. Majestatyczna to postać! kiedy w szabas przywdzieje żupan czarny, przepasany szerokim pasem, a siwe włosy pokryje jarmułką i jękiem modlić się zacznie do swego Boga, który jest Bogiem wszystkich, co w Nim ucieczki szukają w strapieniu, taka powaga i taki ból biją z tej postaci wyniosłej, iż pewnego razu, przechodząc obok okna, proboszcz uchylił kapelusza, ujrzawszy starca, modlącego się z taką ekstazą cierpienia i żądzy pociechy niebieskiej. Stary Mendel nie wstydzi się też, że żydem jest, i zrozumieć nie może, dlaczegoż-by zapierać się miał swego pochodzenia: „Ty się w to miasto urodził—mówi do wnuka, który kiedyś przybiegł ze szkoły bez czapki, zdyszany, opowiadając, iż go jakiś obdartus na ulicy żydem przewał — toś ty nie obcy, toś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzić nie masz, żeś żyd“. I dodaje prawdę wielką, szczerozłoty klucz zagadki społecznej: „Uczciwym żydem być jest piękna rzecz“.

Mendel zdaje sobie wybornie sprawę ze swego stosunku do społeczeństwa miejscowego, z obowiązków, jakie mu ten stosunek narzuca, i w rozmowie z sąsiadem - zegarmistrzem— w przeddzień rozruchów „żydowskich“—wyklada i dowodzi, iż „obcym“ nikt nie ma prawa go nazywać, kiedy on sam uważa się za „swojego“.

Omylił się zacny starzec i zawiódł się boleśnie: w dzień rozruchów izba jego uległa napadowi zwierzęco-okrutnego tłumu, wnuk je-

go padł krwią zboczony pod pociskiem nienawiści! Jakim wielkim bólem nabrzmiała są jego wyrazy, któremi skarży się i płacze: „U mnie umarło serce do tego miasto“. To skarga, po której pozostaje w sercu straszna, zimnem i ruiną wiejąca pustka; to, co przyswiecało życiu całemu Mendla, jak ognisty słup Mojżeszowy, co stanowiło jego cząstkę najlepszą i najszlachetniejszą, padło w jednej chwili pod brutalnym ciosem drapieżnych instynktów motłochu, tego samego, który pragnęło-by się całym sercem ukochać..

Oddzielną grupę wśród nowel Konopnickiej stanowią obrazki więzienne, jak *Podług księgi*, *Jeszcze jeden numer*, *Omifer*. Poetka, której żadna niedola nie pozostała obcą, która każdą łzę otrzeć pragnęła, serlecznie zajęła się losem tych nieszczęśliwych, których pierwszą u niej przedstawicielką jest bohaterka *Pod prawem*. Chodziła częstokroć do cel więziennych, całe godziny pędziła z więźniami i niejedną wydobyla perłę z pod mułu zwyrodnienia, upadku i zbrodniczości. I pod tym względem Konopnicka uprzedziła Tolstoja, który w swoim *Zmarłychwstaniu* dał nam wielką epopeję więzień; sądząc z *Pana Balcera*, przypuszczamy, iż i naszej poetce nie zbrakło-by talentu na taki epos. Tymczasem wyżej wymienione nowele, jak również kilka jeszcze szkiców, zawartych w zbiorze *Ludzie i rzeczy*, to dopiero luźne notatki, wrażenia i obserwacye, na których wielki talent autorki *Imaginy* wycisnęła swe nieśmiertelne piętno.

Do ostatniej wreszcie grupy zaliczymy nowele, w których poetka wykazuje przedziwne znanstwo psychologii dziecięcej, jak: *Ze szkoły*, garść postrzeżeń z życia szkółki wiejskiej; *Niemczaki*, wizerunki dwu chłopców — z ojca Niemca i matki Polki, w których krew polska się odzywa; *Stacho Szafarczyk*, obraz wyrostka wiejskiego, lat czternastu, który po śmierci ojca, nie chcąc dać się „wyluskać“ z ziemi ani ojczymowi, ani parobkom, sam bierze się do najcięższej pracy około roli i pada pod jej brzemieniem — nowela kończy się piękną sceną śmierci Stacha, na stanowisku, na polu, przy koszeniu zboża: na niebie połyskuje luna zachodu, a nad nim sterczy, jak sztandar, wetknięta w ziemię kosa.

Do najdoskonalszych wśród tych nowel należą: *Nasza szkapa* i *Z włamaniem*. W pierwszej — jednej z piękniejszych, jakie kiedykolwiek napisała Konopnicka — autorka z prawdziwym artyzmem używa efektów przeciwstawnych: smutku i niedoli starszych i beznymślniej uciechy dzieci. Matka chora, w izbie zimno i wilgotno, ojciec nie może zarobić nie tylko na doktora i lekarstwo, ale nawet na drwa i pożywienie; niezbędne sprzęty jeden za drugim idą do „handla“, aż w izbie coraz puściej się robi; pozbawia się ojciec nawet

i szkapy, jedynej żywicielki rodziny; następuje w końcu śmierć matki i smutny pogrzeb na Bródnie — a tymczasem dzieci wywracają kozły na sienniku, ściągniętym z zabranego przez handlarzy łózka, śmieją się z wielkiej uciechy, kiedy żydzi targują się o dziesiątkę, w opustoszałym po usunięciu szafy kącie z zapalem odkrywców nowych ładów poszukują guzików, bożych krówek i innych drobiazgów, czasem poprostu duszą się od śmiechu od „hecy“, „tyjatronu“, „komedyi“, podczas, gdy rodzice lży ocierają, a kiedy i im czasem udzieli się ogólny nastrój smutku, dają sobie „sójkę w bok“, szturchają się w żebra i z zacięciem starych obieżyświatów wołają „siarczyste!..“ I nic równego tym wybuchom śmiechu i wesołości, rozlegającym się na tle zgrzytu nędzy i chrzestu toczonej przez śmierć kosy...

Wreszcie obrazek p. t. *Z włamaniem* pełen jest gorzkiej ironii. Grupa dzieci chłopskich stoi przed sądem; oskarżono je o kradzież trzech serów i oselki masła „z włamaniem“, za pomocą patyka, którym podważyły zasuwkę—głodne były, chleb—rzecz to tak rzadka na Polesiu! Właściwie nie miano zamiaru ich skazywać: prokurator, że miał serce miękkie, nie chciał żądać dla podsądnych całej surowości prawa, ale uniósł się swadą krasomówczą; przysięgli nie byli-by wynieśli z sali obrad wyroku potępiającego, ale śpieszyło im się do handelku, na szczupaka i partyjkę; obrońca z urzędu, sam syn chłopski, roztoczył przed sędziami barwny obraz nędzy poleskiej, ale nie mógł wzruszyć ani przekonać umysłów zmęczonych i apatycznych... Ktoby tam dbał o taką „mizeryę“?

I stało się, że sąd popełnił zbrodnię: zakwalifikował przestępstwo, jako kradzież z włamaniem...

Dalecy jesteśmy od tego idealizmu, pozostającego w rozdźwięku z prawdą życiową, który zaznaczyliśmy w *Przed sądem*. Tutaj żaden z sędziów nie bierze za rękę podsądnego i nie prowadzi do szkoły, lecz każdy, w obojętności swojej nielitościwy, staje się mimo swej woli i wiedzy mordercą.

Zmieniła się rola prądów twórczości poetki: co w *Obrazkach*, jako idea, trzymało się tuż przy ziemi, przenikało nawskroś treść i formę odtwarzanych obrazów życia, to w *Nowelach* uniosło się w wyższą sferę uczuć, pragnień i wytycznych życia. Życie samo może pozostawać w sprzeczności z temi ideałami, kłam im zadaje, ale zaprzeczyć nie można, że ponad mialkością i nędzą życia pospolitego unosi się duch słoneczny pobudek wyższych i lepszych, co także mają swój byt realny w sercu i w duszy szczupłej garstki szlachetnych.

Do tych wszakże myśli i pożądań przeszłość należy.

## IX.

I jeden tylko bard tych smutnych czasów  
 W ton homeryczny trafił i pogodę,  
 A uderzywszy w pierś litewskich lasów,  
 Dobył z drzew pieśni z niej, jak Mojżesz wodę  
 I wśród Europy „gwarów i hałasów“  
 Umiał jej nadać helleńską urodę.  
 W niej raz ostatni przejrzałaś się, Litwo,  
 I jest ci pieśń ta ostatnią modlitwą.  
 „Imagina“.

W tem ostatniem dziesięcioleciu Konopnicka z coraz rosnącym zamiłowaniem poświęca się studjom krytyczno-literackim z dziedziny piśmiennictwa swojskiego i obcego, które noszą ten sam charakter, co i dawne jej w tym zakresie utwory, natchnionej improwizacji, co w szczególności analizy filologicznej nie wchodzi i gardzi niemi, lecz umie wczuć się w dzieło, które obrała sobie za przedmiot, z genialną przenikliwością odgadnąć tajne drogi ducha. Jednem słowem, jest to ta sama twórczość poetycka, przemieniona na inne podłoże: bo czego autor, któremu się studjum poświęca, nie powie wyraźnie i dokładnie, o co potrąci za ledwie, to poetka za niego dośpiewa, dokończy, zwłaszcza jeżeli dany utwór natrafi w jej kamertonie duchowym na pokrewną nutę.

Pierwsze w tym okresie studjum krytyczno-literackie ukazało się w „Bibliotece Warszawskiej“ w 1892; jest to rzecz ściśle sprawozdawcza, p. t. *Święto pokoju, dramat Gerharda Hauptmanna* <sup>1)</sup>. Konopnicka ogranicza się tu niemal na przytoczeniu treści „młodego, a już głośnego dramaturga“, który wkrótce *Hanusią i Dzwonem zatopionym* miał zdobyć sobie sławę wszechświatową; ale, jak opowiadał widzimy poprostu osoby na scenie, współczujemy im, odczuwamy grozę. To nie suche streszczenie, to znakomite wczucie się w psychologię osób i wypadków dramatu i przetworzenie ich na plastyczne obrazy w twórczym duchu poetki.

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska“, 1892, tom I, str. 302—322.

W kilka lat później wydane, również w „Bibliotece Warszawskiej“, studium: *O Adamie Asnyku słów kilka*, rzecz, napisana z powodu zgonu wielkiego pieśniarza *Snu grobów*, najlepiej dowodzi, że wielkie syntezы historyczno-literackie najbardziej odpowiadały usposobieniu autorki *Moich znajomych*. Studium o Asnyku to nie mozolny i drobiazgowy rozbiór wszystkich z kolei utworów poety, to genialny rzut oka, zwięzły, zaledwie na kilkunastu stronicach zawarty<sup>1)</sup>, w którym autorka zestrzela wszystkie promienie ducha twórczego autora *Braci Lerche*; nie wymienia tytułów, ani dat, nie podaje cytat, ale rzuca świetny portret zgasłego poety, w którym nie brak ani jednego rysu charakterystycznego. Przytem wizerunek ten jest skreślony w wyrazach szczytnych i głębokich, a kiedy Konopnicka kreśli stosunek poety do życia otaczającego, i własną też duszę odkrywa: Anioł, który go (Asnyka) opętał—mówi Konopnicka—był miłościwym aniołem. Nie szarpał mu żywego mięsa, nie grzmiał i nie błyskał w nim burzą, nie miotał się wichrem w jego śpiewaczej piersi, nie ciskał nim, jako rozbitkiem, o skały życia, nie rozwodził nad głową jego beznadziejnych mroków, a zanim mu sen grobów ukazał, trzykroć namięcił skroń jego i wargi chryzmatem wiary w wielkie odrodzenie. Były i w Asnykowskiej piersi zgrzyt, jęki i skarga; był krzyk oburzenia i wzgardy, ale nie przeszedł nigdy w zimne szyderstwo, w urąganie ideałom życia. Te zawsze na ołtarzu poety stały jasne i uczczone, czy hymn im śpiewał, czy bojował o nie... Wielki siewca pierwiastków idealnych życia, był wraz wielkim mistrzem twardego zakonu narodowej służby. Poezya, ideał nie były u niego purpurą tylko i laurowym wieńcem. One były mu tchem piersi, prawem życia, duchem jego ducha. Jakże bylibyśmy mali wobec niego, gdybyśmy nie umieli sobie powiedzieć, że nam został—wzorem.“

W następnym roku „Biblioteka Warszawska“ drukuje nowe studium Konopnickiej p. t. *O „Komedji bohaterskiej“ Edmunda Rostanda*<sup>1)</sup>. Równocześnie dokonany wespół z Wł. Zagórskim piękny przekład *Cyrana de Bergerac* dowodzi, jak silnie utwór Rostanda przemówił do wyobraźni poetki. Daremnie-byśmy tu szukali krytyki, szczegółowego wykazania stron dodatnich i ujemnych komedji bohaterskiej. Autorka dopełniła ściśle owego nakazu estetycznego Barrés'a, który przytacza, jako motto: „Krytyka nie jest od tego, by chwalić lub ganić. Krytyka winna rozumieć dzieło i tłómaczyć je.“

1) „Biblioteka Warszawska“, 1897, tom III, str. 451—464.

2) „Biblioteka Warszawska“, 1898, tom II str. 70—130.

I w samej rzeczy, po przeczytaniu studyum Konopnickiej rozumiemy Rostanda lepiej, niż po przestudyowaniu samego utworu. Poetka używa tu tej samej metody, co i w pracy o Hauptmannie: z wyjątkiem wstępu—wielkiego hymnu na cześć prawdziwej, krynicznej poezji, a potępienia modernizmu—i zakończenia—peanu na cześć bohaterstwa, upostaciowanego w białym piropuszu Bergerac'a — całe to studyum to streszczenie. Ale jakie streszczenie! Poetka wkłada w nie całą duszę, nieprzebrane bogactwo płomiennej wyobraźni i gorącego serca.

O wiele chłodniejsza jest rzecz p. t. *Juliusz II, nowa książka Juliana Klaczki* <sup>1)</sup>, napisana z powodu nowego dzieła znakomitego autora *Wieczorów florenckich*. Chłód to jednak tylko pozorny: poetka kocha boskie natchnienia artystów nie mniej głęboko, jak bohaterkie porywy rycerzy. Umiłowanie jej ku opromienionej łagodnym światłem wielkiej epoce Odrodzenia, które zrodziło najpiękniejsze karty *Italii*, w studyum o Klaczcze wylewa się również szerokim strumieniem.

Jednocześnie wydaje Konopnicka garść szkiców, wrażeń i notatek podróżnych pod tytułem *Ludzie i rzeczy, szkice i obrazki* (Warszawa, 1898). Rzadko kiedy zadawała się tu prostym odtworzeniem natury—w każdym niemal z jej obrazków bije żywe tętno uczuciowości gorącej i niewygasłej pod lawiną kwiatową wrażeń czysto estetycznych. Tak więc *Akwilea* nie jest jedynie krajobrazem, lecz także wspomnieniem pewnych form społecznych za czasów Cezarów; *Na rybackich lagunach* więcej zajmuje się nędzą nadbrzeżnych mieszkańców, niż odtworzeniem majestatu potęgi groźnego żywiołu; dwa obrazki: *Jak słońce w Gorycyi wschodzi* i *Jak słońce w Gorycyi zachodzi*, nie tyle odtwarzają przyrodę tego zakątka ziemi, ile lud tameczny, jego życie, jego troski, zabiegi i uciechy. Głębokim liryzmem celują również *Szkice z cmentarzy* i *W Awinionie* — w tym ostatnim szkicu poetka maluje w żywych barwach miejsce wiecznego spoczynku Stefana Garczyńskiego.

Jeżeli nawet gdzieś pierwiastek opisowy wysunie się na plan pierwszy, jak np. w najdłuższym ze szkiców, odtwarzającym *Uroczystości imienia Kolumba*, to i tam odezwie się z cicha jakiś dyssonans, który, jak nieproszony gość, wędruje się w zgiełkliwie, barwne i wesołe grono uczestników uroczystości: takim rozdźwiękiem jest np. widok trupa młodego marynarza, zamordowanego w karczemnej bójce,

---

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska“, rok 1899, tom II, str. 197 — 225 i 428—459.

lub prowadzonego przez zakonnicę dziecka kacyków indyjskich, które w drodze do Europy na święto Kolumba—straciło matkę.

Wreszcie są w *Ludziach i rzeczach* obrazki obyczajowe również o podkładzie społeczno-uczuciowym, jak *Milosierdzie gminy* lub *Chodziki*, przepysny typ obieźvsasa, a kończy zbiór piękna sylwetka Lenartowicza, echo wspomnień florenckich, które musiało w duszę poetki głębokie zapuścić korzenie.

Do najdoskonalszych utworów estetyczno-literackich Konopnickiej należą rzeczy, poświęcone temu, co „uderzywszy w pierś litewskich lasów, dobył źródł pieśni z niej, jak Mojżesz wodę“. Jeden z nich nosi tytuł *Mickiewicz, jego życie i duch* (Warszawa—Peterburg, 1899) i jest jedną z piękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek o Mickiewiczu napisano. Takiego wglębnienia się w treść i w ducha wiekopomnych dzieł wielkiego poety w zespoleniu z cudowną pięknnością języka jeszcześmy w studiach literackich nie mieli; a przytem ileż tu spostrzeżeń i uwag uderzająco trafnych, ileż rozwiązań tak niezwykle prostych, że zda się, wszyscyśmy już o tem od dawna wiedzieli, a jednak nikt przed tem nie wpadł na wyraz zagadki. Rzekłbyś, wszystkie pieczęcie zdjęto z tajników twórczości pieśniarza *Ody do młodości*, i co było ukryte przed okiem nie poświęconem, stoi otworem i „błyska ze złotych osłonek“. Tyle biedzono się np. nad znalezieniem klucza do tajnych głębin *Wallenroda*; a oto klucz ten leży przed nami w wyrazach tak zwięzłych a głębokich: „*Konrad Wallenrod* to nie a p o t e o z a zdrady, to jej t r a g i z m.“ I tu zawiera się wszystko, co można najwznioślejszego o tym poemacie powiedzieć. Rzecz o *Mickiewiczu* cechuje niezwykła podniosłość tonu i nastroju, który czasem czyni ten utwór podobnym do potężnego wielkiem uczuciem hymnu, czasem do natchnionego prorocstwa. To jakby wielka pieśń nie tylko na cześć nieśmiertelnego twórcy *Pana Tadeusza*, lecz także na chwałę tych wielkich hasła, które głosił, tych promiennych ideałów, którym służył.

Tom, zatytułowany: *Z roku Mickiewiczowskiego* (Warszawa, 1900 r.), składa się z dwu części. W pierwszej, p. t. *O pierwszej i drugiej części Mickiewiczowskich „Lziadów“ słów kilka*, Konopnicka po raz pierwszy zstąpiła do analizy. Czuliła się tu ona nieco obco, jakby się czuł zapewne wielki architekt, twórca pomysłów gienialnych, któryby wziął się do zakładania cegieł i heblowania desek, co obyty w swoim fachu rzemieślnik potrafi, co jednak nie przystoi dłoni artysty. Stąd płyną pewne słabe strony utworu. Lecz poza tem studjum to cechuje zwykła u poetki przenikliwość, która objawia się np. w badaniu chronologicznej kolei powstawania oddzielnych frag-

mentów I i II części *Dziadów*, lub roli, jaką w układzie poematu odegrał pierwiastek ludowy, charakterystyki chóru i gęślarza itd.

W drugiej połowie *Z roku Mickiewiczowskiego* czytamy *Portrety piórem*: są to wizerunki Mickiewicza, piórem kreślone przez osoby, stojące z nim w bliższych stosunkach od czasów filareckich aż do śmierci w Konstantynopolu. Rzecz odznacza się pietyzmem i pięknnością formy.

W ostatnim roku ubiegłego stulecia Konopnicka raz jeszcze wróciła do wielkiej syntezy w znakomitym rozbiórce „*O Krzyżakach*“<sup>1)</sup>. I zaraz w pierwszych wyrazach zwięzłych a dobitnych charakteryzuje swój pogląd na dzieło: „Ogromna dalekość dziejowa i ogromna uczuciowa bliskość, oto dwa momenty naczelne „*Krzyżaków*“. Dalekość tkwi w ludziach, w rzeczach, w wypadkach, i otwiera przed nami głęboką skroświekową perspektywę, w którą gdy patrzeć chcemy, duch nasz rzuca się w nią, jak wichur i jak płomień. Tak potężnie i nieprzerwanie przyciąga nas, porywa uczuciowa bliskość, wypełniająca epickie przestrzenie czasu dramatem żywym, rozgrywających się od dni prastarych aż po Grunwald i od Grunwaldu aż po dzień dzisiejszy.“

Takie sobie wytknąwszy założenie, poetka w dalszym ciągu charakteryzuje ludzi i wypadki *Krzyżaków* w zwrotach pełnych uwielbienia dla ich twórcy i miłości dla ich przedmiotu. I wszystko—osoby i rzeczy—jak żywe, stoją przed naszymi oczyma, tak bije z nich plastyka, żywotność, tężyzna. A jest to zasługą nie tylko Sienkiewicza, ale i tej, co potrafiła tak odczuć i wykazać i potęgę, i piękność znakomitego dzieła.

Wybór przedmiotów i ich obrobienie wykazuje rys nader znamienny ducha poetki. Oto najbardziej przemawia do jej duszy wszystko, co wielkie, co młode i świeże, co nad szarą powszedniość życia wzniesione, wszystko, co wzbija ducha ku słońcu i zapala go ogniem ideałów.

Szeroki rozmach skrzydeł, żywsze bicie serca, fidyaszowe kształty duszy, czy to w ciele junaka - bohatera Cyrana, czy też walecznych zwycięzców z pod Grunwaldu, czy przemawiające ze szlacheckich rysów oblicza Asnyka, czy z łagodnej i dobrotliwej twarzy Lenartowicza, czy też z boskiego profilu twórcy *Dziadów*, co stoi na najwyższych szczytach uduchowienia, czy nareszcie wcielone w poważne

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska“, r. 1900, tom IV, str. 393--422.<sup>6)</sup>



i słoneczne postacie doby Odrodzenia, oto co budzi jej wyobraźnię i serce...

Od kału ziemnego, od marnej pospolitości płytkiego naturalizmu jesteśmy daleko, daleko...

## X.

O Utajony na krzyżu, o Panie.

Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu

I liszce w norze obierasz mieszkanie,

A nasze głowy bez dachu?..

O Utajony na niebie i ziemi!

Ty wiosną domki budujesz ślimacze...

Myż tylko sami, pomiędzy wszystkimi,

Mamy być wiecznie tułacze?..

„Do granicy.“

Jesteśmy u szczytów. Wszystko, co było najwznioślejsze, najdoskonalsze z dotychczasowej twórczości Konopnickiej, zespoliło się, stopiło w dzwięczny spíž wielkiego dzwonu, w którym bije serce skrwawione, dzwoni wielką pieśń niedoli i skargi. Tej pieśni na imię *Pan Balcer w Brazylii*.

Spełniło się Ezechielowo Skargi prorocтво: „Jedni z was poginiecie głodem, a drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie“. I jesteśmy, jako liście, odarte z drzewa, a wiatr nas, gdzie chce, unosi za lądy, za morza. Ale pnia macierzystego zapomnieć nie możemy, i krok w krok z nami idzie — tęsknota. A nędza, która nas wypędziła z gniazd ojczystych, jako cień, iść za nami będzie— i ślady krwią znaczyć będziemy a trupem. I walczyć przyjdzie nie tylko z dziewiczą przyrodą nowych lądów, pełnych dziwu, i lęku, i śmierci, ale walczyć przyjdzie z sercem własnem, które rwie się do innych lasów i innych nizin—nad Wisłą i Bugiem. Walka nad siły ludzkie! Aż wreszcie nadejdzie chwila, że ręce opadną, serce spłynie łzami, i rzucisz wszystko, a dążyć poczniesz przez piaski gorące, przez skalne bezdroża, jak Izraelici, w pustyni ku ziemi obiecanej, którą się tak niebacznie opuściło.

Oto rusztowanie ostatniego, niedokończonego jeszcze, niestety, dzieła Konopnickiej, tej epepei nędzy i tułaczki.

Epopei? czy to nie za wiele? nie zwykło się być hojnym w takich wyrazach; wszak znaleźli się tacy, co odmówili tego miana *Panu Tadeuszowi*...

Ale jeśliśmy arcydziełu Mickiewicza przyznali ten szczytny tytuł, nie powinniśmy go poskąpić i *Panu Balcerowi*. Bo to, co uczyniło *Pana Tadeusza* epopeją, znajdziemy i tutaj: nie Tadeusz i nie Teli-mena, nie Sędzia i nie Hrabia, nie Gerwazy i nie Protazy, nie Jacek Soplica nawet, ale oni wszyscy razem, a nadewszystko rojni, gwar-ny, burzliwy tłum szlachty dobrzyńskiej, gdzie każdy jest sobą samym i zarazem wcieleniem, jednym atomem w wirze życia szlacheckiego, ale zarazem nieśmiertelnością. Nazywamy wreszcie *Tadeusza* epopeją dla jego przedmiotu, który, w coraz wyższe i szersze wzbijając się kręgi, rozplywa się wreszcie w łkających i piorunowych tonach „koncertu nad koncertami“; i nazywamy go tak dla tego końcowego okrzyku: „kochajmy się!“, w którym nie brzmi ani jedna nuta fałszywa, ni banalna, lecz wszystko, co szlachetne, wszystko, co wspólne i jedne dla Podkomorzego i dla Jankiela, dla Hrabiego i dla A sesora, wszystko, co łagodzi spory i nienawiści najblahsze i najpo-ważniejsze: o charty i o dobre imię księdza Robaka...

A *Balcer* czyż równie szerokie otwiera horyzonty? czy uczucio-wa głębia i równowaga epicka złożyły się w nim na równie harmonij-ny i doskonały zestrój? czy trafny wybór bohatera pozwolił poetce osiągnąć w obrazie wrażenie perspektywicznej dali?

Przedewszystkiem wyrzucimy za nawias te jałowe a nieskoń-czone spory o „bohatera“. W epopei niema i nie może być bohatera w zwykłym znaczeniu tego wyrazu. Kto jest bohaterem *Iliady*? porywcy Achilles, dumny Agamemnon, zuchwały Parys, czy szlache-tny a nieszczęśliwy Hektor? Bohaterem *Iliady* jest nie jeden jakiś wódz grecki czy trojański; bohaterem *Iliady* jest naród grecki, a choć przemyślny Ulisses wypełnia swoją opowieścią i przygodami całą niemal *Odyseję*, nie w nim spoczywa oś i jądro epopei, lecz — w Grecyi, którą wraz z herosami zwiedzamy, do której tyle lat tęsknił syn La-ertesa, tułając się po świecie. Bohaterem *Iliady* i *Odysei* jest naród grecki, najistotniejsze i najpotężniejsze prądy jego życia, jego zwy-cięstwa i klęski.

I w *Panu Tadeuszu* trudno doszukać się jednostkowego bohate-ra, bo nie jest nim, oczywiście, Tadeusz, ani nawet Jacek Soplica; bo-haterem epopei Mickiewiczowskiej jest szlachta polska ze swojemi cnotami i porywami, ze swoim żywym gestem i tajnem biciem serca, ze swoją zaciętością w sprawach osobistych i ofiarnością w publi-cznych.

*Pan Balcer* pod tym względem dotrzymuje kroku swoim poprzednikom. I tu również wielogłowym bohaterem utworu są te rzesze ludu zbląkanego, odbitego od gniazda, sierocego: „Mazury, Kurpie, Łomżaki, Płocczany, ci gdzieś od Warty, od Bugu samego, tamte od Narwi brunatne sukmany“. *Pan Balcer* jest epopeją ludu polskiego, pierwszą i jedyną u nas, a może i nie tylko u nas epopeją ludu. W ten sposób *Pan Tadeusz* i *Pan Balcer*, dopełniają się nawzajem; a są jak dwaj bracia do siebie podobni.

Tak! bo obaj wyszli z jednego łona matki—teśknicy. Lecz nierówno obdzieliła ich darami swojemi rodzicielka; starszemu dostało się wszystko, co jasne, co pogodne, co kojące, jedyne źródło pociechy i osłody wśród „potępieńczych swarów“; drugiemu, wydziedziczonemu pasierbowi, dano wszystko, co bolesne, szarpiące serce, piólułowe. I dlatego nawskroś *Pana Tadeusza* rozbrzmiewa złoty pobrzęk radosnego śmiechu; po ciemnych ostępach *Pana Balcera* ponurem echem coś jęczy i zawodzi bez ustanku. Przy każdej z postaci dzieł ów ostatniego zajazdu na Litwie widzimy poetę z sercem, wezbranem weselem, z łagodnym uśmiechem wyrozumiałości ojcowskiej na twarzy, z miłością, która szczęście daje; Konopnicka nie opuszcza ani na chwilę ostatniego z uczestników nieszczęsnej wyprawy do Brazylii, szaleje jego bólem, skarży się jego modlitwą, żyje z nim i umiera, miłością nieszczęśliwa. Mickiewicz wspomnieniami duszy utęsknionej trącił o „kraj lat dziecinnych“, a kraj ten stanął cały w blaskach, dźwiękach i woniach, jak wniebowzięty; Konopnicka, ile razy oczy swych bohaterów na wschód obróci, uderza w struny spizowe:

Hej, ziemio, ziemio! Że my się też ciebie  
Puścili... Miedz twych i twojego płota...  
A toż po wodzie my tam i po chlebie  
Moc większą czuli i więcej żywota,  
Niż tu, gdzie wszystko naokół i w niebie  
Cudze i gdzie jest dusza, jak sierota,  
Obzierająca się w dalekość siną,  
Za progiem chaty swej i za rodziną!..

Mickiewicz jest jak ojciec, który wszystkich Bartków i Maćków tuli do łona, łączy szczęścia roniąc, Konopnicka podobna jest do matki, co widzi, jak jej pisklęta odlatują precz od macierzystego gniazda na męki i zgubę, a zawrócić ich, ani zbawić od tego kielicha goryczy nie zdoła...

I taką jest geneza *Pana Balcera*, jak i geneza *Pana Tadeusza* wedle słów samej poetki w jednym ze studyów literackich; zaden

z narodów nowożytnych nie ma takiej epopei, gdyż żaden „nie mógł, nie miał potrzeby uczuwać tak silnej tęsknoty... bo żadnemu nie mogła tęsknota tak wielka wyczarować z duszy tak potężnych i słodkich obrazów... bo żaden nie potrzebował z dumań tych i marzeń tworzyć sobie powietrza, którem-by dyszeć mógł, aby żył.“

Konopnicka znakomicie utrudniła sobie zadanie, kładąc opowieść w usta pana Balcera, przez co dusza jej artystyczna wahać się musiała międzydwoma biegunami: prawdopodobieństwa psychologicznego w bohaterze i wielkości podjętego przedmiotu. Ale z tych zapasów z własnym duchem twórczym wyszła poetka obronną ręką. Najprzód już te warunki niezwykle, w jakich znalazły się na drugiej półkuli te „bociany błędne“, dziwnie wypiękniły je, wyszlachetniły, przetopiwszy surową rudę w kruszec błyszczący i dźwięczny. A potem i sam bohater obrany znakomicie to nie pierwszy z brzegu chłop z zagona, ciemny umysłem i bierny duchem. Pan Balcer—to majster kowalski, człowiek, który darmo nigdzie chleba nie jadł, przetarł się między ludźmi, to i owo zasłyszał i zawidział, i uchodził tak we własnym mniemaniu, jak i zdaniem innych, za bardzo rozumnego i godnego szacunku. A przytem z dobrego jest rodu:

Człek się na prawie majsterskiem osiedział,  
Jest w cechu, tego nie zlizać językiem;  
Chorażew bracką nosi, *ma w Krakowie*  
*Brata, co ksiądz jest—Balcerski się zowie.*

Ten brat ksiądz, jako dowód wyższości i przedmiot rozkosznej dumy, nie mniejszy, jak dla Anusi z galeryi *Moich znajomych*, kilka razy powtarza się w opowiadaniu.

Jednem słowem, Pan Balcer nie jest zbyt ciemny, aby przez jego duszę nie można było przepuścić strumienia piękności, ani zbyt prze-mądrzały, aby snopy piękna artystycznego i wielkości moralnej załamywały się w nim pod kątem, nie wskazanym przez geometryę realizmu przedmiotu, skojarzonego z idealizmem wykonania. W sam raz na osierdzie wielkiego dzwonu epopei ludowej.

Ale Pan Balcer jest naprawdę rozumny. Nie tępem spojrzeniem przerażonego natłokiem nowych wrażeń dziecka, lecz bystrym, pojętym wzrokiem otrzaskanego ze wszystkim bywalca przygląda się rzeczom nieznanym. Oto widzimy go, jak staje na pokładzie parowca, „na pewnych nogach i szeroko w kroku“ i pilnie zważa na wszystko. Już przywykł z wysoka spoglądać na „morską holotę“, już wie, jak się maszty i reje nazywają; już się obcym narodom bacznie przy-

gląda—Włochom, których zwano „Italiany“, i Frauczom, z których zdejmuje portret przedziwny:

Bebłali tylko ten absynt swój z wodą,  
A potem, ręce wsadziwszy w rajtuzy,  
Luzem chodzili z przyciętą w klin brodą,  
Gwizdząc pieśń, co się zowie Marsylianka,  
I gęsto patrząc, gdzie butel i szklanka.

Już się rozpyta o różne rodzaje okrętów: liniowce, fregaty i jachty, zna ich budowę i użytek, i rozumie, że wielkich i niezwykłych rzeczy jest świadkiem:

Piękna to jednak rzecz, niech co chce będzie,  
Na własne oczy zobaczyć te dziwa!  
Zaś, gdy człek wróci i na swojej grzędzie  
Rozstrząśnie snopy z tych ziem cudzych żniwa,  
To choć w pomierzchu i w cieniu usiedzie,  
Zostaną na nim te blaski, te szkliwa,  
I snuć się będą, jak nici pajęczce,  
Kiedy w nich słońce zapali swe tęczce.

Posłuchajmy, jak Balcer rozumuje o równiku, gdzie to „ziemia nakształt wielkiej dyni, brzuchem się tutaj wypycha do słońca, a czuby wciąga, przezornie to czyni, boby ją nawskroś strawiły gorąca,“ o zodyaku i o mlecznej drodze, a potem dodaje:

Lecz inni mówią, że Równik jest na tem  
Miejscu położon, gdzie stanąć ma prawo,  
Jako dla człeka człek równym jest bratem,  
Nie ten na ławie, a tamten pod ławą...

A wreszcie rezolutnie zbija tę nieprawdopodobną legendę:

Dobrzeć-by było to, lecz radbym wiedział,  
Kto będzie majstrem, a kto czeladnikiem,  
Kiedy i w kuźni ustanie ten przedział,  
A chłopak mi się zastawi równikiem.

Albo przysłuchajmy się, jak „geografię Bazylji na własny ład komentuje“ i tłumaczy, dlaczego tu góry „Sery“ się zowią:

... ziemię surową

Najpierw tam ciepłe wygrzeją bagniska,  
Potem się wody z niej scedzą, a ową  
Miazgę, jak twaróg, tak słońce wyciska,  
Aż stęgnie, stwardnie i czuby, jak szydła,  
Postawi,—właśnie jakby ser z tworzydła.

I potem dzielny pan Balcer, krzepki ciałem i mężny duchem chociaż wierzy, że Archanioł Michał nabija harmaty, co piorunami strzelają, chociaż w trudniejszych okolicznościach życia ucieka się po mądrość i radę do „sennika egipskiego“, wysuwa się na czoło gromady rozbitków w walce z przyrodą i ludźmi, głodem i męką, losem i śmiercią, jest jej przewodnikiem, nie traci nigdy ducha, zawsze „pewny w nogach i szeroki w kroku“. Serce jego hartowne nie jest jednak szorstkie i nieczułe, choć nie rozkliwia się zbyt łatwo; chyba, że mu śmierć, „ślepa żniwiarka“, ugodzi w „kwiatuszek biały od rosy“, dziewczkę ukochaną, a wtedy w bólu niezmiernym bodaj od Ojca zadzumionych nie mniejszy; chyba, że za rodzinnymi lasy i polami oczy jego i dusza pobiegną; chyba, że Konradową skargą serce mu wzbierze i wydrze mu się z gardła „krzyk przeciw naturze“:

Wiejcie więc teraz wy, wichry pustyni!  
Krzyczcie więc w niebo, jęczące wy głosy!  
Niech się tu koniec wszystkiemu uczyni,  
Niech—jako psi kość—tak zgryzą nas losy!  
Lecz ciebie Chrystus o krew tę obwini,  
Ziemió ty, co tu takie pijesz rosy...  
Co milczkiem strzały wypuszczasz w piskłeta  
Bezpióre, w puchu jeszcze... Bądź przekłeta.

I przyjdzie chwila, że Balcer, gorąco i szczerze wierzący Chrzescianin, co z taką otuchą i nadzieją w sercu wyruszał w podróż, ufając, że „człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha, k a t o l i k p r z e c i e, B ó g n i e d a m u z g i n a ć“, zwątpi o dobrotliwym oku Opatrzności, czuwającym nad osierocalym ludem wygnańców, i zapyta z gorącością:

...Czyś ty nas widział tam, o Chryste Panie,  
Straconych w onej okrutnej gęstwinie,  
Gdzie żaden ludzki głos, ani wołanie  
Ómy nie przebiję, i stłoczony ginie?

Czy ty nas slyszal wieczorem i ranie,  
 Obwolujacych Ciebie przez pustynie,  
 Ktore za nami zamknely sie sciana,  
 Z mrokow niezbytych na glucho kowana?

Takim jest pan Balcer, w którym wszystko w miarę skrajane: i rozum, i uczucie, i siła ducha, i miękkość serca, natura już nie pierwotna, ale jeszcze nie zepsuta—to krew z krwi i kość z kości ludu i dlatego on, jako bohater tej epopei osadnika polskiego w Brazylii, jest właśnie taką postacią, jakiej potrzeba było poetce: potrafi wyśpiewać, tak największe cuda, jak najsrozsze boleści, i to językiem jędrnym, śpiewnym i barwnym zarazem. Takim językiem przemawiała-by *Banasiowa* lub staruszka *U źródeła*, gdyby jej dano cudną melodyę *Na fujarce* i nierównane bogactwo palety *Italii*.

Nie uczyniła poetka bohaterem takiego np. Horodzieja, starego chłopca z Podlasia, pełnego namaszczenia, powagi i mistycznej głębi, chociaż postać to najbardziej uduchowiona ze wszystkich: bije od niego jakaś wielka mądrość, jakaś gołębia czystość, jakiś urok czegoś niezemskiego. Jest on jakby wcielenie sumienia tego ludu tułaczego i rozumu, co nie z ziemi, lecz z nieba początek bierze. Jakże majestatycznym jest Horodziej, kiedy np. godzi zwaśnionych i uśmierza wzburzone namiętności, kiedy, jak posłannik Boży, „westchnieniem wzbity nad własną naturę“, chrzci narodzone na okręcie dzieciątko, lub kiedy umiera wśród skalnych bezdroży, „jak labędź biały, gdy srebrne puchy rozpuści na wietrze“. Ale gdyby Horodziej był bohaterem epopei, rozplynęła-by się we mgłach mistycznych, nie miała-by ani tej siły, ani tej tężyzny, ani tej obrazowości, jaką nadaje jej zdrowa, muskularna figura pana Balcera.

GORZEJBY jeszcze było, gdyby poetka włożyła opowiadanie w usta takiego np. Opacza, bo nie jest on tak kryształową duszą, jak Balcer: i pojęciami, i pogardą obyczajów wiejskich daleko odsunął się od chłopskiej wspólnoty; naleciałości cywilizacyi fałszywej a powierzchniowej odchyliły go od pnia rodzimego.

I Roch Zatrata z Łęczny, choć „setny chłop“, nie zdał-by się na bohatera tytułowego; jest to człek ponury, zacięty, awanturniczny, uosobienie drzemiącej jeszcze, utajonej siły, której nie trąciła dotąd złota strzała uświadczenia.

Ale wszyscy, pomimo różnorodności swego wyglądu, języka, charakteru, wspólnie noszą na sobie piętno i składają się na obraz pstry, lecz jednolity. Oto cały ten tłum—od starego Proskurata, któremu w przedśmiertnej wizyi ukazuje się słońce lat młodzieńczych: Napoleon, do Opacza, od Magiera, stelmacha z Łukowa, co

„grał w szlachcica“, do Łucia Ostańczuka, co sobie w puszczy podzwrotnikowej „wydumał Polesie“ i żółwia sztuk wyuczył,—ci wszyscy, wspólnością losów związani, jednoczą się w jednym uczuciu bólu i tęsknoty.

Tęsknota—to duch, co orlem skrzydłem przelatuje z końca do końca *Pana Balcera* i z prostych i ciemnych ludzi czyni bohaterów; tęsknota—to łza, która drży w każdym wierszu, w każdym zwrocie, w każdym porównaniu. I wtedy Konopnicka, jak wedle jej słów własnych Mickiewicz w *Pamie Tadeusza*, „tworzy te precudne antytezy swojskiej i obcej przyrody, antytezy, które zawsze wypadają na korzyść przyrody swojskiej“. Bo i skąd Balcer ma czerpać materiały do porównań i przenośni? z tego świata, w którym żył, którym oddychał, aż do chwili wstąpienia na pokład „Krejca“, z tego życia, które mu dotychczas było najbliższe i najdroższe, i będzie zawsze najdroższem, chociaż blizkiem być przestanie. Wszystkie więc wrażenia przekłada się na język zrozumiały dla dotychczasowego kręgu pojęć: praca rolnika, wieś, pole, las swojski, polowanie, kuźnia, niejasne, choć promienne wspomnienia jakichś dawnych bojów—oto dziedziina znacznej większości zwrotów poetyckich *Pana Balcera*. I jest w tem i prawda uczucia, i prawda rozumu, i jest urok piękna niepospolitego. I cóż stąd, że okręt przyrówna się do raka lub „szczuki“, rekina do „żaby“ lub „kijanki“: czuć tu pewien odcień humoru, ale te „antytezy swojskiej i obcej natury“, tak niezwykle, nie tylko zatracają strunę zawsze potężnego liryzmu, tego samego, co Mickiewiczowi kazał z rozrzewnieniem wspominać żaby, bigos, kawę, muchy na Litwie, Balcerowi „żytniówkę, naszą poczeiwą siwuchę“; one i artystycznie są niezrównane, tembardziej, że nie poetka sama, lecz kowal wiejski, Balcer, je składa.

Spójrzmy, jak pan Balcer opisuje puszcę brazylijską, owe ogromne bory, sadzone tutaj od „naczęcia świata“: skrzypy—jak „w organie fujary“, jodły—jak „szabasne świeczniki“, stołby—„niby kościelne filary“, tak „kołyszące się, jak z masztów, wiechy“, to „in-sze, krągłe zbite, jak strzechy“; piasków tu niema i brzoza nie rośnie; ale tyle przepychu i bogactwa, „jakby skarb nagle otwarły ci duchy, co go w Ojcowskich skałach skarbnik strzeże, aż, przecknie Łoktek ze snu i rycerze“. A nad puszczą unosi się par duszny, jak „gdy w łaźni grają piece, a piźmo tęgie czuć, niby w aptece.“

Takich przeciwstawięń cudnych na każdym kroku—garście całe. Pan Balcer dziwi się np. karności na okręcie i dodaje: „nie tak się niedźwiedź pilnuje muzyki, gdy mu na drumli gra Cygan w odpuszcie, jak tu człek prawa morskiego i rządu“; a kiedy chce powiedzieć, iż okręt idzie drogą wyznaczoną, tak myśl swą dosadnie wyrazi:



To prędej u nas chłop zmyli w Sterdyni  
Drogę, z odpustu idąc, do rogatek,  
Niż na tych wodnych obrusach ten statek.

Kiedyindziej opowie anegdotkę o majtku, którego wraz z łódką noc całą ciągnął rekin, uchwycony na żelazo, „jak lina, co na niej Bugiem prowadzą gabary do Uściługa“. A kiedy burza rozszaleje się na morzu—jeden z piękniejszych opisów pana Balcera — przypomną mu się Kampinos, Myszyniecka, Zielona i Białowieska, sławne puszcze, w których również słyszał „burze tęgie“ — ale, gdzie im do owego strasznego huraganu na oceanie!

To znów wspomni Bielany i drogę „Wisłą z Rybaków na Pragę“ lub „tratwy, luzem płynące po Wiśle“; albo też widzenie „czajki na Dnieprze“ i bobrów na Biebrzy rzece komuś lżą w oku zaświeci.

Widok czarnych murzynów przywiedzie panu Balcerowi na myśl „baranów z kiermasza w Łukowie, w Miednej, aboli w Wołyni,“ a wodę w rzece do Bugu przyrównywa; i aż dziwno słysząc, jak „wśród syku gadzin i papug poswarku“ rozlegną się pieśni „od Wisły, od Buga“...

Takie cudne wzory tka Arachne - tęskuota na szarej osnowie wyobraźni prostaczej!

I chyba że przyjdzie jakiś obraz wielki, zjawisko, które wstrząśnie i zmąci do dna istotę ludzką, a wtedy duch, porwany szaleem zachwyty lub trwogi, o swojskich rzeczach na chwilę zapomni. I wtedy poetka przywoła na pomoc całą potęgę swego obrazowania, jak np. w wyżej wymienionym opisie burzy morskiej lub huraganu w puszczy dziewiczej Brazylii:

A wtem się zaniósł wiatr. Zrazu padołem  
Rozszeptał trawy, rozszumiał byliny,  
Zaś się zamachnął szeroko, a kołem  
Trask i syk poszedł łamiącej się trzciny,  
Aż wzmógł się, zebrał w sobie, gruchnął czołem  
W odwieczne stolby borowej głębiny,  
Zatrząsł pnie, wzleciał, urwał się ze smyczy,  
I po wierzchołkach w tysiąc świsnął biczy.

Zawyla puszcza. Huk poszedł po kniej,  
Jakby sto gromów trzasło. Już świst dziki,

Leci przez wzdęte struny tej zawiei,  
 Jak przez syczące, węzowe języki,  
 Już zgrzyt, szum, łoskot, nie patrząc kolei,  
 Buchnęły w jeden gwałt! Aż z tej muzyki  
 Przeciągłe wyszły jęki i lamenty,  
 Od ziemi, aż po nieba fundamenty.

Bór ożył. Drzewa wyciągają ręce,  
 Załamią z trzaskiem je i trzęsą niemi;  
 Insze w śmiertelnej skurczyły się męce,  
 Wiją się, głową uderzą po ziemi;  
 Te ryk rozpaczy mają; te—dziecięce  
 Głosy rzewliwe, z skargami cichemi...  
 Insze stanęły z wyciągniętą szyją,  
 I jak psi na mór lub na wojnę — wyją.

Czasem upadał wicher, jakby od gromu,  
 A puszcza niema stawala i głucha.  
 Tak matka, gdy jej trumnę syna z domu  
 Niosą, na progu zmartwieje i słucha...  
 Aż znów się zrywał jęk, świst, huk, trzask łomu,  
 Znów trzęsła borem dzika zawierucha,  
 Skroś której wyły tak okropne głosy,  
 Jakby świat tarzał się i darł za włosy.

Przytoczyliśmy umyślnie dłuższy urywek tego opisu, aby wykazać na jakich wyżynach plastyki stanęła tu Konopnicka. Obok niej nikt, nad nią—twórca *Pana Tadeusza*.

Tak więc opisy natury w tym ostatnim, dotychczas nie dokończonym jeszcze, niestety! arcydziele Konopnickiej stoją w zupełności na poziomie wymagań epopei. I gdy rzucimy teraz okiem na olbrzymie tło tych żywiołowych, nieujarzmionych potęg, szczupłą garstkę wychodźców polskich, tragizm *Iana Balcera* uwidatni się nam w całej pełni. Bo też, o ile w I-ej pieśni: *Na morzu* <sup>1)</sup> było jeszcze pewne wahanie,

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska“, rok 1892, tom III, str. 468--507 i tom IV, str. 442—468.

a tłum tulaczy był, jako „lan żytni, gdy wiatry nim chwieją, między żalością i między nadzieją“; to w II części<sup>1)</sup> nadziei już nie masz, jeno jest walka, jeno jest męka, jeno jest konanie. O ile z początkiem tłum ten przedstawiał się humorystycznie napoły, kiedy, na wzór braci szlachty w karczmie w *Paniu Tadeuszu*, wzniecał gwarne spory to o szlachectwo i herby, to o przewagę różnego rodzaju broni, o tyle w późniejszych pieśniach, zwłaszcza w III *Powrót*<sup>2)</sup>, już uśmiechu nie stanie, nawet łez w oczach zabraknie, aż przyjdzie taka chwila straszna, że chłopci na złość ściągającemu ich losowi umrzeć zapragną, zwątpiwszy, iż kiedykolwiek dotrą do morza.

I gdyby nie zdrowotność moralna Balcera, gdyby nie Horodzieja anielskość, tu nastąpiło-by straszne tej tragedyi chłopskiej rozwiązanie...

I z jakim talentem umie Konopnicka odtwarzać psychologię duszy chłopskiej! Ta zbiorowość, której *Pan Tadeusz* zawdzięcza najcelniejsze swoje obrazy: rada w Dobrzyniu, zajazd, bitwa, uczta, i *Panna Balcera* uczyniła epopeą. Bo nie o garstkę wychodźców tu chodzi, lecz o rysy duchowego oblicza ludu całego, który się streścił i zamknął w postaciach Balcera, Horodzieja, Zatrąty i ich towarzyszy. A że akcyę utworu przeniosła poetka z pośród lanów i łąk naszych w dziewicze lasy Brazylii, dowód to wielkiej przenikliwości i zmysłu artystycznego. Jak przyrodnik, który pragnie czynić porzuczenia nad pewnem zjawiskiem, odosabnia je od innych, stwarza dla niego warunki niezwykle i nieprzyrodzone, a wtedy objawy występują w postaci najczystszej i najdoskonalszej; tak Konopnicka, chcąc wykrzesać snopy iskier z piersi chłopskiej, wyrwała ją z otoczenia codziennego i, wedle rady Syzyfa, uderzyła „człowieka o Zeusa...“ I błysnęło światło i rozbiło się w tęczę stubarwną, a z duszy chłopskiej wytrysła cała gama tonów silnych i harmonijnych... Cała pełnia tonów...

A jeden z tych dźwięków najdonioślejszy. Gdy pan Balcer spotkał w Brazylii kolonistów niemieckich, wydziwić się nie mógł ich zdolności przystosowywania się do nowych warunków bytu: „lutry takie i kalwiny“, jak te, co „u nas po Olendrach siedzą“, żyją tu „powoli, cicho, zgodnie, bez hałasu, siłę swą z sobą i ład niosąc wszędzie“:

1) Tamże, r. 1897, tom IV, str. 82—104, 293—314, 427—446.

2) Tamże, r. 1900, tom IV, str. 141—173, 336—354; r. 1901, tom IV, str. 107—127.

Nic nie znać na nich tęskności, żałoby,  
 Pod którą brat nasz z sił schodzi i spada.  
 Spokojnie czynią rzecz swoją, jakoby  
 Tu się rodzili i żyli z pradziada.  
 Skończą robotę, to w różne sposoby  
 Śpiewają chórem, jak szpaków tych stada,  
 Z wiatrówek biją, biegają do mety,  
 Potem fasoli pojedzą, i—w bety.

Ale nasz chłop, gdy go z rodzinnego zagonu przesadzić na grunt  
 obcy, wiecznie wzdychać będzie do swojskiej gleby i zwiędnie,  
 jak płonka z podciętych korzeniem.

I to jest wielkość, i to jest piękność, i to jest żywy zdrój wszyst-  
 kiego, co czyste i szlachetne...

I to właśnie uczyniło *Pana Balcera* epopeją...

Jak *Tadeusz* jest epopeją za swe umiłowanie milionów, tak *Bal-  
 cer*—dla męki za miliony.

## XI.

Do czterech żywiołów świata przy-  
 był nowy, potężny żywioł: ból. Ten miał  
 siły za cztery, i treści za cztery: wiech  
 jęku, łez morze, ogień męki i ziemię  
 mogiłnych prochów. Na tej co stanie,  
 wieczne jest.

„Prometeusz i Syzyf.“

Konopnicka należy niewątpliwie do tej szczupłej garstki wybra-  
 nych duchów, których obrazem i przewodnikiem duchowym jest Prome-  
 teusz. Ale do tego wielkiego mistycyzmu mogą być dopuszczeni ci  
 tylko, co czoło swoje uświęca chryzmatem—bólu.

W tym bólu niema nic osobistego, ni cienia skargi na nie-  
 wdzięczność ludzką, na brak uznania i samotność duchową.

I niepodobny jest ten ból do uczucia Byrona czy Słowackiego;  
 niemasz w nim miłości w połączeniu z odcieniem pogardy, goryczy,  
 nienawiści. Bo chociaż we *Fragmentach* brzmiały wyrzuty surowe

i bolesne, wnet je zgłuszyły rosnące coraz, wzmagające się okrzyki tryumfu, nadziei i zwycięstwa nad samym sobą, nad własną nędzą i biernością.

Jeżeli mówimy o różnorodności tonów Konopnickiej, to stosuje się to jedynie do formy, nuta zasadnicza bowiem pozostaje zawsze ta sama: czy to w *Obrazkach*, czy w *Nowelach*, we *Fragmentach*, czy w pieśniach fujarkowych, w *Prometeuszu i Syzyfie*, czy w *Panu Balcerze* — to cierpienie nad niedolą ludzką i poniżeniem, nad roztrwonionymi skarbami, nad niewydobytym jeszcze z piersi ziemi bogactwem. Wszędzie dzwoni ta sama skarga: „moje serce smętne jest i boli“.

Ale w tem właśnie spoczywa zaród wielkości, potęgi i piękna. Bo ten ból jest zarazem źródłem hartu i męstwa; ma „siłę za cztery i treści za cztery“. Nie podobien zgoła do tego uczucia, co rozpościera nietoperzowe skrzydła nudy i apatyi, nie płoszy zimnym oddechem krzepkości wszelkiej, żądry wszelkiej, żądry chcenia czegokolwiek. To, co Konopnicka wypisuje na swoim sztandarze, to życie, to — nieśmiertelność.

Idzie więc poetka po smutnych polach, przysłuchuje się echem żalostnej ligawki chłopskiej, łyzy zbiera i krople krwi liczy. A duch jej, wchłaniając w siebie te słodkie trucizny, wyolbrzymia się, potężnieje.

Nie ominie żadnej rany, wszystkim klęskom tej ziemi się przyjrzy, do cel więziennych przeniknie z sercem płomiennem i czułem, zejdzie na samo dno przepaści hańby i poniżenia, za osadnikami polskimi zapuści się w najgłębsze ostępy puszczy dziewiczej i wraz z nimi skarżyć się będzie Bogu. I serce jej krwawi się coraz bardziej, coraz boleśniej, a ciernie coraz głębiej wpijają się w czoło i stopę... Ale ci, co spojrzą na Prometeja, co cierpi i świeci w męce, czują w sobie rosnący duch.

I wszystko zmierza ku jednemu celowi: i kwiecistość dwu pierwszych seryi *Poczyji*, i filozoficzne głębie *Fragmentów*, i prostota *Nowel*, i muzyczna doskonałość *Na fujarce*, i niebotyczne wyżyny sztuki *Itali*, i nieobjęty tragizm *Pana Balcera*, nie dla igraszki pustej stworzone, nie dla popisania się przed tłumem zręcznością zonglera, co dziesiątkami kul błyszczących przed olśnionymi oczyma widzów podrzuca: ona nie da się złudzić wirowi obrazów, w których treści brak. Ona całe bogactwo środków artystycznych, bogactwo nieprzebrane poświęca na ołtarzu dobra społecznego. I to właśnie czyni ją tak bliską sercu naszemu, mimo olbrzymich wyżyn ducha twórczego, na jakie wzniosła się autorka *Prometeusza i Syzyfa* i *Pana Balcera w Brazylji*.

Konopnicka przedziwnie łączy w swem usposobieniu poetyckiem iście kobiecą wrażliwość na boleść wszelką z prawdziwie

męską stalowością; nie tylko rany jątrzące się odsłoni, ale i wnet pośpieszy z kojącym balsamem. Jej poezya, jak ów oręż mistyczny, zadaje ciosy i leczy zarazem. I dlatego pieśń jej tak rozległem echem przeszła przez serca: każdy, kto płacze i boleje, znajdzie tu jęk własnej duszy; każdy, kto chyli się i upada na duchu, nie odejdzie stąd bez pokrzepienia. Bo w tej poezyi jest wszystko, co w boleści i przez boleść wielkie: „wicher jęku, łez morze, ogień męki i ziemia mogiłnych prochów“. A kto z tego strumienia się napije, ożywion jest.

I rzecz dziwna! ta, która od pierwszej chwili swego wystąpienia na niwie poetyckiej stanęła w szeregach prometejowych, jako bojowniczką postępu, zdaje się do owoców cywilizacji czuć niechęć. Ale to tylko złudzenie! ona nie lubi tylko tego, co spaczono, od pierwotnej czystości natury ludzkiej z rozmysłu lub z konieczności odchyłone, nieszczere i nieprawdziwe; ona zawsze przekłada najuboższy w efekty malarskie las nad sztucznie sadzony park, starannie wygrabiony i strzyżony; ona wie, że pod maską zewnętrznej kultury kryje się rozpaczliwa pustka i zgnilizna. Dlatego po przedmioty do nowel sięga do prostych i miernych dusz, jakby stroniąc od ludzi „cywilizowanych“; i z miast ucieka na wieś, bliżej natury i bliżej ludzi, co nie wyobcowali się jeszcze z natury. I niema poety, który-by tak, jak ona, podsłuchiwał i wyśpiewał najtajniejsze głosy wsi naszej: od rajskiej pogody *Banasiowej* do okropnego skowytu duszy chłopskiej w *Paniu Balcerze* wobec potęg żywiołowych, nad którymi niemasz zwycięstwa, od szelestu dzwonek leśnych do ryku burzy podzwrotnikowej. Wielka miłość ludu, głębokie odczucie jego uciech, trosk i cierpień przenika całą twórczość autorki *Fragmentów*. Olbrzymi „uczuciowy krąg“ poetki obejmuje coraz szersze, rozleglejsze horyzonty; już nie ogranicza się chatą, i niwą nad Wisłą, Sanem lub Wartą, lecz rozciąga się miłośnie na obie półkule, idzie wraz z Balcerem wszędzie, gdzie serce polskie bije i cierpi, i duch się łamie i miota. Jak *Pana Balcera* nazwaliśmy epopeją ludu naszego, tak Konopnicka wogóle jest prawdziwą poetką ludu: wszystkie ogniwa jej twórczości stalowe, srebrne i złote, drogiemi kamieniami świecące, w ten krąg się wplatają i wiążą.

Duch poetki dąży zawsze ku krańcom: niczem nie zmaczonej prostoty i pierwotności uczuć i myśli, i alpejskich ich szczytów. Na jednym z tych końców stoi pan Balcer i Banasiowa, na drugim—Rafał i Michał Anioł. Precz ze wszystkim, co pośrednie, przeciętne, pospolite!

Ale i z zawrotnych wyżyn *Italii* schodzi się rychło — w dolinę łez...

Oto, czemu Konopnicka gardzi marną popularnością, która zamyka się tak często w uznaniu dusz miałych i nędznych, której najwznioślejszym wyrazem jest zwrot stereotypowy: „nasza znana.“ Ale autorka *Prometeusza i Szyzysa* nie ma i nie może mieć powodu uważać się na zdawkowość wygłaszanych o niej frazesów. Imię jej nie przeminie, jak nie przeminą głoszone przez nią ideały, bo przyjdzie czas, że i ona zabłądzi pod strzechę i nieśmiertelność stanie się jej udziałem. I wszędzie, kędy „płacze dola“, jej pieśni skowronkowe i słowicze znajdą nie poklask marny, po którym echa milkną tak szybko, ale łzę w oku i ciche westchnienie, w którym cała głębia duszy otwiera się, oczyszcza i umacnia.

Tak! bo, jak sama poetka powiada w jednej z piękniejszych strof *Imaginy*:

Ach, i ten mnie zna, co bezsenne noce,  
 I bezsłoneczne dni na ziemi liczy,  
 Co wie, jak ptak się więziony trzepoce,  
 A ile kropel jest w morzu goryczy...  
 Ach i ten mnie zna, co widzi w pomroce,  
 I rękę kładzie na puls tajemniczy,  
 I wie, co bólu mieszczą i co skargi  
 Usta bez jęku, a bez głosu wargi.

Tym wszystkim zawsze będą pieśni Konopnickiej do dna wzruszały duszę wstrząśnieniem wielkiem, szlachetnym i ożywczym.

I pieśniarka *tana Balcera* w tych milionach serc znajdzie nieśmiertelność...

A dusza jej rozłamie się na miliony cząstek, a każda słonecznym blaskiem zajaśnieje i głos jej przejdzie z pokolenia w pokolenie.

HENRYK GALLE.

## Pogadanka artystyczna.

---

Przegląd artystyczny półroczna pierwszego w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych.—Wystawy specjalne: Jan Matejko, Józef Pankiewicz, Michał Wywiórski, Stanisław Masłowski, Józef Rapacki i Stefan Popowski.

---

Rozwój stały produkcyjności sztuki wpłynął na ukształtowanie się jej życia pod względem praktycznym. Podczas gdy dawniej utwory artystów przechodziły bezpośrednio z pracowni do rąk nabywców, lub czekały tam na nich niedostępne dla ogółu, pierwsza wystawa sztuki niekorzystne te warunki zmieniła. Śmiało rzec można, że fakt ten stał się epokowym w życiu sztuki, poddając je ścisłej i uzasadnionej organizacyi. Dawna jej rola pupila, cieszącego się opieką bądź jednostek, stojących najwyżej, i sfer wybranych, miłujących ją istotnie, bądź sfer burżuazyjnych, używających jej za wyraz swej siły materialnej, przybrała charakter inny. Pomimo bowiem, że sztuka była przedmiotem rywalizacyi miast i państw, chluby i zazdrości, że płacono ją dobrze, pomimo, że rozumiano ją jako czynnik, ważny w rozwoju duchowym narodów, tytułu jednak tego nie posiadała. Oficjalnie przyznała go jej dopiero wystawa pierwsza, kosztem państwa urządzona. Był to akt upaństwowienia sztuki.

Skutki tej organizacyi ujawniły się niezwłocznie, wywołując następstwa własne. Dzieła sztuki zaczęły napływać na wystawy powodzią; każdy nowy katalog podaje coraz to wzrastającą ilość nazwisk autorskich, przedtem nieznanych. Matadorowie prawdziwi, lub za takich głoszeni, pochłaniali uwagę ogólną, a resztki jej dostawały się satelitom, twórcy zaś dzieł odrzuconych, rzecz prosta, nie zasługiwali na żadną uwagę; wśród nich jednak zdarzali się artyści młodzi, często jeszcze niewyrobieni, lecz namaszczeni stygmatem posłannictwa prawd nowych. Ci, wierząc w swe przeznaczenie, podjęli walkę protestem i łącznie z towarzyszami losu odrzuconych zaczęli tworzyć wystawy tylko grup pewnych. Zewnętrzne te okoliczności zro-



dzily wśród wystawców ducha separatyzmu, który na razie był tylko reakcją odruchową, wkrótce zaś wzrósł do znaczenia siły samodzielnej i kierującej.

W coraz to potężniejszym ogromie wystaw osobowość twórcza jednostek, zwłaszcza nieznanych, słabo i tylko częściowo mogła się wypowiadać. Nieraz ginęła zupełnie. Produkcje artysty z całych dziesiątków lat ukazywały się pojedynczo, tak, jak się rodziły. Wątek rozwoju, przemiany w jego działalności, wszelkie *crescendo* i *decrecendo*, słowem cała tak wysoce interesująca psychologia twórczości rozplywała się w czasie rozciągniętym, nasuwając trudności wielkie, lub zgoła niemożność poznania jej nawet dla tego, kto przebieg jej pragnął śledzić uważnie. Wynikającą stąd stratę własną najlepiej rozumieli sami twórcy. O ile przeto uczestniczenie, choćby jednym dziełem, w wystawach ogólnych, zwłaszcza w środowiskach wielkich, pozostało kwestyą ambicyi osobistej artysty, o tyle uzewnętrznienie się jego istoty zupełne, ofiarowanie widzowi całokształtu tego, co w niej jest najlepszego, jako potrzeba i pragnienie szczere, bezpośrednio z istotą jego twórczości związane, znalazło ujście w wystawach wyłącznych, tak zwanych *specjalnych*, będących na dziś formą najdoskonalszą, zapewniającą artyście możliwość kontroli nad samą sobą, widzowi zaś — utrwalenie pojęcia pełnego o jego osobowości.

Zapoczątkowane przed niedawnym czasem na Zachodzie, wystawy te weszły prędko w użycie w całej Europie, trwając zaś zwykle niedługo, stały się jednocześnie czemś w rodzaju *spiritus movens*, utrzymującym zaciekawienie ogółu dla sztuki w stanie ciągłej pobudliwości. Nadto zakres zadania ich rozszerzył się znacznie. W skład ich weszły wystawy pośmiertne, wystawy działów specjalnych sztuki współczesnej i minionej, ilustrujących epokę daną, lub kierunek. Dowodem racyi bytu, powodzenia ich i potrzeby jest choćby fakt z życia sztuki w Warszawie: półrocze pierwsze roku bieżącego, obok wystawy stałej, liczy pięć specjalnych.

Szereg ten rozpoczęły jednocześnie dwie wystawy: dzieł Matejki młodzieńczych i późniejszych, ogółowi nieznanych, oraz całej dotychczasowej działalności Pankiewicza.

\*

\*

\*

Matejko od dzieł swoich wymagał doskonałości nie mniejszej, jak pojęcie nasze o potędze duchowej, które się na zawsze z imieniem jego złączyło. Żyjąc jedynie dla sztuki, od lat najmłodszych, gdziekolwiek był—w pracowni, czy poza nią—pracował dniami całymi. Jak zaś rzecz każda rosła w jego rękach, z jaką szybkością i łatwością pędzel jego przerabiał farby w kształty żywe ruchów i wyrazów, nie ma pojęcia o tem, kto go przy tej pracy nie widział, sam będąc nie widzianym<sup>1)</sup>. Rzecz prosta, iż wobec tego stopy studyów, notat, szkiców i projektów mnożyły się, zaściełając pracownię. Że były między nimi rzeczy genialne i niemniej zasługujące na widzenie, niż olbrzymy-obrazy, świadczyły o tem komplety, wystawiane na sprzedaż po śmierci Matejki tu i owdzie. Sam Matejko jednak, hołdując zapewne swemu przekonaniu, że znaczenie doniosłe tylko może mieć skończone dzieło, notat tych nigdy nie wystawiał, czyniąc z nich czasem upominki dla osób, które umiały zaskarbić sobie jego życzliwość, lub wdzięczność. Na tych motywach wzrósł interesujący i bogaty zbiór pana Gorzkowskiego, jaki się w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych ukazał.

Większa część zawartych w nim rysunków pochodzi z najwcześniejszych lat Matejki. Patrząc na te jeszcze nieudolnie rysowane głowy, wczesnie już noszące na sobie wyraz jakiegoś przeznaczenia, w których Matejko młody walczy z trudnościami linii, a mając w pamięci późniejsze bohaterskie typy Zygmunów, Witolda, Rejtana i kobiet o majestacie królewskim, które raczej rodzicielkami narodu, niż rodzin, nazwać-by można, doznaje się tego samego wrażenia, jak przy oglądaniu podobizn trafnych jednych i tych samych osobistości—z lat dziecińczych, kiedy ich rysy nieurobione embryonalne jakieś nieforemności posiadają, i — późniejszych, gdy się rozwinęły w kształty pełne, urobione, nie tracąc przytem podobieństwa do swej formy pierwotnej. Widać w nich jednak zawziętość uchwycenia charakteru, po-

---

1) Matejko, malując Joannę d'Arc, nie mógł w swojej pracowni rozwinąć całego obrazu, potrzebując więc sali większej, pod koniec roku szkolnego przeniósł się z płótnem do sali aktów wieczornych (w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych). Pracowaliśmy w kilku w sali sąsiedniej i mieliśmy sposobność widzieć go przy pracy przez otwór we drzwiach. Nadzwyczajna, wprost maszynowa szybkość i pewność ruchów jego ręki wprawiała każdego z nas w stan skupienia i podziwu niemego.

wtarzającą się również w postaciach obrazka olejnego, jednego z najdawniejszych, z 1853 roku, pod tytułem: „Hetman Żółkiewski“, który, pomimo dyletantyzmu wykonania, pozwala już pasować autora, chłopca czternastoletniego, na malarza z krwi i kości. Cechą malarską tej kompozycji jest układ światłocieniowy, przez jaki pewna grupa występujących w niej osób staje się grupą główną. Ruchy postaci są jednakowe. Doniosłość faktu, powagę chwili historycznej autor młodociany starał się wyrazić przez spokój. Wypadł on sztywno i urzędowo. Była-li ta urzędowość wynikiem wpływów epoki pseudoklasycyzmu konwencyonalnego, zakorzenionego wówczas w Krakowie, czy też obawy przed trudnościami ruchów żywszych, trudno orzec; lubowanie się jednak Matejki późniejsze w ruchach i skrótach najśmielszych, oraz władanie nimi równie łatwe, jak pozą najzwyczajszą postaci, następnie współczesny „Żółkiewskiemu“ obrazek, wyobrażający „Henryka Walezego“, w którym gwałtowne wspinanie się konia, wstrzymywanego przez dworzanina królewskiego, wrodzone te skłonności artysty cechuje, każą przypuszczać, że ręką jego kierował prędeż duch tej epoki, niż nieważenie się na trudności.

Bezwzględnie najciekawszą z pośród początkowych prac Matejki jest portret zbiorowy jego rodziny z podobizną własną. Charakter szkoły niemieckiej z epoki Holbeinowskiej przebija zarówno w całości, jak i w szczegółach. Ugrupowanie osób swobodne, niepretensjonalne, niedbające o malowniczość, wydaje się jakby przejęte wprost z jakiegoś obrazu starego; troskliwość natomiast wielką widać w uchwyceniu linii charakterystycznych dla głów i rysów poszczególnych. Tę samą staranność czuć w doszukiwaniu się koloru zdecydowanego, tęgiego. Jeśli Matejko był istotnie nawet inspirowany przez jakiś obraz, zasługi mu to nie zmniejsza, mówi raczej na jego korzyść, że, będąc tak młodym, wybierał wzory najlepsze i najwięcej mogące go nauczyć. Pomimo, że portret ten pochodzi z tego samego czasu, co „Żółkiewski“ i „Henryk Walezy“, pomimo łamania się w nim ręki niewprawnej z trudnościami technicznymi, zaletami swymi wychodzi poza granicę dyletantyzmu. Jest on więcej interesujący i artystyczny od znacznie późniejszych studyów głów, pochodzących — jedno z roku 1855, dające profil mężczyzny (z brodą, w szlafmicy), drugie z 1857 roku, również głowy męskiej. Obydwa są mniej żywe, wykazują pochodzenie szkolne i poddanie się Matejki jej niewolnictwu. Porównane z portretem zbiorowym i ze studyum głowy mężczyzny młodego, ubranego w czapkę futrzaną (z roku 1858), rażą wymęczeniem i przerobieniem.

Ostatnie to studyum w stosunku do prac innych rozpoczyna okres nowy. Z nieśmiałego, wydłubującego kształty, Matejko zmienia

się w malarza, pewnego pociągnąć swego pędzla. Plaszczyzny rozszerzają się, tony miękną i soczyścieją coraz więcej (studium głowy młodej kobiety); doskonale zaś malowane i pełne wyrazu słodczy jest studium, robione w roku 1865 (z pani Makomaskiej).

Szkiców do obrazów o treści historycznej zbiór pana Gorzkowskiego zawiera cztery. Porządek chronologiczny ich jest następujący: „Światopełk, książę pomorski w Gąsawie“ (1866), „Rzeczpospolita Babińska“ (pomysł pierwszy, 1870), „Jan Sobieski wysyłający do Rzymu Denhafa z wiadomością o zwycięstwie“ (1879) i „Jan Żyżka z Trocnowa w bitwie u Kutnej Hory“ (1884). Pomijając stronę rozwoju zdolności kompozytorskich i wykonawczych, jaki w okresie tak znacznym musiał uległ równie wielkim zmianom, szkice te, wykonane odrazu, z gorączkową szybkością ruchów pędzla, rzucającego plamami i zarysami, by jak najprędzej zanotować „widzenie“ wyobraźni autora, są obroną najwymowniejszą przeciwko zarzutom, czynionym Matejce, iż kadzidła, palone na cześć jego, miały się przyczynić do obrania kierunku i trwania w nim, jako jedynie godnym malarza wielkiego, czego następstwem była manieryczność, przeciążenie obrazów szczegółami i chaotyczność. Zarzut ten, oparty na tak słabych podstawach, jak fakt istnienia krytyk bombastycznych, których działanie haszyszowe miało-by upoić artystę o tak potężnej indywidualności, jak Matejko, różniącej go zasadniczo od najwybitniejszych, współczesnych mu sił malarskich, krytyki nie wytrzymuje. Matejko istotnie wierzył w siebie i inaczej być nie mogło. Czy ci jednak, którzy zdanie to podzielają, sądzą również, że na wyrobienie skłonności danych artysty nawet wówczas wpływa ogół, gdy on, jako chłopiec młody, ogółowi temu nieznanym, idzie sam z całym światem swych widziadeł, do których uświadomienia nawet nie szkoła i nie otoczenie kolegów go wiedzie, lecz pasowanie się z wyobraźnią własną. Czy już „Żółkiewskiego“ i „Henryka Walezego“ pod wpływem haszyszu malował czterastoletni Matejko? Witkiewicz, pisząc wspomnienie pośmiertne o Gierymskim Aleksandrze, rozpoczyna zdaniem Przybyszewskiego: „artysta żyje tak, jak musi, a nie tak, jak chce“. Czy ten „mus“ nie obejmuje również skłonności osobistych artysty? Czy artysta nie tworzy również tak, jak musi?

Wracając do szkiców—chodzi w nich o stworzenie scen, któreby, zachowując pozór prawdy rzeczowej, wyrażały prawdę ideową, to jest doniosłość faktu historycznego. Tak pierwsze, jak i drugie, najzupełniej leży w zakresie zadań malarstwa. Bez uczucia niema wyrazu; jeżeli on istnieje, jako prawda rzeczowa, nierozdzielnie z nim istnieje jej ideowość. Matejko nie rozumował nad faktami historycznymi, lecz je odczuwał; nie odtwarzał ich, lecz stwarzał po malarsku

ich wielkość. Stąd bohaterowie jego—to nie przeciętni śmiertelnicy, to typy wielkie swoim przeznaczeniem; stąd każdy z nich zdumiewa niezwykłością własną i bogactwem swego otoczenia. Ten sam rys indywidualności twórczej Matejki posiada jego „portret własny”. To, czego Matejko żądał od sztuki swojej, tego szukał w tym szybkim, zaledwo narzuconym szkicu przygotowawczym. Niema w nim ani do-ciekań koloru, ani chęci wiernego powtórzenia tylko szczegółów in-nych, składających się na prawdę fizyczną: na tle ich jedynie starał się odtworzyć istotę własną, dla której realizm był środkiem, a nie celem. W całej olbrzymiej produktyjności niema ani jednej rzeczy, która-by świadczyła inaczej. Jedyny pejzaż, „Widok Bebeku”, jak i całe mnóstwo studyów, malowanych bezpośrednio z natury, wobec portretu własnego Matejki są dowodem, że prawda natury i jej życie były dla niego tylko zasadami elementarnymi, bez których dzieło sztuki istnieć nie może, że na nich dopiero wzrasta cały bezmiar tego, co nazywamy sztuką z jej stylami, z kierunkami jednostek poszczegól-nych i szkół całych.

Zbiór pana Gorzkowskiego, posiadając nadto kilka cennych projektów akwarelowych do dekoracji ściennych kościoła Maryac-kiego, jest materiałem bogatym dla każdego, kto poza konstatowa-niem talentu artysty wielkiego, lubi się wpatrywać w jego rozwój.

Pan Gorzkowski jest w chęci sprzedania zbioru nawet częściowo. Szkoda-by go było, gdyby się rozproszył. Najlepsze miejsce dla sie-bie znalazł-by w Muzeum Narodowem, lub Domu Matejki.

\*

\*

\*

Wystawa dzieł Pankiewicza budziła wśród publiczności zacie-kawienie żywsze. Z nazwiskiem jego zrosł się ton artysty szczerego, nie jednostki, wpatrzonej w cele komercyjne, lub owianej ambicya-mi uznania przez ogół, lecz malarza, pracującego z jednakową wytrwa-łością i tworzącego to, co jego samego nęci.

Na wystawę własną zebrał Pankiewicz prawie cały rezultat swej kilkunastoletniej działalności w liczbie sześćdziesięciu trzech prac. Wypadła ona istotnie interesująco i z rzadkim rysem jed-nolitości.

Ów rys, niedostrzegalny może dla nie-malarza, wynikał z cha-rakteru obrazów, których zawartość widziało się, jakby patrząc z oczy-ma przymrużonemi. Miękkosć, majaczenie kształtów, roztopiających

się w różnych „atmosferach“ obrazów, są określeniem ściślejszem tego widzenia. Wyjątki pod tym względem stanowi zaledwie prac parę.

Żadna z nazw podobnych, jak portrecista, koniarz, malarz obrazów historycznych, rodzajowych, pejzażysta i t. p., któremi, dla łatwiejszego porozumienia się, podobało się ludziom posegregować malarzy, nie może być użyta dla oznaczenia twórczości Pankiewicza. Maluje on pejzaż, „rodzaj“ i portrety. Jako malarza, poza uzdolnieniem, poza takim lub innym systemem malowania, cechuje go nie obranie tematu, lecz odczuwalność specyjalna pewnego typu światła, który wprowadza do obrazu ton, odpowiadający harmonijnemu akordowi w muzyce. Cecha ta leży widocznie w organizacyi artystycznej Pankiewicza — w tych wypadkach bowiem, rzadkich zresztą, gdzie idzie za wolą, a nie za skłonnością, gdy każdy akord swój chce rozłożyć na tony poszczególne i zamarkować je wyraźniej, stwarza rzecz gorszą, nacechowaną wysiłkiem; tony są twarde i suche, jak naprzykład we wspomnianych wyjątkach — w „Sieni“, w portrecie dwóch dziewczynek i portrecie damy (biust).

Traktując sztukę z wrodzoną sobie inteligencyą i z wielką odpornością na wszystko, co nie jest jej drogą, rozpoczął Pankiewicz swój pochód rozwojowy. Oczarowany zrazu przez tężyznę Aleksandra Gierymskiego, ze szczerością obrał go sobie za mistrza i, pracując w jednej z nim pracowni, jako człowiek bardzo młody jeszcze, namalował „Sień“, „Targ za Żelazną Bramą“ i „Żyda tragarza“, ze złudzeniem naśladowując Gierymskiego. Wkrótce potem znalazł się w Paryżu, trafiając na chwilę, w której jeden z właścicieli salonów sztuki, George Petit, urządził wystawę dzieł słynnego Claude Moneta, twórcy impresjonizmu. Następnie tamże zapoznał się Pankiewicz z pracami Whistlera i Eugeniusza Carrière'a, dwóch nowych wówczas i wybitnych indywidualności, jakie się na horyzoncie artystycznym Paryża wybiły, stwarzając kierunki własne i pociągając za sobą naśladowców bezwzględnych.

Na nowe te rzeczy Pankiewicz nie mógł pozostać nieczułym, raz dla tego, że są za silne artyzmem, powtóre, że odpowiadały właściwościom jego więcej od innych. Zestawiając obrazy impresjonistów z płótnami Carrière'a, lub Whistlera, i sądząc je jedynie z pozoru, należało-by je zaliczyć do biegunowych przeciwieństw. O ile pierwsze uderzają efektem jasności, niepraktykowanym w malarstwie w której kształty zmieniają się w majaczenie plam barwnych, o tyle, drugie dają masy ciemne, z których gdzieniegdzie coś żyjącego wyziera, głowa pełna wyrazu, postać cała w ruchu nerwowym, lub jakaś inna plama jaśniejsza, pokryte powłoką zmierzchu, czy szarzyzny

o dziwnym, mistycznym nastroju. Powłoka, zgęszczona jeszcze cokolwiek więcej, dała-by ciemność zupełną. Przeciwność wrażeń obydwóch spoczywa na jednej i tej samej podstawie. Zarówno stopniowe naprężanie świetlności barwy, jak i obniżanie jej wiedzie do bezbarwności, z tą różnicą, że w pierwszym wypadku kończy się farbą białą, czystą, będącą w malarstwie światłem, a nie kolorem, w drugim—jego brakiem, to jest farbą czarną.

Poznawszy na przykładach myśl przewodnią artystyczną, jaka kierowała powstaniem tych utworów, Pankiewicz zwrócił się do natury, pragnąc zasady doświadczyć praktycznie. „Targ na kwiaty“, namalowany w Paryżu, następnie studia z całego lata, spędzonego, po powrocie stamtąd, w Kazimierzu, były rezultatami doświadczeń. Pankiewicz jest w nich naśladowcą Francuzów. Prace jego nie mają tej swobody, co tamte; „szukanie w nich i wykonanie jest wyrozumowane, nie odczute. Z całą natomiast swobodą i ze skutkami doskonałemi stosuje impresyonizm w dwóch motywach: „Przed lustrem“ i „Rynek Starego Miasta“, dając w nich nastroje wieczorne owego majaczenia, jakie odczuwa najlepiej. Prace te jednocześnie są czemś stojącym pośrodku między impresyonizmem, a „czarnością“ obrazów Carrière'a i szarzyzną Whistlera. „Czarne labędzie“, „Nokturn“, „Noc“ powstały bezpośrednio pod wpływem Carrière'a, który kierunek swój uprawia na kompozycjach figuralnych, Pankiewicz zaś wprowadza go do pejzażu. Przepyszny „Brzask“ srebrzysty jest prawdziwym tryumfem tych usiłowań. Wszelkie reminiscencye Carrière'owskie giną w nim zupełnie w szczerym, subtelnym sentymencie skromnego naszego pejzażu. Ton jego, srebra zoksydowanego, posiada taką lekkość i szlachetność przy sile błyszczzenia matowego, że nie stracił-by jej nawet wobec płócien najjaskrawszych. Z „Pejzażu szarego“ i „Barbarki“ odzywa się „memento“ Whistlera, tak jednak opanowane przez osobowość Pankiewicza, i przezeń nagięte, że podnosi jedynie jej siłę. Słynny portret matki Whistlera, znajdujący się w galerji Luksemburskiej, ma ton szaro-żółty. Kontury zarówno postaci, jak i wszystkich szczegółów, rozpylają się w owym tonie. W pracy tej, doskonalej pod względem wykonania, pomimo widocznego usiłowania zachowania prostoty jak największej czuła sztuczność i wyrozumowanie. Ton ogólny nie stwarza nastroju, pozoruje go tylko, widać z góry powziętą myśl danego upozowania postaci, nawet w ustawieniu fotela jest coś umówionego. Całość charakteryzuje spokój chłodny, bierność. Pod tym względem właśnie różnią się „Szary pejzaż“ i „Barbarka“, których wyrazem jest smutek, melancholia półmroku, zamyślenie.

Naśladownictwo w sztuce, wypływające z braku wszelkiej inicjatywy własnej, jest nudne; naśladowający nie wiele się różni od kopisty wprawnego, wykonywującego kopie choćby z dokładnością nieskazitelną, w pracach atoli jego nie podziwiamy zasług kopisty, lecz artystyzm wzoru. Naśladownictwo Pankiewicza jest interesujące nawet dla tych, którzy dobrze znają wzory, jakimi się on posiłkował. Jest on w niem twórcą, umiejącym podporządkować właściwościom osobistym rzeczy nabyte i podać je w formie własnej. Odpowiada to poglądom na ciągłość ewolucyjną sztuki, która-by bez ogniw, łączących ją, istnieć nie mogła, im przez liczniejsze bowiem próby i doświadczenia jednostek twórczych przejdzie każde ogniwo, w tem doskonalszej i pełniejszej postaci spaja się z łańcuchem ogólnym.

Większą część portretów przeprowadził Pankiewicz również przez ową ideę wibracji tonu ogólnego, używając do tego bądź oświetleń wieczornych, jak naprzykład w bardzo dobrym portrecie pani O. z córką, w którym światło lampy, dające zwykle efekty ostre łamania się światła i cieniów, pomimo ich logiki i trafności, jest zmodyfikowane na korzyść miłego, ciepłego spokoju, lub w portrecie pani W., gdzie niezwykle smaczny ton, nie wzięty z natury, jest wytworem wykształconego smaku autora. Dzięki takiemu traktowaniu, portrety jego mają charakter dobrych kompozycji.

Część jednej ze ścian sali zajęły akwaforty i pointes-sèches. Zaletą akwafort jest wdzięk tonu łagodnego a głębokiego, najlepiej nadającego się do wywołania efektów w pracach tak zwanych „białe i czarne”. Akwaforty Pankiewicza, przedstawiające fragmenty miejskie i wiejskie, rysowane śmiało i pewnie, są najlepsze. Wysłane następnie do Rzymu na wystawę „bianco e nero”, cieszyły się uznaniem i nabywcami.

\*

\*

\*

Prawie współcześnie z wystawami Matejki i Pankiewicza, salę trzecią, największą, zajęły obrazy Wywiórskiego — w liczbie czterdziestu pięciu.

Pamiętam, jak raz w Monachium, w podwórzowym ogródku jednego z domów przy Teresienstrasse, malarz jakiś ustawiał na pochylonej, zrobionej z drzewa, czy blatu od stołu, modela, ubranego w strój mieszkańca Kaukazu. Powiedziano mi, że jest to Wywiórski, którego obrazki ze scenami Kaukazu, „smutne” pomimo słońca południowego, spotykało się w oknach kunsthändlerów. I tym więc razem zanosilo



się na coś podobnego. Pochylnia miała być spadzistością którejs z gór Kaukazu, model zaś—Gruzinem, czy Czerkiesem, mającym ją przebyć. W kilka lat potem na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych ukazał się szereg pejzaży, trochę fotograficznie traktowanych, silnych jednak w kolorze i dobrze rysowanych. Była to więc zmiana korzystna w kierunku pracy, przez którą Wywiórski z malarza, produkującego dla kunsthändlerów i dla wzięcia kupieckiego, stawał się artystą, idącym drogą, nakreśloną mu przez jego skłonności własne. W pejzażach wspomnianych Wywiórski ujawniał talent w tym kierunku; wierzyło się mimowoli w jego rozwój. Wystawa prac ostatnich nietylko go nie ujawnia, lecz, przeciwnie, z wyjątkami bardzo nielicznymi, razi w stopniu wysokim znowu zapachem kunsthändler-skim, fabrycznym. Dobry rysunek pejzażu został, choć nie wysubtelniał, intensywność zaś koloru, którą silnie odczuwa Wywiórski, obecnie przybrała formę manierycznie przesadzoną, jak twarz kobiety, która, będąc ładną, lecz więcej jeszcze pretensjonalną, pragnie różem i bielidłem podnieść urodę swoją. Skutkiem tego każdy szczególnie w jego obrazach istnieje sam dla siebie: niebo błyszczy dla siebie, każdy ton na terenie, jakby wypolerowany, twardy i surowy, gra sam dla siebie; w ustosunkowaniu go niema podporządkowania całości. Wszystko jest tam oparte na zasadach efektu kontrastów, a nie na prawach harmonii. Oczywiście, ta walka barw z barwami, to gryzienie się ich wzajemne, wywołujące dekoracyjność zdawkową, może imponować widzowi przeciętnemu, jest jednak nieartystyczne i gustu wybredniejszego nie zadowolni. Patrząc na te obrazy, trudno sobie zdać sprawę, czego żąda Wywiórski od swego malarstwa. Stojąc bowiem choćby na tem stanowisku, że jedynem zadaniem jego jest od-twarzanie natury, nie zapominał-by, że ta natura, tak urozmaicona w swych motywach i barwach, zmienia również swój wyraz. W obrazach zaś Wywiórskiego zmienia się tylko gruby efekt farb, a poza tem jest ona wszędzie jednakowo niema. Skutkiem tego „Stara pamiętka“, jeden z lepszych jego obrazów, z tytułu swego mająca pretensye do tego wyrazu, bynajmniej nie jest „pamiętką“, lecz zwykłym przydrożnym krzyżem, przed którym zdejmuje się czapkę — co najwyżej — z przyzwyczajenia.

Za najlepsze uważać należy kilka małych krajobrazów, które Wywiórski malował widocznie bezpośrednio z natury.

\*

\*

\*

Natura przemawia do artysty linią, barwą i efektem światłocienia. Są to słowa, wyrazy natury, tak różnorodne i nieprzeliczone, jak nieprzewidziane są zmiany samych linii, lub odcienie barw. Są one mową natury, równie dobrze zrozumiałą dla malarza, jak i dla każdego, kto naturę odczuwa. Odczuwanie jej przez artystę i nieartystę tem się różni, iż w pierwszym wypadku jest ono czynne, w drugim bierne.

Wrażliwość oka artysty jest rozmaita, rozmaite więc bywa jego uzdolnienie. We wrażliwości jednego przeważa poczucie linii, drugiego pociąga gra plamy barwnej, trzeci reaguje na linie i światłocień, na aparacie zaś wrażliwości innego odbijają się i linia, i barwa, i światłocień,—wszystkie razem, lub w kombinacjach poszczególnych, z tych trzech czynników złożonych. Skutkiem tego rysunek, wykonany w samych tylko liniach, nie mniejszą może posiadać wartość artystyczną od rysunku, czy obrazu, dającego tak zwaną „bryłę“ tego samego przedmiotu skutkiem tego—obraz barwny, lecz trzymany w rysunku zupełnie płaskim, będzie cieszyć oczy nie mniej od obrazu, uwzględniającego światłocień, oczywiście, jeśli zarówno pierwszy, jak drugi, wykona ręka artysty, specjalnie na właściwości dane czułego.

Z Masłowskim natura porozumiewa się najlepiej przez linię i barwę. Widać to ze wszystkich bez wyjątku prac, na wystawie jego zgromadzonych. Z każdej przebija się podkład rysunku liniowego, który sam przez się zawiera już bądź wdzięk sentymentu („Cyganka“), bądź humoru szczerego, wynikającego z niezgrabności, lub przesady charakterystyki, jakimi natura obdarza typy pewne („Palestrant“), bądź też z wypadkowości i ugrupowania szczegółów, jak na przykład w owem wejściu do domu p. Tempeldinera, zatytułowanem: „Sień na ulicy Świętojańskiej“. Barwa działa na wrażliwość Masłowskiego w swej postaci najprostszej, zlokalizowanej, czystej. Właściwość ta sprawia, że, rozporządzając gamą kolorów niewielką, z łatwością i jasnością wywiązuje się on z chaosu barwnego gromad ludu wiejskiego („Kazimierz“, „Targ za Żelazną Bramą“), oraz z akcesoryów, jakie tworzy gust ludowy („W kościele“). Motyw natomiast światłocieniowy, kontrastowe spotykania się światła z cieniem, widocznie słabo się odbija na wrażliwości Masłowskiego. Tępy głębokie, ciemne, dążące do bezkolorowości, nie nęca go zgoła. Ta sama idea jasności koloru, świetlności obrazu, która tak wybitnie cechuje Fra Angelico, leży w sposobie widzenia natury Masłowskiego.

W obrazach: „U krynicy“, „W kościele“, „Kapliczka“, motyw ów światłocieniowy istnieje, lecz zagubiony we względach czystości i jasności barw. Rysunek: „W karczmie“, posiada z niego najwięcej, zważywszy atoli na siłę jednej biednej świecy, widać, że stosunek cieniów i światła został także złagodzony na korzyść tego ostatniego.

Kto chce szukać swojskości, znajdzie jej najwięcej w sferach, których kosmopolityzm cywilizacji nie podniósł do typu powierzchni ogólnego, to jest w sferach kół prowincjonalnych. Masłowski żyje swojskością—najlepiej on ją rozumie. Na polach z „nieużytkami“, w starych dzielnicach miast i miasteczek, po wsiach i dworach szuka dla siebie wrażeń i motywów. Szukali i szukają go tam i inni. Kierunek, zwłaszcza ostatni, tak zwany, realistyczny, zwracał tam działalność malarzy. Wystawy bywały pełne zagród, dróg błotnistych, sukman i chust chłopskich, nad wszystkim jednak rozpościerał się duch, nie tyle uczucia artystycznego, ile podwyższenia się temperatury uczuć społecznych, w tym kierunku zwróconych, nie wiele mających wspólnego ze sztuką, który z pierwszej lepszej chaty, słomą krytej, lub postaci w sukmanie, czynił dzieła swojskie. Dzieła te z natury motywu miały przedewszystkiem rys sielankowości, to jest uroku życia, wyidealizowanego w wyobraźni jednostek, stojących kulturą wyżej od samych motywów. Były one tym samym produktem, co wyraz sielankowości, który nie jest wyrazem, używanym przez ową sferę, dla określenia uroku jego życia. Wśród całej zaś plejady artystów, jacy się do tej sfery zbliżyli, podawcami najlepszymi swojskości i najlepiej ją tłómaczącymi są: Chełmoński i Masłowski <sup>1)</sup>. Jest to ich cecha wspólna.

Korzystając z tego zestawienia, przeprowadźmy paralelę dalej, w celu wykazania różnicy między obydwoima, która pozwoli nam jaśniej scharakteryzować Masłowskiego. Chełmońskiego cechują efekty silne, kontrastowe, niespokojność żywiołowa, Masłowskiego — spokój i kolorowość wesoła; Chełmoński lubi kolor. naprzykład, czerwony, spotęgowany zielenią pejzażu, Masłowski — kocha żywość jego dla niej samej; obaj doskonale odczuwają ruch: podczas, gdy u Chełmońskiego pęd koni rozhukanych, zaprzęgniętych do bryczki, lub sanek, każe oczekiwać jednego z dwojga: katastrofy, lub bohaterstwa hippodromowego, konie pędzące Masłowskiego unoszą ludzi, lubujących się w jeździe szybkiej, w świszczeniu wiatru koło uszu i śmiganiu przydrożnych rowów, drzew i plotów.

---

<sup>1)</sup> Czesław Tański posiada również w tym kierunku uzdolnienie wybitne.

Jednym z najlepszych był obraz, pod tytułem: „W kościele“. Jest to fragment kościoła wiejskiego drewnianego, w którym urok i motyw artystyczny stanowią malowniczość niedbale powstawianych do ławek sztandarów i chorągwi, cała wypadkowość ich ruchów, oraz szpar i paczenia się desek. Na planie pierwszym klęczy chłop, postać sztafażowa, akcesoryum żywe obrazu—nie bohater. Wykonanie tego obrazu uderza niedbałością pozorną. Jest ona umyślna i doskonale przeprowadzona, najzupełniej bowiem odpowiada owej wypadkowości w naturze. Zdolność kolorysty i właściwość Masłowskiego widzenia „na jasno“ wypowiadają się tu najsilniej. Domy „Kazimierza“, jako motyw obrazu, są trudne, przedstawiając dla malarza niebezpieczeństwo zrobienia z nich mimowoli ilustracji do archeologii. Masłowski uniknął go szczęśliwie i z motywu, mniej szczęśliwie opracowywanego niejednokrotnie przez innych, stworzył obraz, pełen świeżości życia. Domy te u niego nie są przyczynkiem do historii sztuki architektonicznej, lecz odwiecznymi aktorami sceny rynku Kazimierskiego. Dalej wyróżniały się małe akwarele-pejzaże, pomimo miniaturowego wykończenia, malowane z łatwością i swobodą, doskonale tłómaczące się z charakteru pogody i pory roku. Z typów doskonałym był „Palestrant“ z wyrazem żółciowości i duszy skrzywionej, z portretów: d-ra B. i proboszcza z Garbowa.

Jedynymi pracami, które wykazywały zależność Masłowskiego od szkoły, były dwa obrazy: „Na pastwisku“ i „Niedola“. Przebijają w nich cechy szkoły monachijskiej z przed lat kilkunastu.

Ogółem wystawa liczyła przeszło pięćdziesiąt obrazów.

\*

\*

\*

Pomimo, że wystawa prac Rapackiego i Popowskiego zajęła salę oddzielną, do wystaw specjalnych zaliczona być nie może. Opieranie na niej zdania zarówno o siłę uzdolnienia każdego z nich, jak i o całości ich działalności artystycznej, a także o ich stronach indywidualnych, nie może być wystarczające. Zwłaszcza w tym komplecie zaledwo z trudnością można-by się doszukać cech, zasadniczo różniących natury tych dwóch malarzy, i to jedynie przy współdziałaniu pamięci ich prac poprzednich. Rapackiego pociąga wygląd natury, Popowskiego — jej wyraz: pierwszy odczuwa jej dekoracyjność, drugi — jej stronę poetyczną.

Kwestyę sporną, czy artyści powinni i muszą iść ręką w rękę ze społeczeństwem i do potrzeb się jego stosować, z upodobaniem poruszaną przez lubiących tego rodzaju zagadnienia społeczne, doskonale rozwiązuje droga, po której idzie Rapacki. Gdyby w tem społeczeństwie było powstało zamiłowanie do ozdób malarskich dekoracyjnych, gdyby się go ono domagało wszędzie, gdzie to powinno znaleźć zastosowanie, gdyby zapotrzebowanie go istniało, z Rapackiego byłoby niewątpliwie wytworzyło jednego z najdzielniejszych, zwłaszcza pod względem kolorystycznym, dekoratorów. Rapacki poszedł ręką w rękę ze społeczeństwem, bo... dekoracyi nie maluje. Wybitna cecha jego zdolności, znamionująca się w smaku rozrzucenia zręcznego plam kolorowych, nadto w niezwyklej lekkości dotknięć pędzla i wynikającej stąd swobodzie linii, tak pożądana w malarstwie dekoracyjnym, staje się dlań często przeszkodą w malowaniu sztalugowych obrazów. Przez nią bowiem goniąc za szerokimi efektami dekoracyjnymi, zapomina, że czasem lepiej jest, gdy w obrazie jest czegoś za mało, niż za wiele, to jest zapomina, że trzeba być subtelnym.

O ile obrazy Rapackiego radują się ruchliwie i żywo z bogactwa natury, które wyobrazają, o tyle u Popowskiego widać zamyslenie, wtapianie się w jej wyraz. Jego pejzaże dają przestrzenie, po których myśli i tęsknienie samotników mogą błądzić swobodnie.

Wspólna ta kolekcya obrazów składała się przeważnie z prac ostatnich, obok nich jednak znalazło się kilka, dawniej już wystawianych. Wobec tego trudno sobie zdać sprawę, dla czego obaj ci panowie wypełnili ją nie jakimś uzasadnionym doborem prac, lecz, śmiało można powiedzieć, tem, co mieli pod ręką. Co ich skłoniło do zrobienia kroku, szkodliwego dla nich? Można bowiem przyjąć niemal za zasadę, że dla artystów, produkujących z łatwością, szybko i wiele, łatwość ta bywa ich własnym wrogiem, trudnością największą utrzymania się stale na poziomie artystycznym, i że tylko pewien procent prac ich wartość taką posiada, reszta zaś ma cenę roboty mniej lub więcej udatnej, wykonanej mechanicznie, której pobudką bywa czasem nałóg malowania, kiedy indziej powiedzenie sobie: „trzeba malować“, albo konieczność jakaś zewnętrzna, przypuśćmy natury materialnej, a nie konieczność wewnętrzna. Tak malowanie, jak niemalowanie, z pobudek podobnych, jak i wyzbycie się tego rodzaju produkcji drogą prezentu, autodafe, lub sprzedaży, jest rzeczą osobistą jednostki, wystawianie ich jednak przenosi sprawę z zacisza domowego na forum publiczne.

Popowski posiada dużo poczucia koloru, nie jest atoli kolorystą w tym stopniu, jak Rapacki. Naturze jego więcej odpowiadają barwy

przygłuszone. Podczas, gdy czystość barw Rapackiego wpada często w przekolorowanie, Popowski jest ogólnie subtelniejszy i ma większe poczucie harmonii, która jest zaletą dominującą wielu dawniejszych jego obrazów, jak na przykład „Ciszy“. W ostatnim zaś szeregu prac, jak gdyby w obawie, by nie być pobitym przez kolorowość Rapackiego, podniósł czystość swojej barwności i wpadł w surowość. Nie posiadała jej tylko jedna z „Nocy księżycowych“, obraz bez terenu, z wierzchołkami drzew i księżycem przyćmionym, oraz „Staw“. Co do portretu, to należy przypuszczać, że Popowski sam się uważa za lepszego pejzażystę, niż portrecistę. Jedyńi, zdaje się, pierwszy ten jego portret („Damy“), trzymany w zbyt słabej skali kolorytu, cierpiał tem więcej, znalazłszy się w ogniu krzyżowym barw silnych, rzucanym z kilkudziesięciu płócien.

KAZIMIERZ BRONIEWSKI.

# ROZMAITOŚCI.

---

## MIĘDZYNARODOWE MUZEUM WOJNY I POKOJU

---

Jak to już w poprzednim zeszycie zaznaczono, w czerwcu r. b. otwartem zostało w Lucernie „Międzynarodowe muzeum wojny i pokoju“, zainicjowane i powstałe kosztem ś. p. Jana Blocha, a doprowadzone, zgodnie z jego wolą, do końca przez pozostałą rodzinę. Dzienniki nasze i zagraniczne podały mniej lub więcej trafne i ścisłe, ale obszerne sprawozdania z przebiegu uroczystości i opisy muzeum—dla czytelników „Biblioteki“ ciekawszem może będzie wyłączenie z instytucji i obchodu myśli społecznej, jaka kierowała ich inicjatorem i wykonawcami.

Zanim jednak przystąpimy do właściwego przedmiotu, wydaje nam się wskazanem usunąć pewne nieporozumienia i pomieszanie pojęć, jakie, więcej w mowie niż piśmie, dały się u nas zauważyć przy ocenianiu społecznego znaczenia świeżo powstałej instytucji—usunąć pewne bałamuctwa ideowe, zaciemniające jasny sąd o rzeczy.

Pierwszym dość często powtarzanym zarzutem jest ten, że pieniądze, wydane na „muzeum“, można było pożyteczniej zużytkować.

Sądzimy, że zarzut to zupełnie jałowy i wymykający się z pod dyskusji. Nie wątpimy wprawdzie, że w razie zarządzanego plebiscytu przytłaczająca większość znalazła-by u siebie swoje myśli lub upodobania—społecznych czy egoistycznych—cały tuzin celów pożyteczniejszych i sympatyczniejszych od idei, która zajmowała w ostatnich latach życia umysł Blocha; gdyby jednak doszło do wyboru jednego, „najlepszego“ celu, wątpliwem się zdaje, aby ta większość doszła do jakiego-takiego porozumienia. Jeżeli przy szafowaniu groszem publicznym, wątpliwej skuteczności, ale nie pozbawioną racji bytu jest dyskusya nad tem, jaki cel jest najlepszym, to przy ocenianiu objawów ofiarności prywatnej stanowczo powinno wystarczać, jeżeli cel jest „dobrym“.

Nie mamy zamiaru zastanawiać się na tem miejscu nad pytaniem, czem jest wojna w znaczeniu moralno-społecznem i czy myśl o wiecznym pokoju jest mrzonką, czy też wielką ideą przyszłości—chociażby dlatego, że nie sądzimy, abyśmy w tej materji mieli coś

nowego do powiedzenia. Nie piszemy również biografii twórcy muzeum, ani też oceny działalności jego publicznej; jednakże sam fakt gorącego oddania się, wreszcie—jeżeli kto woli—chociażby „zapalenia się” do jakiejś idei społecznej, oraz ofiarność dla idealnego celu, jest niezaprzeczenie dodatnim, nie ujemnym objawem, to też zdawałoby się nam, że raczej każda inna, niż ta strona działalności zmarłego finansisty nadaje się do niechętnych i ujemnej natury komentarzy.

Jeżeli omówiony zarzut jest fałszywym społecznie, to inny, nie mniej pospolity, mieści w sobie błąd logiczny. Mianowicie ludzie, znający pobieżnie tylko tendencje zmarłego inicjatora muzeum, poznawszy zawartość samego muzeum, stereotypowo, chociaż w różnych językach, powtarzają: „muzeum w Lucernie mieści w sobie wyłącznie niemal przedmioty, dotyczące wojny, właściwie więc jest to muzeum w o j n y, nie pokoju”. Zarzut ten jest objawem pewnej „dezynwolontury”, jaką ludzie okazują zbyt często w stosunku do kategoriycznego myślenia. „Pokój” w stosunku do „wojny” jest tem, czem jest „spokój” w stosunku do „ruchu”, t. j. pojęciem negatywnem, którego w żaden sposób „pokazać” nie można. Jak na wystawie higienicznej, jeżeliby nie chciano ograniczyć się wystawieniem postaci Hygiei, niepodobna pokazać „zdrowia”, ale z konieczności musiano by urządzić pokaz „chorób”, czy zarazków chorobotwórczych i sposobów walki z niemi, wyznaczając najpocześniejsze miejsce biologii owych zarazków; tak samo niepodobna zorganizować muzeum „pokoju”, nie okazując „wojny”, jeżeli nie chce się poprzestać na uszeregowaniu więcej lub mniej przyodzianych postaci niewieścich, trzymających gałązkę oliwną. Konieczność ta ujawni się tem dobitniej, skoro uprzytomimy sobie, że propaganda idei pokoju—„wojna wydana wojnie”, jak ją charakterystycznie bojownicy idei pokoju nazywają—nie ma do rozporządzenia żadnych środków materialnych i z konieczności poprzestawać musi na słowie. Muzeum „pokoju” materialną swoją stroną, t. j. nagromadzonemi w niem przedmiotami, musi być przez fatalność logiczną pokazem wojny—różnić je może jedynie cel i myśl przewodnia układu.

Muzeum samo mieści się w prowizorycznej, ale bardzo widnej, obszernej i wygodnej hali.

Największy oddział zajmuje broń. Poczynając od najdawniejszej, najprymitywniejszej broni z epoki kamiennej, jak: siekiery i toporki bojowe, groty krzemienne i maczugi, oddział ten posiada znaczną kolekcję broni białej, oraz bardzo pouczający i doskonale usystematyzowany zbiór broni palnej.

Prócz bardzo licznych okazów samej broni, ułożonej w porządku, wykazującym stopniowy jej rozwój, przedstawiono tu w licznych przekrojach drzewa, glizy i wycinkach blachy żelaznej siłę perforacyjną broni różnych czasów, dalej w grafikach siłę jej nośną i nareszcie w szeregu tarcz wykrojonych w formie żołnierzy naturalnej wielkości jej celność. Próby były dokonywane pod kierunkiem oficerów szwajcarskich (głównie majora Eglego) z wielką skrupulatnością. Mianowicie najlepsi i o ile możliwości ciż sami strzelcy przy jednako-



wych warunkach atmosferycznych, oraz oświetlenia, strzelali z różnej broni, zmieniając kolejno odległości.

Zestawiając te dane, dowiadujemy się, że karabiny skalkowe, używane w końcu XVIII i w pierwszej połowie XIX stulecia, przy strzelaniu z nich do parkanu długości 100 stóp, dawały taki wynik, że na sto kul, wypuszczonych z odległości 100 kroków, trafiało w ów parkan 60 kul, na odległość 200 kroków 40, zaś na odległość 300 kroków zaledwie 25 kul. Na sto strzałów, wypuszczonych z gładkich karabinów, używanych w czasie wojen napoleońskich i później aż do roku 1844 z odległości 200 metrów, przy doskonałym i wolnym mierzeniu, mogło trafić w człowieka zaledwie 10% — z biegiem zaś czasu broń doszła do takiego udoskonalenia, że z używanych obecnie w armiach karabinków z odległości 1000 metrów trafiają w człowieka wszystkie kule. Dawniejsze karabiny były z jakim takim rezultatem na odległość 300 k r o k ó w, i na tę odległość mogło trafić w człowieka 7% wypuszczonych kul, podczas gdy dzisiejsze karabiny biją na odległość przeszło 2000 metrów ze znakomitą celnością. Wreszcie gdy w pierwszej z tych broni na odległość 300 kroków zaledwie 29% kul przebijalo parkan, zrobiony z c a l o w y c h desek sosnowych, reszta zaś odskakiwała, dzisiejsze kule, z odległości 1000 metrów i więcej zagłębiają się w bale sosnowe, ustawione w poprzek słoju lub na sztorc, na jakieś pół łokcia lub łokieć i przebijają blachę żelazną 6-io milimetrowej grubości.

Powiększona energia lotna kuli pociąga za sobą inny jeszcze rezultat, mianowicie tak zwaną przez techników niemieckich „Rasanz der Flugbahn“, t. j. większe lub mniejsze zbliżenie się łuku, zakreślonego przez kulę w czasie jej lotu, do linii prostej. Mianowicie, dawniej, chcąc osiągnąć dalszego punktu, trzeba było niezmiernie zwiększać elewację — w tym celu podnoszono lufę karabinu nawet ponad głowy towarzyszy, stojących w poprzednim szeregu — i kule, zakreślając łuk o stosunkowo małym promieniu, przelatywały wysoko ponad głowami wszystkiego tego, co znajdowało się na ich drodze, ostrzeliwując stosunkowo bardzo wązki pas. Okoliczność ta miała doniosłe znaczenie przy odpięciu nieprzyjacielskich ataków, ponieważ bardzo jest trudno ocenić dokładnie odległość posuwającego się szybko przedmiotu, a jeszcze trudniej co chwila, w miarę przesuwania się celu, zmieniać nastawienie wizyera i to w najgorętszej chwili bitwy. Dzisiejsza kula zakreśla łuk o olbrzymim promieniu — leci płasko, nisko nad ziemią, prawie równoległe do niej, zmieniając wszystko po drodze, dzięki czemu błędy w nastawieniu wizyera nie mają tego, co dawniej, znaczenia, jednocześnie zaś niema potrzeby zmieniać to nastawienie tak często, jak dawniej. Powiększa to niezmiernie morderczość broni nowoczesnej. Szybkość nabijania, a co za tem idzie, gęstość strzałów, także wzrosła ogromnie. Za czasów wojny 30-letniej uchodziło za doskonały rezultat, jeżeli w dłuższej bitwie karabin dał przeciętnie jeden wystrzał na godzinę, wogóle zaś do połowy zeszłego stulecia, t. j. do wprowadzenia broni odcylkowej, dobry strzelec nie mógł dać więcej, jak 2 strzały na minutę z gładkiej broni, na nabicie zaś i wystrzelenie z gwintowanego sztucera potrze-

bował do 3-ch minut czasu. Używane obecnie karabiny magazynowe dają, przy dokładnem mierzeniu, przeszło 20 strzałów na minutę.

Wyszczególnione wyniki zostały osiągnięte przez udoskonalenie samej broni, jako też przez wprowadzenie t. zw. bezdymnego prochu, którego siła prężna jest kilkakrotnie większą, aniżeli dawnego, czarnego. Prócz tego jednak proch ten, właściwie mała ilość wytwarzającego się przy jego spaleniu dymu, wywołuje ten skutek, że nie zaślania, jak dawniej, pola bitwy i pozwala bez przerwy dokładnie widzieć i celować do atakującego nieprzyjaciela, co znów powiększa morderczość broni.

Taki sam postęp, w wyższym nawet stopniu, wykazuje artylerya. Poprzestajemy na zestawieniu dwóch faktów. W XV stuleciu puzkarcz, który potrafił w ciągu dnia trzy razy nabić i wystrzelić działo, został posądzony o stosunki z dyabłem—najnowsze zaś górskie działo Maxime'a daje 600 strzałów na minutę, czyli 10 na sekundę. Z drugiej strony, najnowsze działo Kruppa przerzuca pociski przez dwukrotną wysokość Montblanc'u i sięga niemi na odległość 24 kilometrów.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że broń nowoczesna wzmogła i wzmaga stale w przyspieszonym tempie: siłę perforacyjną kuli, jej celność i gęstość strzałów, że kule takie zaczynają razić z ogromnej odległości, niosą więc śmierć w atakujące szeregi daleko dłużej, aniżeli dawniej i że ta mordercza i szybko strzelająca broń razi bez przerwy w ciągu tego długiego czasu, nie wymagając częstego przedstawiania wizyera i usuwając dawniejszą, naturalną osłonę, jaką atakującym dawał dym. A nie zapominajmy i o tem, że dym ten, który osłaniał atakujących, jednocześnie zdradzał pozycje atakowanych przed artylerją nieprzyjacielską, co dzisiaj ustało, lub znacznie zmalało.

Nakoniec zastanówmy się nad tem, w jaki sposób udoskonalenia broni w poszczególnych kierunkach działają łącznie na ogólny rezultat, t. j. na jej morderczość. Dla przykładu przyjmijmy, że jakiegokolwiek dwie właściwości broni, np. celność i szybkość strzału zwiększyły się—każda z nich—w trójnasób. W takim razie morderczość broni powiększy się dziewięciokrotnie — czyli że stały i ciągle wzmagający się postęp w ogólnej morderczości broni wyraża się nie przez dodawanie do siebie jej udoskonaleń w różnych kierunkach, lecz przez mnożenie ich jedne przez drugie, co wytwarza fantastyczną kilkopotęgową progressję.

Wytworzenie sobie pojęcia o postępie balistyki nowoczesnej było niezbędne dla zrozumienia stopniowych zmian i przeobrażeń taktyki wojennej, której poświęcono poczesne miejsce w muzeum.

Oddział to piękny i pouczający. Przedstawiono tu kolejno w rysunkach, grafikach i modelach sposoby wojenne mieszkańców budowli nadwodnych, Egipcyan, Asyryjczyków, szyki bojowe i taktykę Greków, Rzymian, Hunnów, przebieg wielkich wojen w wiekach średnich, wojny 30-letniej, wojen Fryderyka II, napoleońskich, wojny franko-pruskiej 1870 r., kampanii tureckiej 1877 i wreszcie ostatniej wojny południowo-afrykańskiej. Wszystko to objaśnione drobiaz-

gowemi mapami, wykonanemi przez wybitnych kartografów, umysłowione grafikami, przedstawiającemi główne fazy bitew z wykazaniem liczebności i rozmieszczenia poszczególnych oddziałów wojsk, oraz uplastycznione bardzo pięknymi reliefami, odtwarzającemi z drobiazgową ścisłością tereny, na których toczyły się ważniejsze bitwy, z oznaczeniem wszelkich właściwości i nierówności owych terenów, oraz rozmieszczenia na nich sił zbrojnych w chwilach charakterystycznych i decydujących.

Dział ten może wiele nauczyć, oraz ułatwić zrozumienie niejednego szczegółu z historii wielkich wojen; z drugiej zaś strony, poucza nas o stopniowem przeobrażaniu się taktyki wojennej. Widzimy więc, jak postępy w udoskonaleniu broni palnej rozszerzają coraz bardziej pola bitew, wciągają do akcji coraz większe masy wojska i coraz bardziej przedłużają czas trwania wojen.

Ten ostatni wniosek, który do niedawna jeszcze mógł wydawać się profanom paradoksalnym, dzisiaj stał się pewnikiem—stwierdzeniem bowiem zostało nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie (przykładem Plewna i wojna burów), że udoskonalona broń, dzięki swej dalekonośności i morderczości, daje niesłychaną przewagę stronie, trzymającej się taktyki obronnej, a więc mogącej korzystać z naturalnej lub sztucznej osłony, i że najpotężniejsza armia dzisiejsza, spotkawszy o wiele nawet słabszego liczebnie, lecz jako tako, według pojęć dzisiejszych, uzbrojonego przeciwnika, mogła-by się posuwać naprzód tylko krok za krokiem, wywalczając każdą piędź ziemi mozolnie, kosztem niesłychanych ofiar w ludziach, a oprócz tego w materiale wojennym i w czasie, co znaczy w pieniądzach i jeszcze raz w pieniądzach, lub—jeśli kto woli—w bogactwie narodowym.

W porządku logicznym dochodzimy do oddziału statystyczno-ekonomicznego. Oddział ten przedewszystkiem przedstawia nam rozwój militarizmu w czasie pokoju. Przeglądamy więc budżety poszczególnych państw, przedstawione graficznie w formie wielkich piramid, i spostrzegamy, że budżety te zwiększają się z roku na rok, lecz w nich rozrasta się szczególnie i nieproporcjonalnie w stosunku do wzrostu bogactwa narodowego, przygniatając wszystkie inne działy, olbrzymi, ciężki budżet wojny. Dalej dowiadujemy się, że prócz 800,000 żyć ludzkich amerykańska wojna domowa kosztowała 50 miliardów franków, francusko-pruska zaś wojna kosztowała Francję, prócz ofiar w ludziach oraz Alzacyi i Lotaryngii, 20 miliardów franków. Ostatnia wojna transwaalska kosztowała Anglię również miliardy—mylilby się zaś ten, ktoby sądził, że Anglia, jako państwo, znajdzie rekompensatę w kopalniach zajętych republik, gdyż kopalnie te dawały i będą dawać dywidendę akcyonaryuszom, czyli równie dobrze Anglikom, jak Francuzom, Holendrom, Niemcom (a więc wedle fatalistycznej formułki *au roi de Prusse*), bez względu na to, kto poniósł koszty ich aneksyi.

Teraz wystawmy sobie, że wybucha wojna między dwiema wielkimi potęgami militarnymi, które-by wyprowadziły już nie tysiączne, ale milionowe armie. Otóż ściśle obliczenia wykazują, że koszty dzienne takiej wojny wynosiły-by około 100 milionów franków. Suma

ta przestanie wydawać się nam przesadzoną, jeżeli uprzytomnimy sobie szalone koszty mobilizacji i wyżywienia takich olbrzymich armii lądowych i wodnych—koszty, powiększone niepomierne przez nieuniknione w czasie wojny podrożenie wszystkich produktów — oraz przypomnimy sobie, że np. koszt wyrzucenia jednego pocisku z najnowszych wojennych potworów morskich wynosi 40,000 franków, a przecież używa się ich nietylko w czasie bitwy, ale trzeba je wprzód wypróbować i nauczyć się ich używać. Wydatek ten jednak sowiec się „opłaca“, albowiem taki pocisk jest w stanie zniszczyć i zatopić z całą załogą i umontowaniem nieprzyjacielski okręt liniowy, który kosztuje 30 kilka milionów franków. Ponieważ zaś, jak to widzieliśmy wyżej, wojna taka musiała-by się przeciągać nieskończenie długo, wytwórczość zaś i handel krajów wujujących musiałby-by z konieczności popaść w zastój — wynik przeto był-by taki, że bankructwo wujujących państw musiałoby nienuknienie nastąpić, zanim-by jeszcze wojna mogła dać jakiegokolwiek pozytywne wyniki.

W taki-to sposób militarizm nowoczesny, rozrastając się nadmiernie i zupełnie nieproporcjonalnie do przyrostu bogactw narodowych, doprowadził sam siebie do absurdu.

Trzymając się idei przewodniej, nadającej duszę muzeum, pominieliśmy wiele ciekawych działów, które dla pełności obrazu wymienić należy.

Niezmiernie pouczającym jest oddział, gdzie pomieszczono w rysunkach, grafikach i reliefach „historję jednej fortecy“, t. j. przemiany obwarowań jednej i tej samej miejscowości w szeregu stuleci, a mianowicie od roku 1000 przed Chrystusem, aż do naszych czasów.

Bardzo są ciekawe nawet dla niespecjalistów: dział umundurowania różnych państw, dział sanitarny z całym szeregiem czaszek i kości, noszących na sobie ślady działania różnej broni, olbrzymi oddział marynarki, dział szanieców polowych, metod strzelniczych, sygnałów optycznych, dział kolejowy, zastosowania elektryczności do celów wojennych i t. d., a wreszcie oddział, poświęcony działalności i pamięci propagatorów idei pokoju i rozbrojenia, oraz biblioteka odnośnej treści.

Całość odznacza się tem, że zawiera w sobie tylko przedmioty autentyczne lub dokładnie z autentycznych skopjowane i że posilkuje się jedynie materiałem ściśle sprawdzonym. Organizatorowie muzeum, prawie wyłącznie wojskowi szwajcarscy, trzymając się nakreślonego planu, odrzucili z zasady wszelki fałsz i tendencyjność. Zasada ta była tak ściśle przestrzegana, że nawet w oddziale, gdzie pomieszczono 10 wielkich dioram—prócz jednej może, przedstawiającej pobojowisko — nie widzimy obliczonych na podrażnienie nerwów, „okropności wojennych“; dioramy te służą jedynie jako środek do uzmysłowienia działania różnej broni i stosowania taktyki wojennej.

A teraz inne pytanie. Jakie wrażenie wywiera na widzach całość muzeum? Czy wbrew założeniu nie budzi ono raczej instynktów wojennych?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, należy pamiętać, że nie na wszystkich ludzi ta sama rzecz jednakowo oddziaływa i że inaczej czyta biblię kwaker, inaczej historyk, inaczej poeta, a jeszcze inaczej cynik zmysłowy. To też z pewnością nie nabierał tu odrazy do wojny ów zgrzybiały dymisjonowany generał węgierski, którego widzieliśmy, jak godzinami całemi przesiadywał w muzeum, dotykając z lubością i rozczuleniem różnych wyszłych z użycia przedmiotów sztuki wojennej; nie uczyniło również muzeum apostołem pokoju niemieckiego generała von Rohne, który przemawiał na bankiecie na temat maksymy: *si vis pacem para bellum*, oraz wysoko podnosił fachową, wojskową wartość muzeum; o tem jednak, ażeby muzeum w Lucernie mogło budzić instynkta militarne, mowy być nie może. Jeden marsz wojskowy z muzyką na czele, jedna rewia nieskończenie silniej działa w tym kierunku: muzeum zaś, dzięki chociażby swemu fachowemu obiektywizmowi, nie może pobudzać bezpośrednio jakichkolwiek instynktów — ale każe myśleć. Natomiast sądzimy, że gorące słowa p. Passy'ego, który przy otwarciu muzeum przywoływał: bogatych, by się przyjrżeli, jak moloch wojenny pożera część ich dobytku, którą-by mogli zużytkować dla innych lub dla siebie, albo zaoszczędzić; ubogich, by się dowiedzieli, że kęs chleba, od ust im w formie podatku odjęty, służy na to, by siać bezrozumną śmierć i zniszczenie, i wzywał ich, żeby powiedzieli to swoim deputowanym; otóż sądzimy, że słowa te nie były pustym retorycznym frazesem, lecz realną polityczną wskazówką, znajdującą oparcie w prądach, ujawnionych naprzykład niedawno w izbie francuskiej.

B. W.

# PIŚMIENNICTWO.

**Prof. Piekosiński:** „Rycerstwo polskie wieków średnich“. Tom trzeci.  
Rycerstwo małopolskie w dobie piastowskiej. Kraków. 1901.

Oddając tom trzeci „Rycerstwa polskiego“ w ręce czytelnika, zasłużony autor prosi o pobłażanie. Nie wszystkie bowiem szczegóły, jakie w trzecim tomie są zawarte, opierają się na faktach udowodnionych, nie ulegających żadnej wątpliwości, i owszem, wiele szczegółów opartych jest tylko na domysłach, a więc na prawdopodobieństwie. Przyczyna tego leży w braku materiałów. Na trzy tysiące z okładem osób, które autor w niniejszem dziele przytoczył, posiada zaledwie czterdzieści pieczęci, zaledwie więc co do czterdziestu osób i ich potomstwa można z pewnością powiedzieć, do jakiego rodu i herbu należą. O poważnej reszcie 3,000 osób nie może tego autor powiedzieć, gdyż nie posiada żadnych źródeł. Prof. Piekosiński nie może jednak załatwić sprawy, oświadczając, iż nic o nich nie wie; uważał raczej za stosowne obejrzyć się, czy nie znajdują się jakie wskazówki, które, choćby nie dostarczyły dowodu, to przynajmniej dozwalały-by, mniej lub więcej, prawdopodobnych domysłów, do jakiego rodu jakąś nieznaną osobę zaliczyć należy.

Autor znalazł właśnie takie wskazówki, dość nawet pewne, są zaś niemi imiona, używane przez rycerstwo polskie w dobie piastowskiej. Było mianowicie w zwyczaju, że każdy ród używał przede wszystkim pewnych tylko imion, sobie właściwych, których żaden inny ród nie używał. I tak imiona: Wojsław, Wszebor, Trojan, Giedko, Wydźga, Pelka, Krystyn, Leniart, Świętosław i Mściw, to imiona przede wszystkim rodu Lubowlinów-Ogniwów, których zrazu żaden inny ród nie używa. Otóż, jeśli w dobie Piastowskiej autor spotka rycerza Wojsława, o którym źródła nie dają żadnych bliższych wiadomości, do jakiego-by rodu należał, to ze względu, że imię Wojsław jest właściwe rodowi Lubowlinów-Ogniwów, owego Wojsława

z całym spokojem do tegoż rodu zalicza. Ale praktyka powyższa ma swoją ujemną stronę. Rodzina bowiem składa się z ojca i matki, a każde z nich zazwyczaj do innego rodu należy. Syn ich może równie dobrze otrzymać imię, właściwe rodowi ojca, jak imię, właściwe rodowi matki. Profesor Piekosiński, biorąc w rachubę tylko ród ojcowski, gdyż matki zgoła były mu nieznanne, mógł się snadno omylić, jeśli matka dała swemu synowi imię swego ojca. Co się tycze nazwy Prandoty z 1205 roku, autor, zaliczając ją do rodu Odrowążów, omylił się, gdyż, jak się później przekonał, Prandota należał do rodu Rawiczów.

Autor zwraca uwagę jeszcze na inną kategorię pomyłek, które się łatwo przytrafić mogą. Mianowicie: jeśli do jednej i tej samej osoby mamy dwa, lub więcej źródeł, nigdy nie można być pewnym, czy te oba źródła odnoszą się do jednej i tej samej osoby, czy do dwóch różnych osób. Przykłady właśnie takich pomyłek istnieją. Pomnaża bałamuctwo w tej mierze fakt, że często syn nosi toż samo imię, co ojciec, nie mniej, że często syn dziedziczy godność ojcowską. W takich warunkach, jak autor ostrzega, pomyłki nie są do uniknienia. Prosi jednak o pobłażanie, albowiem pierwszy łamie lody w tej materii i nie ma poprzedników, którzy-by potrzebny dla niego materiał opracowali i przygotowali. Profesor Piekosiński uważał za stosowne wspomnieć kilku autorów, którzy już po wyjściu jego pierwszego tomu zdanie swoje w powyższym przedmiocie objawili. Na pierwszym miejscu wspomniał autor o Żernickim - Szelidze, który w roku 1900 wydał po niemiecku dzieło „der polnische Adel“. Ostateczne zdanie profesora Piekosińskiego o powyższej książce jest następujące: „ktokolwiek ma jakie takie wyobrażenie o naszych dziejach pierwotnych i najstarszych źródłach dziejowych, odrazu dostrzeże, że cały wywód Żernickiego jest jeśli nie fałszem, to szczerą fantazją, i zgoła niczem innym, tylko fantazją, żadnymi źródłami dziejowymi nie popartą; a jeśli gdzie zawadzi o jaki fakt historyczny, nadaje faktowi temu zaraz taką barwę, jaka mu do jego fantastycznego obrazu jest potrzebna, ale nie taką, jaką ten fakt dziejowy rzeczywiście na sobie nosi. Krytyczny rozbiór tej teorii jest o tyle niemożliwym, że wypadło-by każde zdanie za zdaniem, jako niewytrzymujące krytyki, zbijać, co wymagało-by dużo miejsca i pracy, bez żadnego widocznego pożytku.

Następnie wspomina profesor Piekosiński o pracy Bonieckiego pod tytułem: „Herbarz polski“ (tom pierwszy). Hipotezę Bonieckiego, wywodzącą szlachtę polską od potomków naczelników plemiennych, uważa profesor Piekosiński za nietrafną, oświadczając, że: aby

dobrze zrozumieć hipotezę autora, trzeba-by wiedzieć, co autor rozumie przez plemię. Plemię jest oczywiście jednostką, większą od rodu, a mniejszą od narodu. Otóż naczelnik takiego plemienia, to jest przecie książę. Tymczasem wiemy z Porfyrogenety, że za jego czasów nie istnieli u Słowian ani królowie, ani książęta, a więc nie mogli istnieć także naczelnicy plemienni autora. Następnie wedle Porfyrogenety żyli Słowianie rodami, każdy ród pod zwierzchnictwem swego starca, żupana. Otóż jeśli Boniecki przez swych naczelników plemion rozumiał tych naczelników rodów, czyli starostów rodowych, to wypada zaznaczyć, że godność starosty rodowego, czyli seniora, nie była dziedziczną, że po seniorze zmarłym nie następował jego syn, lecz znowu najstarszy w rodzie, którym był najczęściej młodszy brat zmarłego seniora. Jeżeli przeto seniorat nie był dziedzicznym, to nie mógł wytworzyć klasy społecznej, a w takim razie, jakim sposobem mogła-by z niedziedzicznego senioratu wytworzyć się szlachta polska, której dziedziczność jest właśnie najcharakterystyczniejszym znamieniem? To przecież jest rzeczą wręcz niemożliwą, i dlatego hipoteza p. Bonieckiego nie może uchodzić za trafną.

W końcu zastanawia się profesor Piekosiński nad pracą T. Ch., pod tytułem: „O dostojnym rodzie Piasta“. W pracy powyższej autor przypuszcza, że w ówczesnem społeczeństwie polkiem byli tacy, którzy się wyłącznie poświęcali rolnictwu. Takich—oświadcza profesor Piekosiński—nie było wcale i być nie mogło, gdyż nie było zgoła żadnych większych obszarów roli. Natomiast każda rodzina wieśniacza uprawiała cokolwiek roli, gdzie w każdej dziedzinie znalazły się niewielkie przestąpienie ról. Dopiero w drugiej połowie XIII wieku, z osadnikami na prawie niemieckiem przychodzi do naszej ojczyzny żelazo, jako metal użytkowy, siekiera i pług. Odtąd zaczyna się trzebienie lasów i wyczynianie roli na wielką skalę, teraz też dopiero powstaje klasa rolników. Kmiecie na prawie niemieckiem to klasa rolników, ale przypuszczać osobną klasę rolników u nas w dobie pogańskiej jest wręcz niemożliwym.

Następnie profesor Piekosiński przypomina teorię własną rozwiniętą w pracy: „O dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu“. Teorya powyższa polegała na tem, że: 1) tematami najstarszych herbów szlachty polskiej są runy skandynawskie; 2) że średniowieczny ustrój ojczyzny naszej opiera się na podboju. Przeciw tej teorii oświadczył się naprzód profesor Małecki w pracy swej „Studia heraldyczne w nowszych czasach“, potem Boniecki, z młodszych zaś uczonych Semkowicz. Przeciwno teorii podboju wystąpił także profesor Smolka. Wobec tego profesor Piekosiński uczuł się zniewo-



lonym stwierdzić, iż mimo upływu tylu lat od ukazania się jego dzieła „O dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu“, przecież żaden historyk polski nie wystąpił z żadnym takim przekonywającym argumentem, który-by jego teorię nie tylko obalić, ale choćby zachwiać zdołał. Wobec tego wszystkiego — pisze w końcu profesor Piekosiński, — wobec pochlebnej opinii s. p. Stosława Łaguny, uznania ze strony Akademii Umiejętności i niepodniesienia dotąd poważnych argumentów ze strony naszych historyków, nie mam najmniejszego powodu do rozpaczania nad moją teorią, potrzebuję tylko dać czas tej sprawie, niech się wystoi. Skoro historycy nasi przyjdą po długim namyśle do przekonania, że argumentów przekonywających przeciwko mojej teorii nie mają, to się wreszcie z nią powoli oswoją i uznają ją za trafną.

Dalszy ciąg olbrzymiego tomu trzeciego wypełniają „Regesta historyczne małopolskie z doby piastowskiej“. Jak autor objaśnia, nie są to regesta, ułożone wedle prawideł, ściśle umiejętności, czyli *lege artis*, ale tylko pobieżny szkic regestów, o ile nam takowy potrzebny jest, jako tło do obrazu dziejów rycerstwa małopolskiego w dobie piastowskiej. Owe regesta małopolskie poprzedzają uwagi wstępne, w których autor zastanawia się nad tego rodzaju pytaniami, jak: skąd się wzięli Słowianie, a względnie Lechici w swych dzisiejszych siedzibach w Europie? kiedy się to stać mogło? czyli w jakim mniej więcej czasie i w jakim porządku kolejnym pomiędzy narodami indoeuropejskimi Słowianie przybyli do Europy? Dalej, skąd przodkowie nasi przybyli do dzisiejszej swej ojczyzny, położonej między Wisłą, Odrą, Karpatami, Notecią i Drwęcą, a względnie gdzie leżała ta dawniejsza ich ojczyzna, którą opuścili, przesiadlając się do nowej? Następnie, z jakimi zasobami przybyli przodkowie nasi z dawniejszej swej ojczyzny do tej nowej ojczyzny, mianowicie, co z sobą przyprowadzili, lub przynieśli? Na jakim stopniu kultury stali przodkowie nasi w chwili osiedlania się w nowej ojczyźnie swej pomiędzy Wisłą i Odrą? W jakiej, mniej więcej liczebnej sile przybyli przodkowie nasi do tej ojczyzny? Co w niej znaleźli, a względnie, jak takowa wówczas wyglądała?

Profesor Piekosiński dotknął więc najważniejszych kwestyi do prabytu naszego odnoszących się, i tom trzeci jego dzieła nie tylko heraldyczne, ale i ogólno-historyczne posiada znaczenie. Krytyka teorii profesora Piekosińskiego w zwykłym sprawozdaniu była-by nie na miejscu, zresztą należy ona do powag pierwszorzędnych, mogących ocenić wartość i znaczenie hipotez, popartych tak wielkim zasobem naukowym, jak to ma miejsce u profesora Piekosińskiego. Na

tem miejscu zaznaczyć jednak winieniem, że tom trzeci „Rycerstwa“ jest wymownem świadectwem niestrudzonej pracowitości autora i jego bogatej erudycyi, która na szczerzy podziw i uznanie zasługuje.

A. R.

---

**Adam Szelaǳowski:** „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce“ (Lwów, nakład Towarzystwa Wydawniczego, r. 1902, str. 317).

Nasze piśmiennictwo historyczne i ekonomiczne zarazem, a właściwie historyczno-gospodarcze, wzbogaciła bardzo cenna książka. Praca p. Szelaǳowskiego, z której pragniemy zdać sprawę, jest tym nabytkiem nader doniosłym. Na zasadzie badań sumiennych i skrzętnych, po części zupełnie nowych, autor poddał rozbirowi sprawę pieniądza, a w związku z nią sprawę cen od początku wieku XVI aż do schyłku XVII wieku w Polsce, uwydatniając równorzędnie znaczenie tych zagadnień w rozwoju historycznym Rzplitej i w rozwoju teoryi ekonomicznych oraz handlu, tak u nas, jako też w całej Europie zachodniej; autor postawił więc sobie zadanie podwójne: zobrazowanie dziejowe tych zjawisk i ujęcie ich w prawdy względnych do ducha czasu reguł ekonomicznych. Słowem, p. Szelaǳowski obrał w swych badaniach metodę dobrze zrozumianego kierunku historycznego w ekonomii i dał wyborny zarys głównych znamion teoryi gospodarczych, polityki ekonomicznej i handlu w epoce tej. Badacz stanął na wysokości zadania swego,—zadania dostarczenia przyczynku do dziejów handlu miast oraz wzrostu i upadku cen pod wpływem pieniądza.

Wiadomo, że obecnie w dociekaniach ekonomicznych, zwłaszcza w Niemczech, zapanował kierunek historyczny, którym zastąpiono dawną metodę dedukcyjną. Kierunek ten, który wyrugował oderwania ekonomiczne i wsparł się na uwzględnianiu związku dziejowego zjawisk gospodarczych z faktami politycznymi i społecznymi, grzeszy jednak w Niemczech jednostronnością; lekceważy on ekonomię, a wnioski historyczne po największej części zapożyczają z gotowych badań. Właściwie więc grupuje tylko gotowe fakty dziejowe podług ich powinowactwa ekonomicznego. P. Szelaǳowski nie poszedł za temi przykładami, lecz (jak sam przyznaje), za wzorami polskimi: za Łojką, Czackim, Surowieckim, Łabęckim. Zatem w równej mierze, jak oni, autor przypisuje czynnikom ekonomicznym w dziejach „zna-

czenie nie większe ponad charakter pewnej funkcji i objawu życia ogólnonarodowego". Przytem całkiem zgodnie ze współczesnym stanem nauki ekonomicznej uważa siły gospodarcze za podwładne woli i rozumowi ludzkiemu. Temi myślami przewodniemi kierowany, gromadzi bogaty materiał archiwalny pamiątek dziejowych, porządkuje go i łączy w całość badań nad pieniądzem i cenami, nakoniec snuje wnioski, oświetlając je krytycznie, bądź zarządzeniami prawodawczemi, bądź współczesną literaturą i publicystyką ekonomiczną. Oczywiście praca ta nie jest traktatem, wyczerpującym wszystkie strony pierwszorzędných zagadnień; jest wszelako przyczynkiem wielce pożytecznym i z różnych kątów widzenia nowym. Wyjaśnia znaczenie sprawy monetarnej w okresie XVI i XVII w. w Polsce, wskazuje owoczesne kierunki polityki handlowej, rozwój pojęć gospodarczych i związek z niemi samego życia. Odślania więc, śmiało rzec to można, zgoła nowe horyzonty. Przekonywamy się, że Polska tych dwóch wieków odznaczała się zupełną świadomością praw gospodarczych. Przedewszystkiem zdawano sobie sprawę ze znaczenia pieniądza i jego zadań w życiu handlowem i w finansach państwa. Sama moneta się zmieniała: za Zygmunta starego był w Polsce świetny rozwój systemu monetarnego, przy jednoczesnym upadku waluty w Prusach; potem w w. XVII nastąpiła era pieniądza złego, lecz świadomych usiłowań podniesienia monety lub jej prawnej dewaluacji. Istniały wówczas i definicje teoretyczne pieniędzy z początku naiwne, choć zgodne z duchem czasu, potem coraz pogłębiane, świadczące o rozwoju myśli ekonomicznej.

Za Zygmunta starego pieniądz był w pojęciu powszedniem „nerwem wojny“, później upatrywano w nim nerw wszystkich spraw („omnium rerum gerendarum nervus). A równocześnie roztrząsano i próbowano normować polityką ekonomiczną ceny towarów, jako zależne od pieniądza, co już w przekonaniu powszechnem uświadomiono sobie. Zmiany cen, które się dokonały w Polsce, posłużyły za tło do walki między stanem ziemiańskim, a kupieckim. Za Zygmunta III sejmy wprowadzają taksy i taryfy, rozszerzają kontrolę nad mennicą, ukrócają prawa królewskie bicia monety, aby utrzymać dawne ceny pieniądza i towarów. Ujawniła się tu także świadomie kierowana polityka handlowa miejska, będąca znamieniem rozwiniętego już systemu gospodarczego. Ewolucja ku produkcji większej, ku handlowi zagranicznemu i gospodarstwu pieniężnemu uwydatniła się bardzo wyraźnie w dziejach pieniądza i regulowania cen w Polsce wieków XVI i XVII. A duchem, który kierował tą polityką, był system ekonomiczny, panujący w Polsce tak samo, jak za granicą, mianowicie merkantylizm.

Badania p. Szelaǳowskiego s w tym punkcie może najwaźniejsze, bo przekonywaj, wbrew pogldom utartym, że w Polsce znano wybornie t doktryn gospodarcz i że bya ona motywem rozstrzygajcym polityki finansowej i ekonomicznej Rzpltej w tych okresach. Istniao dugo bedne przewiadczenie, że Polska, jako kraj przewaźnie rolniczy, przyswoia sobie teorye gospodarcze dopiero wtedy, gdy powsta fizyokratyzm, który by dopasowany do interesw rolnych kaźdego kraju. Wyniki nowych bada rozwiawaj t watpliwo. Okazuje si tylko, że merkantylizm mia w Polsce charakter odmienny, brakowao mu bowiem jednej cechy, do ktorej nie byo materiau w yciu: ochrony przemysu krajowego. Rozwj bogactw w kraju identyfikowano jednak z napywem pienidzy (tak samo, jak w merkantyлизmie zachodnio-europejskim) i dla tego dazono do spotegowania wywozu, nie poddajc wszelako przywozu kaźnym ograniczeniom. By to wic merkantylizm z odcieniem agrarnym, z popieraniem wywozu podw rolnych, lecz zawsze polityka, oparta na przekonaniu o tożsamoci pienidzy z bogactwem.

W caym tym okresie, który ujawnia w szczegoach roźnice pogldw teoretycznych, uwarunkowanych zmianami w yciu, merkantylizm, jako naczelna teoria gospodarcza, rzdzi kierunkami polityki i znajdowa odbicie wymowne, a nawet ścile juź naukowe, w literaturze. Najpierw ukazuje si tedy dzieo bardzo wybitne: traktat Kopernika p. t. „De optima monetae cudendae ratione“. W traktacie tym Kopernik rozbiera kwesty porwñwania pienidzy pruskich z polskimi, podaje projekt zaożenia dwoch mennic i projekt monety pruskiej i koronnej, z warunkiem, by jedna i druga miay obieg w caem państwie. W pracy Kopernika uwydatnione s teoretyczne podstawy zagadnienia pienidza, na swój czas gebokie, a zarazem zawiera si tu najbardziej zasadnicze twierdzenie, iź pienidz dobry wypierany jest zawsze przez zy. Teoria ta, znana w nauce, podniesiona nawet do godnoci prawa, uwaźana bya za odkrycie Greshama, synnego finansisty angielskiego z czasw Elźbiety, i nosi nawet jego nazwisko. Pokazuje si tymczasem, że Kopernik wyprzedzi zasug ekonomisty angielskiego. P. Szelaǳowski po raz pierwszy zwraca na to uwag, dajc tem samem now wskazwk naukow wielkiej doniosoci.

W traktacie Frycza Modrzewskiego „O naprawie Rzpltej“, naleźcym do tej samej epoki, znajduj si rownieź pogldy merkantylistyczne na pienidz, handel i droźyzn. Inni autorowie okresu tego, jak np. Śmiglecki, stoj na stanowisku kanonistycznym, tworzącem poniekad reakcy przeciw merkantylizmowi. Potem w epoce przesilenia pieniżnego literatura nosi charakter w częci ziemia-

sko-merkantylistyczny, w części ściśle kupiecki. Są tu dwa kierunki: dążenie do redukcji pieniądza i do unormowania cen złota do srebra. Nakoniec wśród upadku waluty za Jana Kazimierza, w ukazujących się wówczas broszurach odbija się różniczkowanie interesów społecznych warstw poszczególnych.

Książka p. Szelańskiego, prócz tych wszystkich cennych przyczynków, zawiera jeszcze wnioski ogólne, do których autora uważnia rozbiór materiału zdobytego. Stosunki handlowe, jak wywodzi badacz, rozwijają się u nas normalnie aż do połowy XVII w. i dopiero wypadki polityczne, tudzież ogólna zmiana konjunktur handlowych zadały cios handlowi polskiemu. Konstytucye sejmowe i polityka ekonomiczna szlachty mało tu zawiniły.

Pod wrażeniem rzetelnej wdzięczności dla autora zamyka się nowe to dzieło, które, jako całość, jest sumiennem badaniem naukowem. Do książki tej często wracać będzie musiał każdy, pragnący zaznajomić się z historią handlu i pojęciami ekonomicznemi Polski od czasów Odrodzenia do epoki upadku gospodarczego za Jana Kazimierza.

ST. A. KEMPNER.

## KRONIKA MIESIĘCZNA

---

Dzień 15 lipca, jako rocznicę pamiętnej chwili dziejowej, w której na polach Grunwaldu starły się dwie potęgi, rozstrzygając mieczem zatarg odwieczny i zdając niejako na sąd Boży swoje roszczenia wzajemne, dzień bitwy, w której oręż polski okrył się sławą wiekopomną, a sztandar wielkiego Zakonu runął w pyłe i prochu pod stopy Jagiełłowe, dzień chwały i sprawiedliwości, przypomniany Polsce przez wyzywające słowa koronowanego mówcy w Malborgu krzyżackim—prasa dzień ten uczciła, zamieszczając, obok wieści o uroczystych obchodach rocznicy Grunwaldzkiej w Galicyi, artykuły specjalne, poświęcone opisowi bitwy, historycznemu rozwojowi stosunków polsko-pruskich i dzisiejszemu ich ukształtowaniu się. Artykuły te dotarły wszędzie, zbyteczna więc na tem miejscu głos zabierać w tej sprawie. Niepodobna wszakże pominąć rocznicy samej miłczeniem, i dla tego od położenia daty *15 lipca 1410 roku* rozpoczynamy „Kronikę“ obecną.

---

Jesteśmy w przededniu doniosłej reformy podatkowej i zmian w gospodarce ziemskiej i miejskiej. Informacye urzędowe w tym względzie brzmią, jak następuje:

System opodatkowania w guberniach Królestwa Polskiego i gospodarki ziemskiej opierał się, jak wiadomo, na opłatach podwójnego rodzaju: gminnych i specjalnych, uzupełniających pierwsze, a przeznaczonych na zaspokojenie tych potrzeb, których nie dało się pokryć środkami gmin. Podatki specjalne, w różnych czasach i na różne cele ustanowione, jak oto: transportowy, drogowy, na utrzymanie sądów gminnych, na utrzymanie zakładów dobroczynnych miasta Warszawy, na pomoc lekarską w gubernii Płockiej—stoją względem

siebie w związku zupełnie luźnym, a mają tę jedną tylko cechę wspólną, że wszystkie, tak, czy inaczej — obciążają prawie wyłącznie ziemię. Nie było przytem i niema instytucji specjalnych, na których spoczywał-by obowiązek troszczenia się o potrzeby miejscowe i nierozzerwalne z tym obowiązkiem rozporządzanie funduszami, dostarczalnemi przez ludność.

Sprawa reformy podatków gminnych, wszczynana niejednokrotnie przez władzę wyższą w kraju, oraz przez ministerium spraw wewnętrznych, rozpoznawana była w Komitecie organizacyjnym, w Komitecie do spraw Królestwa Polskiego, w specjalnie w tym celu tworzonych komisjach miejscowych, lecz, wskutek różnych okoliczności, pomimo uznanej konieczności reformy, dotąd pozostała nierozstrzygniętą. Wszystkie projekty sprowadziły się do projektu rozszerzenia podatków gminnych na takie przedmioty, które obciążone są podatkami ziemskimi w innych guberniach i miejscowościach Państwa, w Królestwie zaś Polskiem wyłączone zostały z opodatkowania gminnego, jak oto: instytucje przemysłowo-fabryczne i handel; przez to osiągnąć miano z jednej strony zwiększenie środków pieniężnych na zaspokojenie różnych potrzeb gminnych, z drugiej — równomierniejszy rozkład na wszystkie warstwy ludności ciężaru podatkowego. Potrzebę zreformowania w tym duchu opodatkowania gminnego wskazywał też w odnośnej uchwale swojej były Komitet w sprawach Królestwa Polskiego, zatwierdzony w dniu 26 lipca 1868 roku.

W ten sposób powstała konieczność rozwiązania dwóch zagadnień, uzupełniających się wzajem, a jednocześnie stanowiących jedną całość: pierwsze—to ustanowienie gubernialnego podatku ziemskiego, który zastąpić miał podatki specjalne i niektóre gminne, i drugie — zreformowanie systemu podatków gminnych.

Wypracowanie projektu reformy powierzono utworzonej za pozwoleniem Najwyższem przy generał-gubernatorze warszawskim Komisji specjalnej do zbadania położenia obecnego włościan w Królestwie Polskiem. Obszerny materiał statystyczny, zgromadzony przez Komisję w tym przedmiocie, i zbadanie zdolności płatniczej ludności — posłużyły za podstawę do wypracowania projektu o powinnościach ziemskich, obejmującego zarówno gubernialne, jako też gminne powinności pieniężne i w naturze.

W celu należytego zaspokojenia miejscowych potrzeb ziemskich i zachowania równowagi w opodatkowaniu, Komisya uznała za konieczne:

a) Zespolić istniejące różnorodne podatki specjalne i b) zreformować system podatków gminnych i powinności naturalnych.

Zarys zaś ogólny tej reformy przedstawia się w sposób następujący:

1) Pozostawiwszy przy gminie tylko te podatki, które przeznaczone są do zaspokojenia potrzeb wyłącznie tylko tejże gminy, pozostałe specjalne i gminne podatki połączyć w jeden gubernialny podatek ziemski, oparłszy go na obowiązującym systemie podatków skarbowych.

2) Przyjąwszy gubernię za jednostkę ziemską, zorganizować w niej do zarządzania podatkiem ziemskim Komitet gospodarczy, pod przewodnictwem gubernatora i z udziałem przedstawicieli płatników danego podatku. Komitet taki pozostawać winien pod zwierzchniem kierownictwem generał-gubernatora warszawskiego.

3) Dział wykonawczy, według zatwierdzonych w trybie ustanowionym budżetów ziemskich, powierzyć w każdej gubernii izbie skarbowej i instytucyom właściwym, zarządzającym tą, lub inną gałęzią gospodarstwa ziemskiego.

4) Zarząd powinnościami gminnymi poruczyć instytucyom gminnym, oddawszy je, pod względem powinności obowiązkowych, czyli ustanowionych przez prawo, a nie uchwałami zebrań gminnych, pod władzę Komitetów gospodarczych powiatowych, które będą bezpośrednim łącznikiem pomiędzy gminą a Komitetem gospodarczym gubernialnym.

5) Ustanowić związek między powinnościami gubernialnymi a gminnymi przez: a) prawo przetwarzania podatków gminnych na gubernialne; b) wyznaczania zapomóg gminom z sum podatku gubernialnego i c) ustanowienie dla jednych i drugich jednakowych zasad opodatkowania — wreszcie

6) Oprzeć opodatkowanie ziemskie na zasadach równomierności podatkowej, a w tym celu pociągnąć do opłaty podatków ziemskich nietylko własność ziemską, jak dotąd, głównie obciążoną, lecz i każdą inną, dającą dochód własność nieruchomą, a także handel i przemysł.

Na wyłuszczonej powyżej zasadach sporządzony został szczegółowy projekt ustawy „o powinnościach ziemskich“, i przesłany przez generał-gubernatora warszawskiego do uznania właściwych ministerjów.

Obok tego projektu zasługuje na zaznaczenie opracowany niemal jednocześnie przez ministerjum spraw wewnętrznych projekt decentralizacyi miast.



Jak wiadomo, dotychczas każdy, choćby najdrobniejszy kredyt, wymagany dla tego, lub innego miasta, podlegał decyzji ministerium spraw wewnętrznych. Na przyszłość decydować w tej mierze będą władni, stosownie do wysokości kredytu, gubernatorowie, lub general-gubernator. Dotyczy to również i budżetów miejskich. Tylko budżety Warszawy i Łodzi będą nadal składane do zatwierdzenia ministerium spraw wewnętrznych.

Decentralizacya taka ogromnie ułatwi postępowanie w wielu sprawach i przyspieszy zaspokojenie niejednej pilnej potrzeby, gdy stosunki dotychczasowe utrudniały miastom pracę nieledwie na każdym polu. Dość powiedzieć, że przy budżecie, wynoszącym kilka milionów rubli, kompetencya magistratu warszawskiego ogranicza się wydatkiem 150 rubli, wydatki zaś wszelkiej kategorii, przenoszące tę sumę, mogą być dokonane nie inaczej, jak po uzyskaniu zatwierdzenia przez władze wyższe.

---

Grono członków oddziału warszawskiego Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu poruszyło myśl sformowania nowej sekcji, która miała-by na celu otoczenie szczególną opieką wyrobów krajowych we współzawodnictwie ich z zagranicznymi.

Wnioskodawcy zaakcentowali przytem, jako punkt najważniejszy działalności przyszłej sekcji — walkę z zakorzenionem u nas uprzedzeniem do wyrobów krajowych, tudzież pracę nad udoskonaleniem techniki naszego handlu, której zaniedbanie stanowi jedną z najważniejszych przyczyn ograniczonego zbytu naszych wyrobów.

Wniosek o założenie tej sekcji, podpisany przez dziesięciu członków Towarzystwa, zarząd oddziału wniósł, jak tego ustawa wymaga, na posiedzenie rady, która uznała doniosłość i użyteczność tej inicjatywy i postanowiła ją urzeczywistnić. Nadano tylko projektowi nieco inną formę. Mianowicie, na podstawie opinii, wyrażonej przez powołaną do tego komisję, uchwalono nie stwarzać nowej sekcji, ale powołać do bytu specjalną delegację, pod nazwą *Delegacji wyrobów krajowych*. W ten sposób przemysł nasz w niedługim czasie pozyska instytucję, pośredniczącą pomiędzy nim, a społeczeństwem.

Jak dalece pośrednictwo takie jest potrzebne, o tem wiedzą doskonale zarówno wytwórcy, jak i kupcy. Te dwie strony nieraz wzajemnie się poszukują, nie mogąc wydostać się z granic błędnego

koła, w jakie wtoczyła je rutyna i krótkowidztwo naszego handlu. Ofiarą tego pada publiczność, która, mimo najlepszych intencji ze swej strony, albo jest świadomie w błąd wprowadzona przez kupca, ofiarującego jej wyrób obcy, zamiast krajowego, albo też — jest źle obsłużoną, jeżeli kupiec jest uczciwy, i nie sprzedaje wyrobów niemieckich za polskie. Zapytany o wyroby krajowe, kupiec taki twierdzi, że one nie istnieją — i w niejednym wypadku niewątpliwie ma rację. Z drugiej jednak strony przemysłowcy mówią: gdybyśmy mieli zapewniony zbyt na te a na te artykuły, wytwarzali-byśmy je chętnie, nie wytwarzamy jednak, bo nikt ich od nas nie żąda. Takie zapatrywania są właśnie owem kołem błędnem, które od szeregu lat tamowało nasz rozwój ekonomiczny. Nikt nie chciał zrobić początku. Obecna dopiero chwila pozwala przypuszczać, że obie strony znajdą drogę do wzajemnego porozumienia się, że przemysłowcy zaczną wytwarzać, a kupcy żądać od nich i kupować to, czego publiczność wymaga. Porozumienie takie nie może się atoli obyć bez pośrednictwa, i tu właśnie szerokie pole do działania ma przed sobą delegacya wyrobów krajowych.

Już sama informacya w tym kierunku wiele znaczy. Przy jej pomocy kupiec będzie wiedział, do kogo ma się zwrócić, gdzie i jaki towar zamówić, przemysłowiec zaś nie będzie miał kłopotu ze zbytem, a raz nawiązane stosunki powoli rozwiną się i utrwalą. Spełnianie obowiązków „biura informacyjnego“ będzie też najpierwszem zadaniem delegacyi — w jej ręku powinny się znaleźć wszystkie nici, wszelkie, najdrobniejsze nawet, wiadomości o stanie obecnym przemysłu krajowego i o najpilniejszych jego potrzebach. W tym celu konieczną będzie rzeczą opracować przewodnik przemysłowo-handlowy po kraju i wydawać go peryodycznie, uzupełniając i rozszerzając stopniowo. Na dalszym dopiero planie stać mogą inne zadania delegacyi, jak oddziaływanie na ogół za pomocą odczytów, urządzenie wystaw poszczególnych wyrobów krajowych, udzielanie porad technicznych w zakresie handlu i przemysłu i t. d.

Chcąc jednak osiągnąć jakiegokolwiek rezultaty, należy zabrać się do dzieła szybko i energicznie, a do tego delegacya potrzebować będzie poparcia warstw jak najszerszych. Od ilości jej członków zależeć będzie w pewnej przynajmniej mierze jej rozwój, od ich uczucia obywatelskiego i gorliwości w krzewieniu idei podźwignięcia przemysłu krajowego — moralne jej zdobycze, streszczające się w podniesieniu i zbudzeniu świadomości narodowej i ekonomicznej na całym obszarze kraju i — ostateczne zwycięstwo. Kto więc pragnie, aby wyroby obce wyparte zostały z naszych rynków, abyśmy stopniowo, ale ciągle emancypowali się z pod zależności od naszych nieprzyjaciół, i kto ro-

zumie doniosłość takiej pracy, a drobiazgowość związanej z nią ofiary, polegającej na wyrzeczeniu się tego lub owego przyzwyczajenia, i to czasowo tylko—ten niechaj bez wahania zapisze się w poczet członków delegacyi i stanie obok jej inicjatorów na tym nowym zagonie, potrzebującym uprawy i rąk do siania.

---

Tenże sam oddział warszawski Tow. popierania rosyjskiego przemysłu i handlu wniósł przed niedawnym czasem do ministerjum skarbu, rolnictwa i dóbr państwa podanie o wyznaczenie zapomogi w sumie 6,000 rb. na cele popierania przemysłu drobnego w Królestwie polskiem. Podanie to umotywowane jest potrzebą podniesienia nader niepomyślnego stanu włościan w kraju naszym.

„Rolnictwo—powiedziano w memoryale—znajduje się obecnie w okresie ciężkiego przesilenia, które dotknęło zarówno większą, jako też i drobną własność ziemską, skutkiem czego bezrolni i małorolni włościanie nie znajdują zarobków w gospodarstwach większych, własne zaś ich gospodarstwa nie mogą wystarczyć potrzebom nawet najskromniejszym i znieść wszystkich ciężarów podatkowych. Wraz z przesileniem rolnem nastąpiło też przemysłowe, skutkiem którego do wsi powracać zaczęły tysiące rodzin robotniczych, nie mogących wyszukać sobie zarobku. Gdy dawniej człowiek w pełni sił wyciągał rękę o jałmużnę, mówiono mu „weź się do pracy.“ Obecnie nikt rady takiej nie daje, albowiem otrzymał-by w odpowiedzi: „daj pracę.“ Odpowiedź słuszna.

Cały kraj—powiedziano w innem miejscu—przepelniony jest nędzarzami, pędzącymi żywot z dnia na dzień i odżywiającymi się nie chlebem nawet, ale kartoflami. Stąd nadmierna, niebywała liczba drobnych lecz dokuczliwych kradzieży, a w pobliżu miast rozbojów. Władze policyjne i sądowe tępią tę zarazę, lecz widocznie bez pożądanego rezultatu, albowiem liczba zamachów na cudzą własność wzrasta. W wielu powiatach, jak np. w Krasnostawskim i Zamoyskim, każdy drobny gospodarz, posiadający konia, krowę, lub świnie, rok cały sypia nie w izbie, lecz w stajni, lub chlewku, albo też—ojciec śpi tu, a syn tam. Kradzieże szerzą się z nędzy.

Wychodztwo do Niemiec, Stanów zjednoczonych i Brazylii, według opinii ogółu, nie powstaje bynajmniej z chęci szybkiego zubożenia się, lecz wywołane jest chęcią wyzwolenia się z przygniatającej nędzy. Wychodztwo jest tem większym złem, że nie można niem kierować, albowiem niepodobna jest utworzyć jakiegokolwiek organi-

zacyi, choćby dla tych, którzy emigrują na zarobki do Prus, gdzie podlegają barbarzyńskiemu wyzyskiwaniu. Przemysł drobny podtrzymuje niewątpliwie ludność w guberniach wewnętrznych i staćby się też mógł dźwignią dla ludności kraju tutejszego. Oddział warsz. Tow. pop. przem. i handlu prosi zatem o zapomogę na cele przemysłu drobnego, chociażby tylko w wysokości 6,000 rb. Z tą sumą w rękach oddział warszawski będzie mógł podjąć sprawę, która powinna odbić się bardzo pomyślnie na dobrobycie ludności w 10 guberniach kraju.

Jak po otrzymaniu tej zapomogi Towarzystwo zamierza akcyę ratunkową prowadzić, od czego zacząć i jakie gałęzie przemysłu popierać i krzewić—tego nie wiemy, to pewna jednak, że przystępuje ono do rzeczy, niezmierną mającej wagę dla przyszłości ekonomicznej kraju i nad wyraz trudnej—idzie tu bowiem raczej o stworzenie przemysłu drobnego, aniżeli o popieranie go. Na tem polu jesteśmy bardzo ubodzy—i zdaje się, że nawet Galicya wyprzedziła nas o wiele w tym względzie. U nas przemysł domowy, o ile istniał za dawnych czasów, upadł, albo upada stopniowo, wypierany przez fabryki, reprezentujące wielki kapitał. W Galicyi tymczasem, o ile nam wiadomo, utrzymały się, a nawet rozwinęły przy pomocy towarzystw współdzielczych niektóre jego gałęzie—kwitnie tam koszykarstwo w Rudniku i Wiązownicy, pracują kuśnierze i „safiannicy“ w Tyśmienicy, doskonale mają się ślusarze i kowale, wyrabiający kłódki słynne w Świątnikach górnych i t. d. Prócz tego galicyjski wydział krajowy kształci i wysyła stale w rozmaite strony kraju instruktorów fachowych.

Otóż przedewszystkiem należało-by pomyśleć i u nas o takich instruktorach i przygotować ich zawczasu, czy to w zakresie rzemiosł, czy w zakresie gospodarstwa wiejskiego, jak np. młeczarstwa i serowarstwa. Jedna ta gałąź, należycie uprawiana, już mogła-by przysporzyć korzyści włościanom. W wielkiem zaniedbaniu znajduje się u nas także koszykarstwo, które za granicą doszło już do wysokiej doskonałości i produkuje wygodne, kształtne i tanie meble, mogące wybornie współzawodniczyć z t. zw. wiedeńskimi. Pomocy i podźwignięcia z upadku domaga się także i sitarstwo biłgorajskie, i garncarstwo niegdyś tak kwitnące, a dziś zabite przez tanie fabrykaty niemieckie, a w najlepszym razie ryskie. Na szczególniejsze uwzględnienie zasługiwało-by tu zabawkarstwo, hafciarstwo, wyrób kilimków, koronkarstwo, mające widoki powodzenia i t. d.

Nie wyliczamy tu wszystkiego, podobnych bowiem źródeł zarobkowania znajdzie się kilkadziesiąt.—Pragnęliśmy tylko zwrócić uwagę na inicjatywę, domagającą się jak najszerszego poparcia, zwłasz-

cza ze strony tych, którym środki pozwalają dopomóc inicjatorom do rozpoczęcia walki z nędzą ludu wiejskiego.

D-r K, Rozenfeld podał w ostatnim zeszycie „Zdrowia“ szereg ciekawych uwag o „hygienie pielgrzymek do Jasnej Góry“.

Rzecz swoją rozpoczyna autor od zestawień statystycznych. Dane, przytoczone tam co do pielgrzymstwa, jak wszelki materiał cyfrowy, przez statystykę gromadzony, nie są dość ściśle, obejmują bowiem tylko siedem miesięcy i podają tylko pielgrzymów, przybywających do Częstochowy w t. zw. kompaniach. Pielgrzymki jednostek, rodzin i grup, złożonych z kilku lub kilkunastu osób—są tu pominięte. Statystyka zaczyna się dopiero od 20 osób, które uważane być mogą za kompanię. Liczba osób, biorących udział w takich kompaniach sięga 6,000, przeważnie jednak gromady pielgrzymów liczą po 200—500 osób.

W r. 1898 na ogólną liczbę 668 kompanii było:

150 kompanii	po	200 — 300	ludzi
107	„	400 — 500	„
96	„	100 — 200	„
82	„	300 — 400	„
37	„	1000 — 2000	„
15	„	2000 — 3000	„

W drodze kompanie takie bardzo często łączą się razem, tworząc kilkunastotysięczne nawet gromady. Z wyjątkiem dzieci poniżej lat 12, spotykamy wśród pielgrzymów ludzi różnego wieku, przeważnie jednak w okresie między 20 a 45 rokiem życia. Trafiają się jednak ludzie znacznie starsi, a nawet starcy między 60 a 70 rokiem.

Lud ciągnący ku Jasnej Górze pochodzi z rozmaitych okolic kraju, nie wyłączając Prus i Austrii; najliczniej wszakże reprezentowane jest Królestwo. Oto jak się przedstawia tablica pielgrzymów, przybyłych w r. 1898.

Z gubernii	liczba	co stanowi %
Piotrkowskiej	92.888	26 %
Kieleckiej	88.320	24 %
Warszawskiej	57.349	16 %

Z gubernii	liczba	co stanowi %
Kaliskiej	53.483	15 %
Radomskiej	46.573	13 %
Lubelskiej	11.404	3 %
Siedleckiej	5.825	1.6 %
Łomżyńskiej	3.000	0.8 %
Płockiej	608	0.16 %

Ze Szląska i Poznańskiego przybywa rocznie około 5,000 pielgrzymów, co stanowi 1. 5%, z Austrii—od 0. 5% do 3% i tak: w r. 1898 przybyło stamtąd 12,864 dusz, w roku zaś 1900 tylko 1766.

Napływ pielgrzymów nie jest jednolity. Wybitne różnice zachodzą zarówno w miesiącach, jak i w latach. Mianowicie pielgrzymów było:

	w r. 1899	w r. 1900	w r. 1901
w marcu	951	298	2,593
w kwietniu	3.583	1.500	161
<b>w maju</b>	<b>88.959</b>	<b>49.658</b>	<b>69.297</b>
w czerwcu	11.467	21.540	12.166
w lipcu	3.881	7.033	8.712
<b>w sierpniu</b>	<b>211.880</b>	<b>145.146</b>	<b>142.457</b>
we wrześniu	48.659	16.614	9.602

Jak widzimy, najliczniej uczęszczane są odpusty w maju i w sierpniu t. j. w czasie po ukończeniu wiosennych robót w polu i przed rozpoczęciem jesiennych. Dodać należy, że do cyfry za miesiąc sierpień należy wielki odpust 8 września, dane bowiem urzędowe, według których cyfry powyższe tu przytoczono, oparte są na rachubie czasu według starego stylu.

Ogólna liczba pielgrzymów, przybywających na Jasną Górę w ciągu roku waha się między 200,000 a 400,000. I tak w roku 1898 przybyło 379,394, w r. 1899—397,507, w r. 1900—246,945, w r. 1901—253,107. Dwa ostatnie lata wykazują znaczne zmniejszenie się liczby pielgrzymów.

Zapoznawszy nas z rozmiarem pielgrzymstwa, autor przechodzi następnie do warunków, w jakich się ono odbywa. Przeważna większość pielgrzymuje pieszo. Tylko mieszkańcy Warszawy, Łodzi, Żyrardowa, Zawiercia, Dąbrowy, czasem Kowala, Włocławka przyjeżdżają i odjeżdżają koleją, prócz tego spora liczba pielgrzymów, zwłaszcza z miejscowości odległych, przybywa do Częstochowy

pieszo, a powraca do swoich siedzib koleją. Autor oblicza, że wyjeżdża z Częstochowy koleją ogółem około 145,000 osób.

Jak się pielgrzymi zachowują w drodze? Na to pytanie odpowiada dr. R. ze stanowiska lekarza w sposób następujący: jedzą bardzo niedostecznie, ubierają się niehygienicznie, nocują w stodołach, chałupach, szopach, płacąc po 1½—2 kop. za nocleg. W Częstochowie nocują w przylegających do klasztoru ulicach, przeważnie na strychach, w specjalnie na ten cel wynajmowanych izbach, stodołach i szopach. Sypiają prawie na golej podłodze, gdyż słoma jest od ciągłego użycia rozdrobniona na sieczkę. W jednej izbie lub na jednym strychu sypia 25—50 osób bez różnicy płci i wieku. W czasie większego napływu pątników znaczna ich część obozuje i sypia pod gołym niebem; jest to jeszcze najhygieniczny rodzaj noclegu.

Rozpatrując te szczegóły, autor stawia szereg wniosków, zmierzających do poprawy warunków pielgrzymowania i domaga się ich urzeczywistnienia, bądź to drogą samopomocy i uświadomienia ludu, bądź za pośrednictwem urzędów społecznych i państwowych. Do pierwszych należy sprawa odzieży podczas podróży samej, techniki pielgrzymki, zaopatrzenia wozów, kąpieli i t. p. Do drugich sprawa pożywienia i strona higieniczna pobytu pątników w samej Częstochowie.

Należy więc zwrócić baczną uwagę na jakość artykułów, sprzedawanych w straganach i garkuchniach i rozciągnąć nad nimi dozór sanitarny. Obecnie do użytku pielgrzymów oddawane są artykuły w najpośledniejszym gatunku. Zamiast np. herbaty otrzymują oni cukier palony, rozpuszczony w wodzie, wygląd zaś wędliny już zdaleka wzbudza wstręt i obrzydzenie. Można powątpiewać, czy produkty te są zdrowe i świeże. Dalej—należy się postarać o dostarczenie pielgrzymom należytej ilości dobrej wody do picia, obecnie bowiem dwie studnie miejskie, przeznaczone do użytku publicznego, są zawsze zepsute i zamknięte. Tak samo w oplakany stan są miejsca ustępowe, z których mają korzystać pielgrzymi. Następnie za pośrednictwem władz policyjnych trzeba koniecznie uregulować haniebną sprawę noclegów, a więc należy stanowczo wzbronić zamykania jednej izby lub strychu kilkudziesięciu ludźmi, bez różnicy wieku i płci, należy żądać, aby słoma zmieniana była przynajmniej raz na tydzień. Sienniki powinny być oddawane do prania również raz na tydzień.

Z przykrością dr R. stwierdza, że mimo olbrzymich sum, pozostawianych przez pielgrzymów w mieście, nie zrobiono prawie ani jednego kroku, mającego na celu ich wygodę i zdrowie. Dopiero ostatnimi czasy poruszono myśl wybudowania przytułku noclegowe-

go, na wzór istniejących w niektórych miejscowościach cudownych, jak w Lourdes, w Rzymie i w Kijowie. Podano też projekt, aby fakt ten związać z 300-tną rocznicą urodzin ks. Kordeckiego, która przypada w r. 1903. Przytułek mógłby pomieścić naraz około 500 osób. Wobec tego d-r R. zwraca uwagę, że przy ogromnym napływie pielgrzymów lepiej było-by budować schludne lecz wygodnie urządzone baraki drewniane, mogące pomieścić 1,000 i więcej osób. Wobec zaś zmniejszonych z tego powodu kosztów, należało-by urządzić przy barakach bezpłatne dla pielgrzymów kąpiele.

Pomijamy tu dalsze szczegóły pracy d-ra R., zaznaczamy tylko, że wywołała ona nader ożywione rozprawy w częstochowskiem Towarzystwie lekarskiem, które uchwaliło: 1) ogłosić odczyt d-ra R. *in extenso* w druku i rozpowszechnić go wśród duchowieństwa, ażeby zainteresować tą sprawą sfery najbardziej wpływowe; 2) uprosić d-ra R. o napisanie małej i popularnej broszurki dla przewodników kompanii. Broszurkę tę Towarzystwo gotowe jest wydać własnym nakładem i rozesłać do duchowieństwa prowincjonalnego; 3) do opieki sanitarnej nad pielgrzymami w Częstochowie utworzyć komitet, do którego zaproszono księdza przeora, d-rów Rozenfelda i Sękowskiego, oraz członków-ofiarodawców: pp. Fijałkowskiego i Kozłowskiego.

W ten sposób poruszona została sprawa, która oddawna powinna była zająć Warszawskie Towarzystwo higieniczne, zwłaszcza zaś jego wydział, poświęcony higienie ludowej. Sprawa ta posiada ogromne znaczenie społeczne i domaga się rychłego załatwienia. Powinna też ona zwrócić na siebie uwagę nietylko higienistów i ludzi idei, ale także i kapitalistów, którzy, wznosząc baraki, tanie hotele, łaźnie i kuchnie zdrowe i dostępne dla szerokich mas, przybywających rokrocznie do Częstochowy, mogli-by w pożyteczny sposób zużytkować leżące beczynnie kapitały, a zarazem z przedsięwzięciem tego rodzaju niewątpliwie mieliby dochód, przenoszący najśmielsze nadzieje akcyonaryuszów niejednej fabryki i niejednego banku. Dodać należy, że poza sferą potrzeb najskromniejszych, których zaspokojenia wymagać mogą pielgrzymi z ludu, jest w Częstochowie do zrobienia niejedno w kierunku udogodnienia pielgrzymki warstwom t. zw. uprzywilejowanym, dotychczas bowiem istnieje tam tylko jeden hotel możliwie urządzony—inne zaś, zwłaszcza te, które znajdują się bliżej Jasnej Góry, są parodią cywilizacji i za drogie pieniądze dają tylko brud i niewygodę. Obok inicjatywy prywatnej działać tu może i powinna także Częstochowa, jako miasto.



Niejednokrotnie już podnosiliśmy na tem miejscu głos w obronie zabytków sztuki, które, dzięki barbarzyństwu lub nieświadomości, tak często ulegają u nas zagładzie lub zeszpeceniu. Niestety, bezskutecznie.

Obecnie w sprawie tej mamy do zanotowania głos artysty-malarza, p. Aleksandra Borawskiego z Petersburga, który na łamach „Tyg. ilustrowanego“ nawołuje do utworzenia instytucji stałej, rozciągającej opiekę nad wszystkim, co wartość artystyczną posiada, w szczególności zaś nad sztuką kościelną.

P. Borawski żąda, aby instytucja taka, pozostająca pod protektoratem arcybiskupa i biskupów, z zarządem, złożonym z wybitnych artystów i estetyków, otoczyła restaurację starych, potrzebujących konserwacji świątyń, staranną i świadomą swych zadań pieczę i poniekąd przyjęła na siebie odpowiedzialność za wszelkie dokonywane tam roboty.

Stworzenie takiej instytucji wyobraża sobie p. Borawski w sposób następujący. Po otrzymaniu odpowiedniego pozwolenia władzy, główne ognisko opieki nad kościołami utworzone być powinno w Warszawie z ewentualną filią w Petersburgu. Jednocześnie powołać należy do bytu komitety pomocnicze w dyecezyach. Działalność instytucji rozwijać-by się miała w trzech kierunkach. Pierwszy kierunek zmierzał-by ku podniesieniu sztuki kościelnej w ogóle, drugi—dążył-by ku zachowaniu wszelkich zabytków historycznych, trzeci, wreszcie, jako synteza dwóch powyższych, zajmował-by się popularyzowaniem sztuki za pomocą odpowiednich wydawnictw, obejmujących pomniki sztuki kościelnej i pouczających o niej ogół.

Niewątpliwie jest to myśl piękna i godna jak najgorętszego poparcia, nie można jednak zapomnieć o tem, że sztuka jest to wogóle rzecz kosztowna i w naszych stosunkach uchodzi jeszcze, niestety, za zbytek, że więc wobec tego, aby opieka nad kościołami mogła rozwinąć naprawdę szeroką i pożyteczną działalność, potrzebowała-by ona znacznych na to funduszów, środki zaś materyalne, proponowane przez p. B., bynajmniej nie wystarczają na wcielenie w czyn choćby pierwszego tylko punktu zakreślonego instytucji programu. Cóż bowiem znaczy podnosić poziom sztuki kościelnej? Jest to dbać o to, aby zaopatrywać świątynie w obrazy i rzeźby, które posiadały-by wartość artystyczną i swajem nieudolnym wykonaniem nie raziły oka. Jest to, dalej, usuwać ze świątyń

to wszystko, co je szpeci, i starać się zastąpić rzeczy usunięte tem, co będzie stanowiło ozdobę i jako estetycznie piękne będzie wywierało wpływ uszlachetniający na dusze pobożnych. Cóż jednak uczyni proboszcz, w którego parafii znajduje się piękna, stylowa świątynia, jeżeli chcąc ją zaopatrzyć w obraz, nie będzie miał na to fundusów? Przypuśćmy, że fundusz, na ten cel przeznaczony wynosi tylko 50 rb. Otóż za te pieniądze można zamówić nędzną kopię u nędznego malarza, albo bohomaż u domorosłego „pacykarza.“ Dobra kopia kosztowała-by już kilkaset rubli, bo i sam p. Borawski nie zdjął-by jej za tańsze pieniądze z Murilla w Ermitażu, lub z innego arcydzieła w innej galerii. A cóż dopiero mówić o dziełach sztuki, na które rzadko zdobywa się ofiarność publiczna wówczas, gdy chodzi o obraz do kościoła w wielkiem mieście, jak Warszawa albo Łódź. Ksiądz proboszcz, mając tylko 50 rb., będzie tedy musiał wyrzec się aspiracyi i kupić to, co dla niego dostępne, bo i gdyby nawet zgłosił się w takim wypadku do *O pieki nad kościołami*, jakąż tam radę otrzyma? Odradzą mu kupna, ale i nie wskażą sposobu, w jaki można przy takich środkach uczynić zadość wymaganiom sztuki.

Naszem zdaniem, o ile proponowana instytucya doszła-by do skutku—należało-by mieć na widoku dwie rzeczy: przedewszystkiem zgromadzenie dla niej przed rozpoczęciem jakiegokolwiek działalności znacznieszego funduszu, i powtórę— ujęcie przez nią raz na zawsze sprawy zaopatrywania kościołów w obrazy. Fundusz, o którym mowa, służyć powinien na to, aby parafiom mniej zamożnym udzielać pożyczek na kupno obrazów kosztowniejszych, aby obrazy takie nabywać od artystów i następnie odstępować je kościołom, rozkładając im spłatę należności na części. Wówczas można będzie mówić o podniesieniu sztuki i będzie można podnosić ją istotnie.

Co do innych punktów projektu p. Borawskiego, to zgadzamy się naniebez zastrzeżeń, i popierając myśl zasadniczą, radziłyśmy, aby projekt znalazł oddźwięk w tych kołach, którym dobro i wyższy poziom sztuki leży na sercu i które mogą przyczynić się do urzeczywistnienia tej myśli. Instytucya taka, szczególnie ze względu na zabytki dawne, jest bardzo potrzebna i baczyć należy, aby nie powstała zapóźno, t. j. wówczas dopiero, gdy zmarnujemy już wszystko, co się nam w spadku po wiekach ubiegłych dostało i czego dotąd nie umieliśmy uszanować tak, jak na to zasługuje.

---

Jedno z najpożyteczniejszych wydawnictw, na wielką obliczonych skalę, dobiegło końca. Wydawnictwem tem jest „Encyklopedia rolnicza“, której tom XI ukazał się w druku, przynosząc chlubę zasłużonemu gronu swych współpracowników, po obywatelsku pojmujących trudne i poważne zadanie, jakie włożyło na nich Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, jako firma nakładowa. Inicytorem „Encyklopedyi rolniczej, jak wiadomo, był ś. p. Ludwik hr. Krasieński, który wespół z bar. Kronenbergiem zapewnił podwalinę materialną dziełu. Wykonaniem pomysłu, rozwinięciem go i uskutecznieniem zajęło się Muzeum, powołując do bytu specjalną delegację wykonawczą, która w okresie lat 12 (1890—1902) nie szczędziła zabiegów pracy i wysiłków, zmierzających ku pomyslnemu ukończeniu tej pomnikowej księgi, będącej zwierciadłem współczesnej wiedzy rolniczej. Jakoż cel został osiągnięty.

Nie naszą jest rzeczą oceua Encyklopedyi ze stanowiska fachowego, rozbiór poszczególny tych monografii licznych, gruntownie i wyczerpująco opracowanych przez najwybitniejszych u nas specjalistów. Możemy zaznaczyć tylko, że prace, zawarte w XI-u tomach dzieła, nie mają li tylko charakteru informacyjnego, że nie są to artykuły, jakie powszechnie w Encyklopediach spotykamy, komplikowane mniej lub więcej umiejętnie i nie wykraczające poza ramy „drogowskazów“, ale rozprawy w znacznej większości swojej samodzielne i mające wartość naukową. Wydane oddzielnie, stworzyłyby one wcale pokazną bibliotekę rolniczą, gdzie podręczniki znalazły-by się obok studyów ścisłych i cennych.

Miarą ich wartości w pewnej mierze są zresztą nazwiska współpracowników, cieszące się w naszym świecie rolniczo-ziemiańskim powagą i uznaniem. I tak skład „delegacyi wykonawczej“ stanowili pp. Stanisław Chaniewski, właściciel ziemski, obecnie prof. akademii rolniczej w Dublinach; Stanisław Chelchowski, prezes Tow. rolniczego w Płocku; Maksymilian Dobrski, wzorowy gospodarz; dr Franciszek Górski, znany z licznych prac w dziedzinie ekonomiki społecznej; Ludwik Górski (junior), chemik i przemysłowiec; Aleksander Janasz, pracujący oddawna nad uszlachetnieniem nasion zbóż kłosowych; Józef Jeziorański, czytelnikom naszym dobrze znany pisarz-ekonomista; dr. Tadeusz Kowalski, b. profesor Instytutu gosp. wiejsk. i leśnictwa w Nowej Aleksandryi (Puławach); d-r Michał Natanson z Sannik; Aleksander Nowicki, leśnik i entomolog; d-r Antoni Sempolowski, b. prof. szkoły rolniczej w Żabikowie pod Poznaniem, obecnie

kierownik stacyi doświadczalnej w Sobieszynie; Aleksander Trylski, b. wydawca i redaktor „Gazety Rolniczej“; redaktor Stanisław Wroński i Zdzisław Zieliński, kierownik stacyi oceny nasion w Warszawie.

Poza tem gronem wybitnych kierowników, na kartach Encyklopedyi zapisali się dobrze: prof. Jentys, autor pracy o „Absorbeyi gruntowej“ i o „Nawozach“; prof. instytutu weterynaryjnego we Lwowie, St. Królikowski autor „Anatomii zwierząt ssących domowych“, K. Graff („Bydło“); P. Seifmaun („Choroby roślin“ i „Choroby zakaźne zwierząt domowych“); dr K. Kaczkowski („Chleb“); prof. dr G. Piotrowski („Fizyologia zwierząt domowych“); St. Wotowski, St. Rewieński, prof. Waleryan Klecki, Julian Sypniewski i wielu innych.

Prawdziwą ozdobą „Encyklopedyi“ jest niewątpliwie praca prof. Rotherta: „Roślina, jej budowa i życie“, będąca ściśle naukowym wykładem botaniki w całym jej zakresie, a utrzymana w tonie popularnym i nadzwyczaj barwnie pisana. Obok tego postawić należy zbiorową pracę p. t. „Uprawa i skład roli“, tudzież doskonałą pracę d-ra M. Natansona „Zmianowanie“.

W nader ważnym dziale hodowli zwracają na siebie uwagę artykuły prof. St. Dawida („Pasza“) i prof. St. Chaniewskiego („Zywienie zwierząt gospodarskich“).

Jedyny zarzut, jaki Encyklopedyi postawić można — to zbyt wielkie rozmiary niektórych prac, że wskażemy „Serowarstwo“ d-ra W. Kleckiego. Rzecz tę należało ogłosić oddzielnie, jako jedyną w swoim rodzaju monografię specjalną, w Encyklopedyi zaś podać jej streszczenie, unikając w ten sposób niepotrzebnego balastu, który w jeszcze większym stopniu stanowią zupełnie zbyteczne opisy części świata i poszczególnych krajów Europy.

Są to jednak drobne szczegóły, które nie mogą zaważyć na szali, określającej doniosłość olbrzymiego wydawnictwa, jego pożytek i znaczenie dla ziemian. „Encyklopedya“ jest i pozostanie istotnym i trwałym pomnikiem obywatelskiej pracy wszystkich, którzy materialnie i moralnie przyczynili się do jej powstania i jako pożądanym nabytek naszej literatury rolniczej, zasługuje na wielkie uznanie.

Staje ona obok wydawnictw tej miary, co „Słownik geograficzny“, „Encyklopedya wychowawcza“, Wielka Encyklopedya Ilustrowana licząca dziś 30 tomów. przewyższa je atoli swoim szerokim zastosowaniem, dotyczy bowiem nauki, związanej ściśle z dobrobytem kraju i dającej rękojmię jego przyszłości ekonomicznej, a poniekąd i społecznej.

Krakowska Akademia Umiejętności ogłosiła świeżo odezwę, wzywającą do nadsyłania jej wiadomości o wszelkich, znajdujących się w rękach prywatnych, rękopisach polskich, poczynawszy ód XIV do XIX wieku.

„Heż to—czytamy w tej odezwie—prawdziwych skarbów w postaci nieznanych dotąd pieśni, kantyczek, satyr, sielanek, powieści, sztuk teatralnych, broszur przygodnych, pamiętników, listów, t. zw. *Silva rerum*, wreszcie różnego rodzaju materyałów do historii oświaty w Polsce może się jeszcze ukrywać po rozmaitych bibliotekach lub w ręku osób prywatnych“!

„Zabytkom tym nie podobna dać zaginać. Korzystając więc ze zwiększenia ilości pracowników, wykształconych w seminariach filologii polskiej i słowiańskiej, Akademia umiejętności w Krakowie, postanowiła, wzorem innych Towarzystw naukowych, dokonać powszechnego spisu i opisu, czyli inwentaryzacji zabytków rękopiśmiennych literatury polskiej na całym obszarze ziem polskich. Co zrobiła wielkopomna praca d-ra Karola Estreichera na polu bibliografii, to się ma obecnie wykonać na polu rękopiśmiennictwa polskiego. Chcemy doprowadzić do tego, żebyśmy wszystkie rękopisy, obejmujące nieznane dawniejsze utwory z zakresu literatury polskiej, jakoteż niewydane materyały do dziejów wychowania i oświaty w Polsce znali, o każdym wiedzieli, gdzie się znajduje, co zawiera, jak go i w jakim celu zużytkować można. Historia naszej literatury nie powinna już nadal być zależną od jednostkowych, niekiedy podziwu godnych wysiłków kilku pracowników; największy już czas, aby jej pewną i silną dać podstawę w dokładnym, ile możności, opisie tego, co nam niezbyt staranna w tej mierze przeszłość przekazała i co się, szczęśliwym trafem, do naszych dochowało czasów.“

Akademia opracowała formularz, według którego zabytki te opisywać należy, oraz instrukcyę, która ów formularz objaśnia i na żądanie przesyła je każdemu. Wszelkie w tym względzie zapytania, wiadomości o rękopisach i przesyłki—adresować należy do zarządu Akademii umiejętności w Krakowie, z dopiskiem „dla sekretarza komisji literackiej“.

Nie wątpimy, że każdy, czyich rąk wezwanie niniejsze dojdzie, będzie się poczuwał do obowiązku dorzucenia choćby najmniejszej cegiełki, mogącej się przydać do budowy tego dzieła, jakim będzie bibliografia zabytków rękopiśmiennych, tak upragniona przez uczonych.

tak ważna ze względu na liczne jeszcze braki i luki w dziejach naszej kultury.

Późno zaczyna się u nas ta praca, lepiej jednak późno, niż wcale.

Niestety, mamy już za sobą smutny i ciemny wiek XVIII, który jakby specjalnie istniał po to, ażeby zatrzeć ślady świetnej przeszłości. Powolna, mrówcza i zależna od stopniowego budzenia się sumienia narodowego praca wieku XIX nie mogła już powetować tych szkód, acz zrobiła wiele—ocaliła ona niejedną rzecz od zagłady, ogłosiła drukiem cały szereg poważnych źródeł dziejowych, uporządkowała w cenniejszych księgozbiorach druki i rękopisy. Pozostaje wszakże to jeszcze, co dotąd jest rozproszone, co ukrywają prywatne biblioteki ludzi, stojących zdala od ruchu naukowego, lub co, prosto, jako rzeczy bezwartościowe, spoczywa gdzieś w kurzu i pyle starych dworów i lamusów wiejskich. Pozostają jeszcze liczne „pamiętki rodzinne“ przechowywane z pietyzmem, a niedostępne dla badacza. I jest ich dużo, bo, jak nam wiadomo, w ostatnich czasach nieraz zwracano się do wydawców warszawskich z propozycją wydrukowania pamiętników, wspomnień, notatek, nie posiadających może większej wartości literackiej, ale cennych ze względu na bezpośredniość spisanych wrażeń. Rękopisy te przywożono z rozmaitych stron kraju, z zapadłych jego kresów.

Wszystko to znaleźć się powinno albo w posiadaniu Akademii umiejętności, albo przynajmniej powinno być jej znane z treści i z miejsca przechowania. Cenniejsze rzeczy jednak, mimo przywiązania do pamiętek, lepiej ofiarowywać odrazu. Nie ludźmy się bowiem trwałością naszych zbiorów. Fortuna jest zmienna. Majątki przechodzą z rąk do rąk, spadkobiercy trwonią przekazane sobie bogactwa, zwłaszcza jeżeli te bogactwa są w książkach i rękopisach. Ileż to bibliotek, tworzonych z zamiłowaniem, topnieje potem bez śladu, wędrując po antykwarniach, ile ich—na prowincyi zwłaszcza—idzie do żydów na makulaturę? Ze niejeden w ten sposób zaginął rękopis, to pewna, a i dziś jeszcze nie mamy możności ocalenia wszystkiego. Aby jednak chociaż częściowo z tego zadania się wywiązać, należy przedsięwziąć poszukiwania, należy wydierać ludziom ciemnym i nierozumiejącym wartości zabytków piśmiennych to, co wypadkowo, ślepym nieraz trafem w ich ręku się znalazło, lub co odziedziczyli po przodkach zamożniejszych i światlejszych. Gdyby każdy w swojej okolicy poszukiwania takie rozpoczął, gdyby starał się trafić do ludzi, do których odezwa akademii nie dotrze, kto wie, może niejedna perła prawdziwa dała-by się wyłowić stamtąd i dla literatury pozyskać, bo i w śmietniku dyamenty znaleźć się mogą.

Dnia 5 lipca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Feliks Rycerski, inżynier, wiceprezes wydziału ochron Warsz. Tow. Dobroczynności, gorliwy opiekun ubogich i członek wielu tutejszych stowarzyszeń filantropijnych.

Urodzony w r. 1831 ś. p. Rycerski kształcił się w Warszawie, Nowej Aleksandyi i Paryżu, gdzie ukończył polską szkołę, założoną przez ks. Czartoryskiego, a następnie centralną szkołę rękodzielnictwa i handlu. Podczas wojny francusko-pruskiej zmarły brał czynny udział w obronie Paryża, a przetrwawszy oblężenie i komunę, powrócił do kraju, gdzie pracował przez lat 20 z górą, jako inżynier na kolei W.-Wiedeńskiej. Wyszedłszy do emerytury, rozpoczął ruchliwą działalność na polu społecznym, a ożywiony miłością bliźniego i gorącą chęcią służenia sprawie dobra ogólnego, zdobył sobie wkrótce uznanie i popularność. Pozostawia też po sobie dobre imię i żal tych, dla których prawdziwym umiał być opiekunem.

Cześć jego pamięci!

---

Dnia 22 lipca r. b. zmarł w Rzymie zasłużony rzecznik spraw polskich w Watykanie, kardynał Mieczysław Jan Halka-Ledóchowski.

Urodzony w roku 1823 w Klimontowie, z ojca Józefa, niegdyś szambelana dworu Stanisława-Augusta, zmarły dostojnik ukończył szkoły i seminarium w Warszawie, poczem udał się do Rzymu, gdzie wstąpił w poczet uczniów słynnego „Collegium nobilium“. W karierze duchownej przebył następujące etapy: był legatem apostolskim w Nowej Grenadzie w Ameryce, potem nuncyuszem w Belgii i w Bawarii, wreszcie w r. 1865 został arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim.

W czasie zamachu na wyłączność kościoła katolickiego w Niemczech, Ledóchowski stanął w brew polityce rządu, za co pozbawiony został pasterstwa i osadzony w więzieniu. Ceniąc jego zasługi i wierność dla Stolicy Apostolskiej, papież Pius IX nadał mu kapelusz kardynalski, a następnie powołał go na wpływowe stanowisko Sekretarza „dei Brevi“. W r. 1892 zmarły Kardynał został prefektem kongregacji „de propaganda fide“ i na tem stanowisku rozwinął szeroką działalność.

---

# BIBLIOGRAFIA.

## F I L O Z O F I A.

Przegląd Filozoficzny. Rok piąty. Zeszyt drugi. *Treść:* Dr J. Kodis: Rzeczywistość i jej pojęcie naukowe. E. Abramowski: Dusza i ciało. Dr Wł. M. Kozłowski: Postulata logiczne wiedzy. Przegląd krytyczny. Dr M. Krauz: Pojęcie przeciwieństwa u Tarda. Przegląd nauk poszczególnych. Sprawozdania, Bibliografia. Warszawa. Adres Redakcyi i Administracyi: ulica Krucza, № 56, 1902, str. 135 — 152.

## PRAWO. — NAUKI SPOŁECZNE.

M. M. Kowalewski: Rozwój stosunków ekonomicznych w zachodniej Europie. Warszawa, 1902. Część pierwsza i druga, str. 224.

Ernest Till: Prawo prywatne austriackie. Napisał... dr praw, profesor Uniwersytetu lwowskiego, czł. kor. Akademii Umiejętności. Tom piąty Wykład prawa familijnego. Część druga. Stosunek rodzicielski, opieka i kuratela. Cena 4 korony. We Lwowie. Nakładem K. S. Jakubowskiego, 1902. str. VIII i 255 — 427.

## H I S T O R Y A.

Akta Grodzkie i Ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej z Archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydany staraniem Galicyjskiego Wydziału krajowego. Tom XVII. We Lwowie, 1901, in 4-o maj., stron LVIII + 660.

Michał Brensztejn: Barbara Bronisława Czarnowska, kadet 1-go pułku jazdy... Sylwetka biograficzna. Kraków, 1902, str. 24.

Kwartalnik Historyczny. Organ Towarzystwa historycznego, założony przez X. Liskego pod redakcją Aleksandra Semkowicza. Rocznik XVI. Zeszyt pierwszy. 1902. *Treść:* Rokosz Lwowski z roku 1537 przez Ant. Prochaskę. Cesia wschodnio-galicyjska na rzecz Rosyi przez Jana Leszczyńskiego. Miscellanea. Recenzye i sprawozdania. Kronika. Bibliografia. Polemika. Stron 168.

Gustaw Manteuffel: Notatki o dziejach wiary rzymsko-katolickiej w Rydze (1201—1901). Warszawa. Wydawnictwo „Kroniki Rodzinnej”. Dochód przeznaczony na budowę kościoła świętego Alberta w Rydze. Z kilkudziesięciu ilustracyami, stron 91.

Monografie w zakresie Dziejów Nowożytnych. Wydawca Szymon Askenaazy. Tom pierwszy. Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem.



Maj—Grudzień, 1816. Przez Józefa Bojasińskiego. Z zapomogi Kasy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia d-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki, 1902, str. XV i 269, 4 nł. Cena rub. 1.

John Rhys and David Brynmor — Jones: The Welsh People, Chapters on their origin, history, laws, language literature and characteristics (with two maps) by... Third and revised edition London: T. Fischer Unwin, Paternoster Square, 1902. str. XXVI + 678. Opr.

## HISTORIA LITERATURY. — FILOLOGIA.

Polskie słownictwo chemiczne uchwalone przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Wydanie drugie. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności, 1902, stron 31.

Marya Konopnicka: Trzy studia. O komedyi bohaterskiej E. Rostanda. Juliusz II Juliana Klaczki. Krzyżacy Henryka Sienkiewicza. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, stron 305.

J. A. Święcicki: Historia literatury perskiej, z ilustracyami. Warszawa („Literatura powszechna“, tom piąty), Warszawa, (b. r.) [Maj, 1892 r.], str. 239.

Stanisław Dzianyski: Garść baśni ludu ruskiego (ze wsi Naluża w powiecie Trembowelskim. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności, 1992 (Odbitka z Materiałów Komisji antropologiczno-archeologiczno-etnograficznej, tom szósty dział drugi), stron 22.

## POEZYE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

Juliusz German: Dramat. Akt wierszowany. Nakładem księgarni Altenberga we Lwowie. MCMII roku, stron 66.

Tadeusz Miciński: Poezye. W mroku gwiazd. Kolosseum. Orland szalony. Lucifer. Kain. Król w Osyaku. Noce polarne. Minotaur. Zatoka tęcz. Stron 155. Nakładem autora, z trzema rysunkami S. Wyspiańskiego. W Krakowie, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1902, rub. 1 kop. 41.

Henryk Sienkiewicz: *Quo vadis*. Powieść z czasów Nerona. Wydanie nowe. Nakład i własność wydawców. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1962, str. 534. Cena 70 kop.

Edward Słoiński: Noc. Napisał... wydał M. Borkowski. 1902, stron 88. Reprodukują medalionu Stanisława K. Ostrowskiego, wykonał zakład B. Wierzbickiego. Książkę ozdobił autor. Winiety na stronach 81 i 87 F. Wojtali.

Ludwik Sroka: O Ludwisię. Nowela. Warszawa. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera. 1902, stron 132.

Dr Józef Tchórzniński: W otchłani. (Obrazek miejski ze wspomnień eksperta. Warszawa—Kraków, Gebether i Wolff, 1902, stron 52.

Gustaw Zieliński: Poezye. Z życiorysem poety przez d-rą Piotra Chmielowskiego. Toruń. Własność i wydanie rodziny. 1901. Tom pierwszy. (Z wizerunkiem poety). Przedruk wzbroniony. stron 360. Tom drugi stron 406.

## SPRAWOZDANIA.

Sprawozdanie dwudzieste z czynności Komitetu Zarządzającego Kasą Pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia d-ra Józefa Mianowskiego za rok 1901. Warszawa, 1902, str. 129.

O przyznaniu nagród imienia Jakóba Natanson'a w czwartym czteroleciu. Warszawa, 1902, str. 14.

Sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa Historycznego we Lwowie, tudzież Komitetu redakcyjnego Kwartalnika Historycznego za rok 1901, Lwów, 1902, stron 20.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

# Ogłoszenie konkursu.

---

Rada Gospodarcza Stowarzyszenia Techników w Warszawie, przyjmąwszy od inż. Feliksa Kucharzewskiego kwotę rubli trzechset, z przeznaczeniem jej na nagrodę za najlepszy artykuł, jaki wydrukowany będzie w „Przeglądzie Technicznym“ w ciągu roku 1902, niniejszem ogłasza, że konkurs otwarty 1 stycznia 1902 roku, zamknięty będzie 31 grudnia tegoż roku, a rozsądzenie konkursu nastąpi dnia 14 lutego 1903 roku.

Nagroda rubli trzechset przyznana zostanie autorowi artykułu oryginalnego, liczącego co najmniej sześćset wierszy druku, nie licząc rysunków, wydrukowanego w „Przeglądzie Technicznym“ w czasie trwania konkursu, a w przekonaniu większości członków Sądu Konkursowego, najlepszego i najpożyteczniejszego, bez względu na to, czy treścią artykułu będzie opis własnego pomysłu autora, czy też rozpatrywanie pomysłów innych, poglądy ogólne, lub poszukiwania specjalne. Z liczby konkurujących wyłączeni będą członkowie sądu konkursowego, tudzież autorowie, którzy drukowali swe prace w pierwszym dziesięcioleciu istnienia „Przeglądu Technicznego“, t. j. przed rokiem 1885.

Sąd konkursowy składać się będzie z dziewięciu członków Stowarzyszenia techników w Warszawie, wybranych przez Radę Gospodarczą, a w tej liczbie z Redaktora „Przeglądu Technicznego“, jako przewodniczącego.

---

# Biblioteka Warszawska

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym,  
rozpoczyna z rokiem 1902—gim sześćdziesiąty drugi rok swojej działalności naukowo-literackiej  
i wychodzi zaczęło  
w zeszytach najmniej dwunasto-arkuszowych.

Zreorganizowawszy wydawnictwo „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“ Redakcyja i w dalszym ciągu dokładać będzie usiłowań, polegających na starannym doborze poważnych prac naukowych, wytwornych dzieł literackich i artykułów, do potrzeb dzisiejszych zastosowanych. Coraz liczniejszy zastęp współpracowników zapewni dalszy rozwój pismu, a znacznie w ciągu ostatnich jedenastu lat zwiększona liczba prenumeratorów daje otuchę Redakcyi, że jej usilne starania znajdują w szerszych jeszcze kręgach czytelników życzliwe poparcie.

## PROGRAM „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“ zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechne i własne.
- III. Kwestye **społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Twory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego. — Przeglądy literatury belletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne,** oceny dzieł sztuki.
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym (artystycznym, społecznym i ekonomicznym).
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości bibliograficzne.**

## WARUNKI PRENUMERATY

### „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“:

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego: Rocznie rubli **10**, półrocznie rubli **5**. W **Warszawie**: Rocznie rubli **9**, półrocznie rubli **4** kopiejek **50**, kwartalnie rubli **2** kopiejek **25**. Cena pojedynczego zeszytu rub. **1**.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie wprost do **Redakcyi „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“**, ulica **Krakowskie Przedmieście Nr 5**, gdyż za zapewnia najlepiej akuratną ekspedycyę pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

**Oplata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej“ wynosi:**

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „Biblioteki Warszawskiej“, rubli **5**. Za ogłoszenie, zapelniające pół stronicę, rubli **3**. i za ogłoszenie, zapelniające  $\frac{1}{4}$  formatu, rubli **2**.

Дозволено Цензурою. Варшава. 18 Июля 1902 г.

W drukarni Józefa Sikorskiego Warecka 14.